

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 29 (1373) ROK XXVII

21 LIPCA 1984 ROKU

CENA 15 ŻŁ



MANIFEST

POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA NARODOWEGO

Polacy w kraju i na emigracji!
Polacy w niewoli niemieckiej!
Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug.
Żołnierz polski bije się na naszej ziemi ojczystej. Nad umęczoną Polską powiały znów biało-czerwone sztandary.
Naród polski wita żołnierza Armii Ludowej, zjednoczonego z żołnierzem Armii Polskiej w ZSRR. Wspólny wróg, wspólna walka i wspólne sztandary. Zjednoczeni ku chwale Ojczyzny w jednym Wojsku Polskim pod wspólnym dowództwem wszyscy żołnierze polscy pójdą obok zwycięskiej Czerwonej Armii do dalszych walk o wyzwolenie kraju. Pójdą poprzez Polskę całą po pomstę nad Niemcami, aż polskie sztandary nie założą po nocach nad Niemcami, na ulicach stolicy prusactwa, na ulicach Berlina.
Rodacy!

Naród walczący z okupantem niemieckim o wolność i niepodległość stworzył swą reprezentację, swój podziemny parlament — Krajową Radę Narodową. Weszli do Krajowej Rady Narodowej reprezentanci stronnictw demokratycznych — ludowcy, demokraci, socjaliści, członkowie PPR i innych organizacji. Podporządkowały się Krajowej Radzie Narodowej organizacje Polonii zagranicznej i w pierwszym rzędzie Związek Patriotów Polskich i stworzona przezeń armia.

Krajowa Rada Narodowa powołana przez walczący naród jest jedynym legalnym źródłem władzy w Polsce. Emigracyjny „rząd” w Londynie i jego delegatura w kraju jest władzą samowładną, władzą nielegalną. Opiera się na bezprawnej faszystowskiej konstytucji z kwietnia 1935 r. „Rząd” ten hamował walkę z okupantem hitlerowskim, swą awanturniczą polityką pchał Polskę ku nowej katastrofie.

W chwili wyzwolenia Polski, w chwili gdy sojusznicza Armia Czerwona i wraz z nią Wojsko Polskie wypędzają okupanta z kraju, w tym momencie musi powstać legalny ośrodek władzy, który pokieruje walką narodu o ostateczne wyzwolenie.

Dlatego Krajowa Rada Narodowa, tymczasowy parlament narodu polskiego, powołała POLSKI KOMITET WYZWOLENIA NARODOWEGO jako legalną tymczasową władzę wykonawczą dla kierowania walką wyzwolenia narodu, zdobycia niepodległości i odbudowy państwowości polskiej. Krajowa Rada Narodowa i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego działają na podstawie konstytucji z 17 marca 1921 r., jedynie obowiązującej konstytucji legalnej, uchwalonej prawnie. Podstawowe założenia konstytucji z 17 marca 1921 r. obowiązująć będą aż do zwolnienia wybranego w głosowaniu powszechnym bezpośrednim, równym, tajnym i stosunkowym Sejmu Ustawodawczego, który uchwali, jako wyraziciel woli narodu, nową konstytucję.
Rodacy!

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego za naczelne swe zadanie uważa wzmocnienie udziału narodu polskiego w walce o zniwiedzenie Niemiec hitlerowskich. Wybiła godzina odwetu na Niemcach za mękę i cierpienia, za spalone wsie, za zburzone miasta, zniszczone kościoły i szkoły, za łapanie, obozy i rozstrzelania, za Oświęcim, Majdanek, Treblinkę, za wymordowanie getta.
Rodacy!

Sojusznicza Armia Czerwona swym bohaterstwem i ofiarnością zadawała miazdzące ciosy Niemcom hitlerowskim. Armia Czerwona jako armia wyzwolenia wkroczyła do Polski.

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego wzywa ludność i wszelkie podległe mu władze do jak najściślejszego współdziałania z Czerwoną Armią i najwydatniejszej dla niej pomocy. Jak najwydatniejszy udział Polaków w wojnie zmniejszy cierpienia narodu i przyspieszy koniec wojny.

Chwytajcie za broń! Bijcie Niemców wszędzie, gdzie ich napotkacie! Atakujcie ich transporty, udzielajcie informacji, pomagajcie żołnierzom polskim i sowieckim! Na terenach wyzwolonych wypełniajcie karne nakazy mobilizacyjne i śpieszcie do szeregów Wojska Polskiego, które pomości klęskę wrześniową i wraz z armiami Narodów Sprzymierzonych zgłuszy Niemcom Nowy Grunwald! Stawajcie do walki o wolność Polski, o powrót do Matki-Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą! Stawajcie do walki o Polskę, której nigdy już nie zagrozi nawała germańska, o Polskę, której zapewniony będzie trwały pokój i możność twórczej pracy, rozkwit kraju!

Historia i doświadczenia obecnej wojny dowodzą, że przed naporem germańskiego imperializmu ochronić może tylko zbudowanie wielkiej słowiańskiej tamy, której podstawą będzie porozumienie polsko-sowietko-czechosłowackie.

Przez 400 lat między Polakami i Ukraińcami, Polakami i Białorusinami i Rosjanami trwał okres nieustannych konfliktów ze szkodą dla obydwu stron. Teraz nastąpi w tych stosunkach historyczny zwrot. Konflikty ustępują przyjaźni i współpracy, dyktowanej przez obopólne życiowe interesy. Przyjaźń i boja

współpraca, zapoczątkowane przez braterstwo broni Wojska Polskiego z Armią Czerwoną, winny przekształcić się w trwały sojusz i w sąsiedzkie współdziałanie po wojnie. Krajowa Rada Narodowa i powołany przez nią Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego uznają, że uregulowanie granicy polsko-radzieckiej powinno nastąpić w drodze wzajemnego porozumienia. Granica wschodnia powinna być linią przyjaznego sąsiedztwa, a nie przegrodą między nami a naszymi sąsiadami i powinna być uregulowana zgodnie z zasadą: ziemi polskie — Polsce, ziemi ukraińskie i litewskie — Radzieckiej Ukrainie, Białorusi i Litwie.

Trwały sojusz z naszymi bezpośrednimi sąsiadami, ze Związkiem Radzieckim i Czechosłowacją, będzie podstawową zasadą zagranicznej polityki polskiej, realizowanej przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Braterstwo broni ujęte w wspólnie przeżytą krew w walce z niemiecką agresją jeszcze bardziej pogłębi przyjaźń i utrwali sojusze z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. Polska dążyć będzie do zachowania tradycyjnej przyjaźni i sojuszu z odrodzoną Francją, jak również do współpracy z wszystkimi demokratycznymi państwami świata.

Polska polityka zagraniczna będzie polityką demokratyczną i opartą na zasadach zbiorowego bezpieczeństwa.

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego ustalać będzie systematycznie straty zadane narodowi polskiemu przez Niemców i poczyni kroki dla zapewnienia Polsce należnych jej odszkodowań.
Rodacy!

W imieniu Krajowej Rady Narodowej Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego obejmie władzę na wyzwolonych terenach Polski. Ani chwili na ziemi polskiej, uwolnionej od najeźdy niemieckiej, nie może działać żadna inna administracja prócz polskiej. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego sprawuje władzę poprzez wojewódzkie, powiatowe, miejskie i gminne rady narodowe i przez upoważnionych swych przedstawicieli. Tam, gdzie rady narodowe nie istnieją, demokratyczne organizacje obowiązane są natychmiast powołać je do życia, włączając w ich skład cieszących się zaufaniem ludności Polaków patriotów niezależnie od ich poglądów politycznych.

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego nakazuje natychmiastowe rozwiązanie organów administracji okupantów. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego nakazuje natychmiastowe rozwiązanie tzw. granatowej policji.

Rady narodowe stworzą niezwłocznie podlegającą im Milicję Obywatelską, której zadaniem będzie utrzymanie porządku i bezpieczeństwa.

Zadaniem niezawisłych sądów polskich będzie zapewnić szybki wymiar sprawiedliwości. Żaden niemiecki zbrodniarz wojenny, żaden zdrajca narodu nie może uciec kary!

Rodacy!

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystępując do odbudowy państwowości polskiej, deklaruje uroczyste przywrócenie wszystkim swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, prasy, sumienia. Demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogom demokracji. Organizacje faszystowskie, jako antynarodowe, tępiące będą z całą surowością prawa.

Rodacy!

Rząd wyniszczony i wygłodzony czeka na wielki wysiłek twórczy całego narodu. Krzywdy zadane przez okupanta muszą być jak najprędzej naprawione. Własność zrabowana przez Niemców poszczególnym obywatelom — chłopom, kupcom, rzemieślnikom, drobnym i średnim przemysłowcom instytucjom i kościołowi — będzie zwrócona prawowitym właścicielom. Majatki niemieckie zostaną skonfiskowane. Żydom po bestialsku tępionym przez okupanta zapewniona zostanie odbudowa ich egzystencji oraz prawne i faktyczne równouprawnienie.

Majątek narodowy, skoncentrowany dziś w rękach państwa niemieckiego, a więc wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, bankowe, transportowe oraz lasy, przejdzie pod Tymczasowy Zarząd Państwowy. W miarę regulowania stosunków gospodarczych nastąpi przywrócenie własności.

Rodacy!

Aby przyspieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi natychmiast do urzędystwienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej.

W tym celu utworzony zostanie Fundusz Ziemi podległy Resortowi Rolnictwa i Reform Rolnych. W skład tego Funduszu wejdą wraz z martwym i żywym inwentarzem i budynkami ziemi niemieckie, ziemi zdrajców narodu oraz

- Lecę z Legią do Australii
- Poszukiwanie zagubionych znaków
- Komu Nobla, komu?...
- Homo — anaerob

Ojcowizna

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Przyszli, zdrożeni, zatrzymali się,
rozejrzeli dookoła.
— Tu — powiedzieli — zostaniemy.
Słońce nad Czarnolasem
było wielkie i czerwone,
bo miało się jutro na wiatr.
Whili pale sosnowe w piach
i dach z choiny
ułożyli sobie nad głowami.

Odtąd
my to nazywamy ojczyzną.

Czasem rolnik, za pługiem idąc,
garnek teraz wyorze
wyszczerbiony. Albo i pordzewiały miecz
Stanie, nabożnie weźmie do rąk
szacowny szczątek,
okruch świętej ojcowizny
Śladów potu i krwi w nim wypatruje
— po dziadach to spadek dla wnuka.

Główne kierunki przeobrażeń społecznych 1

Awans klasy, awans kraju

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA

Nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna zapowiedziane u progu powstania nowego państwa polskiego, realizowane w drugiej połowie lat czterdziestych, po przejęciu władzy politycznej przez klasę robotniczą i jej partie stworzyły niezbędne podstawy do procesu industrializacji, a następnie modernizacji gospodarki narodowej.

Po okresie odbudowy, która w momencie podjęcia decyzji o industrializacji nie była przecież zakończona i trwała równolegle z industrializacją, stając się z czasem jej częścią składową, nastąpiła konieczność modernizacji starego i wybudowanego w pierwszych powojennych latach przemysłu i była realizowana łącznie z industrializacją.

SOCJALISTYCZNA INDUSTRIALIZACJA

Istota każdej industrializacji jest rozbudowa przemysłu. Jest zatem zespołem procesów technicznych, ekonomicznych, którym towarzyszą przeobrażenia społeczne i kulturowe, a kanwą są procesy polityczne.

Industrializacja socjalistyczna realizowana w Polsce, charakteryzuje się:

— tworzeniem przemysłu uśrednionego, którego zasadniczym elementem jest przedsiębiorstwo socjalistyczne

— modelem społeczeństwa i gospodarki ustalony jest przez dominujące instytucje polityczne; — gospodarka, socjalistyczna jest kierowana przez grupy wytworzone z partii politycznej i działające w myśl obowiązującej ich doktryny ideologii marksistowskiej;

— dla realizacji industrializacji socjalistycznej stworzony został system instytucji państwowych wzajemnie od siebie zależnych i połączonych zależnościami biurokratycznymi;

— finansowana jest przez rozłożenie kosztów na całą ludność;

— jest realizowana przez klasę robotniczą — będącą socjalistycznym współwłaścicielem środków produkcji, uczestniczącą w mniejszym lub większym stopniu w decyzjach kierowniczych, mającą dostęp do wykształcenia i awansu;

— industrializacja socjalistyczna wywiera wpływ na motywację siły roboczej, uczestniczącej w jej realizacji. Na uwagę zasługuje atrakcyjność zatrudnienia w powstającym przemysle, kształtowana nie tylko przez tradycyjne postawy, ale także przez motywacje moralne i społeczne ideologii marksistowskiej.

W industrializacji socjalistycznej decyzje techniczne i ekonomiczne w znacznej mierze są podporządkowane aspektom społecznym — takim jak likwidacja bezrobocia, aktywizacja rejonów zacofanych pod

Ogłosy

Adres redakcji: 90-438
Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Andrzej Karolczak.
Zastępca sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Derwiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzeziński, Edmund Lewandowski, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panaszewski, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych reklam i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach. Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawia prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch”. 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumerat na kraj i z granic: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1. każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2034. E-2.

Ogłosy

2 ODGŁOSY

W LISTOPADZIE 1984 ROKU W RUMUNII

będzie obradował XIII Zjazd Rumuńskiej Partii Komunistycznej. Uchwałę w tej sprawie podjął Komitet Centralny RPK, który obradował od 26 do 29 czerwca 1984 roku. XIII Zjazd RPK będzie miał następujący porządek: 1. sprawozdanie KC RPK z działalności między zjazdami, 2. sprawozdanie centralnej komisji rewizyjnej, 3. przyjęcie projektu wytycznych dla dalszego działania partii, 4. zmiany w statucie RPK, 5. wybór sekretarza generalnego RPK.

Komitet Centralny RPK przyjął wytyczne dla działania gospodarczego w 1985 roku oraz wytyczne na XIII Zjazd RPK. Wytyczne dotyczą między innymi planów rozwoju gospodarczego Rumunii w latach 1986 — 1990 oraz do 2000 roku. W czasie obrad KC RPK Manea Manescu zaproponował, aby na XIII Zjeździe RPK funkcje sekretarza generalnego RPK ponownie powierzyc Nicolae Ceausescu.

Propozycja Manea Manescu przyjęta została z powszechnym aplauzem, zebrani wstali skandując: „Ceausescu — RPK”.

Minał tydzień

TADEUSZ PAPIER UKOŃCZYŁ 70 LAT

Urodził się w Busku Zdroju. Studiował humanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Ukończył socjologię na Uniwersytecie Łódzkim. W czasie okupacji był związany z Batalionami Chłopskimi i tajnym nauczaniem. Po wyzwoleniu należał do zespołu redakcyjnego tygodnika „Wiesć”, który wówczas wychodził w Łodzi. Przez wiele lat był związany z tygodnikiem „Ogłosy”, w którym pełnił funkcję sekretarza redakcji.

Jest autorem kilku tomów opowiadań, reportaży i powieści.

Jubilatowi składamy serdeczne życzenia długich lat życia w zdrowiu!

DOKŁADNIE 20 LAT TEMU

na łamach „Ogłosów” ukazał się pierwszy felieton Cwieka — **WŁODZIMIERZA KRZEZIŃSKIEGO**. Jak Czytelnicy „Ogłosów” wiedzą, pisze on nadal felietony. W pracy naszego felietonisty były tylko krótkie przerwy spowodowane chorobą lub wyjazdami za granicę.

Felietony Włodzimierza Krzezińskiego spotykały się zawsze z dużym zainteresowaniem Czytelników, zarówno autor, jak i redakcja otrzymywały wiele listów. Jest to dla felietonisty najwyższy wyraz uznania. Pokazuje to bowiem, że jego felietony są nie tylko czytane, ale wywołują reakcję Czytelników. Jedni się nie zgadzają, inni oburzają, inni popierają, a jeszcze inni protestują.

Włodzimierzowi Krzezińskiemu gratulujemy wytrwałości i życzymy dalszych sukcesów w pracy felietonisty.

PIH PODDAŁA KONTROLI WYROBY PRZEMYSŁU LEKKIEGO

W 11 fabrykach przemysłu dziewiarskiego i półprzędzniczego zakwestionowano jakość wyrobów o wartości 11 milionów zł. Wśród tych, w których zakwestionowano jakość wyrobów znalazły się też „Olimpia”, „Pafino” i „Penika”. W sieradzkich zakładach „Terpol” przeprowadzono ponowną kontrolę — pierwsza dała wyniki negatywne — zbadano 2 rodzaje wyrobów i ponownie stwierdzono złą jakość. Inspektorzy PIH stwierdzili złą jakość tkanin w ZPW im. A. Struga. Na 7 badanych rodzajów tkanin w 5 znaleziono poważne wady jakościowe. Tkaniny te miały zbyt dużą kurczliwość i małą odporność na zgniecenia. W „Ariadnie” natomiast na 14 kontrolowanych rodzajów nici 11 miało wady. Stwierdzono również, że na szpulach nici tej fabryki przeznaczonych do sprzedaży nie było firmowych znaków.

Z ZARZUTEM DZIAŁALNOŚCI KONTREWOLUCYJNEJ

pod adresem Komunistycznej Partii Chin wystąpiła wietnamska gazeta „Nhan Dan”. Zarzut ten dotyczy nie tylko działalności zewnętrznej, ale i wewnętrznej, co do tej pory było raczej rzadkością. „Nhan Dan” pisze: „Na płaszczyźnie wewnętrznej „socializm w stylu chińskim” próbuje łączyć elementy gospodarki kapitalistycznej z socjalistyczną i coraz bardziej demaskuje swoje rzeczywiste cele. O oszukiwanych manewrach w tej dziedzinie świadczy wymownie fakt likwidacji komun ludowych na wsi, odżywianie kapitalizmu w miastach i przemysle, jak również polityka „otwarcia na Zachód”, zmiany w handlu zagranicznym, związanie gospodarki chińskiej z przedsiębiorstwami kapitalistycznymi, co przyczyniło się do poważnego sposobu do likwidacji podstaw socjalizmu, zbudowanych w początkowym okresie po zwycięstwie rewolucji w Chinach”.

LUDZIE WYTRZYMUJĄ, GORZEJ Z MASZYNAMI

— stwierdził na łamach „Prawdy” W. Gorbunow — szef Bajkalsko-Amurskiej Magistrali, czyli popularnego BAM. Budowana nowa linia transsyberyjska skracając drogę z europejskiej części ZSRR do Oceanu Spokojnego o 400 km i jednocześnie otwierając drogę tranzytową przez ZSRR. Gotowa jest już linia kolejowa długości 1172 km oraz prowizoryczna linia długości 206 km. Cała linia ma mieć długość 3509 km. Od stycznia 1981 roku BAM przewieziono przeszło 40 mln ton ładunków oraz blisko 5 milionów pasażerów.

Buduje się BAM w niezwykle trudnych warunkach, na wiecznej zmarzlinie, przy 50-stopniowych mrozach zimą i upałach latem. I ludzie to wytrzymują. Gorzej jest z maszynami. Jak pisze W. Gorbunow w „Prawdzie”, nie zelektryfikowano na czas linii kolejowych, przez co zużywa się nadmierne ilości ropy. Nie wszystkie tunele na BAM są przystosowane do trakcji spalinowej, bo przygotowywano je do trakcji elektrycznej. Ze swoimi pracami nie nadążają łącznościowcy. Ministerstwo Łączności ZSRR zgodziło się na łączność radiową wzdłuż trasy BAM, ale wytwórcy nie dostarczyli aparatów radiowych do takiej łączności. Konstruktorzy od dawna zapewniali, że każda lokomotywa, jaką tylko zaprojektują, jest przygotowana specjalnie dla potrzeb BAM, ale w praktyce lokomotywy te okazują się nieprzydatne do pracy na BAM.

Mimo tych trudności BAM została włączona do systemu komunikacyjnego ZSRR i wydatnie przyczynia się do gospodarczego rozwoju Syberii.

WOJSKA KUBAŃSKIE WYCOFUJĄ SIĘ Z ETIOPII

— stwierdził na konferencji prasowej w Haganie wiceminister spraw zagranicznych Kuby, Oscar Oramas. Wojska te przybyły do Etiopii jesienią 1977 roku w czasie konfliktu z Somalią.

— „Obecnie — powiedział Oscar Oramas — wraz z upływem czasu, etiopskie siły zbrojne umocniły swoją zdolność obronną i, na zasadzie wzajemnego porozumienia, doszliśmy do przekonania, iż nadszedł czas, aby dostosować obecność naszych oddziałów, znajdujących się tam, do obecnych wymagań”.

Jeśli chodzi o obecność wojsk kubańskich w Angoli, to Kuba popiera wszelkie działania do pokojowego rozwiązania istniejącego tam konfliktu z RPA, ale wycofanie wojsk kubańskich z Angoli może nastąpić dopiero wówczas, gdy zostaną spełnione 4 warunki, jakie zostały określone we wspólnej deklaracji, podpisanej w marcu 1984 roku przez prezydenta Angoli, Jose Eduardo dos Santosa i przewodniczącego Rady Państwa Kuby, Fidela Castro. Polityka RPA nie sprzyja jednak pokojowemu rozwiązaniu napięć, jakie występują w tej części Afryki.

PRZEZ 200 METRÓW TRAMWAJ WŁÓKŁ MĘCZYŃSKIE

Stało się to w Łodzi, 10 lipca 1984 roku, około godziny 22, na al. A. Mickiewicza, między ul. Targową i J. Kilińskiego. Automatyczne drzwi przystanku otworzyły się, pasażerowie, którzy chcieli wsiąść do tramwaju, ale nie zdążyli. Nikt z pasażerów ani motorniczy nie dostrzegł tego wypadku. Mężczyźni ciężko poturbowanego odwieziono do szpitala. Milicja — za pośrednictwem „Głosu Robotniczego” i „Dziennika Łódzkiego” poszukiwała świadków tego smutnego wypadku.

W JUGOSŁAWII OD WRZEŚNIA

zapowiedziano podwyżkę opłat za energię. Podwyżka ta sięgnie prawdopodobnie 35 proc. obecnych cen. Wiele rodzin w Jugosławii liczy się już teraz z możliwością wyłączenia spod ogrzewania i używania części mieszkań zimą, aby oszczędzić na zużywanej energii. Wprawdzie specjaliści utrzymują, że nastąpiła poprawa bilansu energetycznego, ale niektórzy są zdania, że nie jest to zjawisko trwałe i trzeba liczyć się z kolejnymi trudnościami. Uważają oni, że kryzys energetyczny może rozwiązać tylko budowa nowych elektrowni. Jeśli to się nie stanie, to w latach 1985 — 1990 nastąpi deficyt energii elektrycznej. Inni natomiast zwracają uwagę na brak paliw dla elektrowni: węgla kamiennego, brunatnego i mazutu. Rośnie zapotrzebowanie na te paliwa, ale ich dostawy są ograniczone.

NOWY NUMER „OSNOWY”

już od nabycia. Jest to numer podwójny, 7 i 8 z 1984 roku. Ukazał się on pod ogólnym hasłem: „Odeszło — żyje”. W numerze tym czytelnik znajdzie wiersze Tadeusza Śliwaka, Henryka Hartenberga, Cecylii Jajdzewskiej, Swietłany Napierajowej, Władysława Bodnickiego, Edwarda Kolbusa, Emila Białł, Tadeusza Fangrata.

Szkice, aryleki, wspomnienia piona Konrada Jajdzewskiego, Henryka Pustkowskiego, Tadeusza Chudego, Marii Śliwskiej, Andrzeja Zdyrv, Kazimierza A. Lewkowskiego, Jerzego Urbankiewicza i innych.

Fragment nowej powieści Jerzego Wawrzaka.

Fonadto recenzje oraz ciekawe porady z wydanej w 1986 roku książki Marii z hrabiów Collona-Walewskich Wielopolskiej pt. „Obyczaje towarzyskie”.

A. B. SEKATOR



MANIFEST POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA NARODOWEGO

Dokończenie ze strony 1

ziemie gospodarstw obszarowych o powierzchni ponad 50 ha, a na terenach przyłączonych do Rzeszy w zasadzie o powierzchni ponad 100 ha. Ziemie niemieckie i ziemie zdrajców narodu zostaną skonfiskowane. Ziemie gospodarstw obszarowych przejdą w posiadanie przez Fundusz Ziemi bez odszkodowania zależnego od wielkości gospodarstwa, lecz za zaopatrzeniem dla byłych właścicieli. Ziemianie mający zasługi patriotyczne w walce z Niemcami otrzymają wyższe zaopatrzenie. Ziemie skupione przez Fundusz Ziemi, z wyjątkiem przeznaczonych na gospodarstwa wzorowe, rozdzielone zostaną między chłopów małych, średnich, obciążonych licznymi rodzinami, drobnych dzierżawców oraz robotników rolnych. Ziemia rozdzielona przez Fundusz Ziemi za (minimalną) opłatą stanowić będzie na równi z dawniej posiadaną ziemią własność indywidualną. Fundusz Ziemi będzie tworzył nowe gospodarstwa względnie dopełniał gospodarstwa małe, biorąc za podstawę 5 ha użytków rolnych średniej jakości dla średniozamożnej rodziny. Gospodarstwa, które nie będą mogły otrzymać tej normy na miejscu, będą miały prawo do udziału w przesiedleniu przy pomocy państwa na teren z wolną ziemią, zwłaszcza na tereny wywindykowane od Niemiec.

Rodacy!

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego stawia przed sobą jako bezpośrednie zadanie natychmiastową poprawę bytu szerokiej rzeszy narodu.

Kontyngenty, zabierające chłopów całą jego krowicę, będą natychmiast zniesione. Dla potrzeb armii i aprowizacji miast na czas wojny na podstawie polskiej ustawy o świadczeniach wojennych zostaną wprowadzone ściśle ustalone świadczenia w naturze, wydatnie zmniejszające ciężary wsi w stosunku do kontyngentów niemieckich. Place robotnicze i pracownice, utrzymywane przez Niemców przymusowo na poziomie przedwojennym, zostaną ustawowo podniesione do norm zapewniających minimum egzystencji.

Natychmiast rozpocznie się odbudowa i rozbudowa instytucji Ubezpieczeń Społecznych na wypadek choroby, inwalidztwa, bezrobocia oraz ubezpieczenia na starość. Instytucje Ubezpieczeń Społecznych oparte będą na zasadach demokratycznego samorządu. Wprowadzone zostanie nowoczesne prawodawstwo w dziedzinie ochrony pracy, rozpocznie się rozładowywanie nędzy mieszkaniowej.

Zniesione zostaną niemieckie znienawidzone zakazy, krepujące działalność gospodarczą, obrót handlowy między wsią i miastem. Państwo popierać będzie szeroki rozwój spółdzielczości. Inicjatywa prywatna, wzmagająca tętno życia gospodarczego, również znajdzie poparcie państwa.

Zapewnienie normalnej aprowizacji będzie jedną z podstawowych trosk.

Rodacy!

Jednym z najpilniejszych zadań Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego będzie na terenach oswojonych odbudowa szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach. Przymus powszechnego nauczania będzie ściśle przestrzegany. Polska inteligencja zdziękowana przez Niemców, a zwłaszcza ludzie nauki i sztuki zostaną otoczeni specjalną opieką. Odbudowa szkół zostanie natychmiast podjęta.

Rodacy!

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego dążyć będzie do najszybszego powrotu emigracji do Kraju i podejmie kroki do zorganizowania tego powrotu.

Jedynie dla agentów hitlerowskich i dla tych, którzy zdradzili Polskę we wrześniu 1939 r. granice Rzeczypospolitej będą zamknięte.

Rodacy!

Stoją przed nami gigantyczne zadania. Będziemy je realizować dalej nieugięcie i zdecydowanie. Odrzucimy przez warcholów, agentów reakcji, którzy przez rozbijanie jedności narodowej, przez próby prowokowania walk między Polakami idą na rękę hitlerystom.

Zadania wyzwolenia Polski, odbudowy państwowości, doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca, uzyskania dla Polski godnego miejsca w świecie, rozpoczęcia odbudowy zniszczonego kraju — oto nasze naczelne zadania.

Nie można tych zadań urzeczywistnić bez jedności narodowej. Wykuwalismy tę jedność w ciężkiej walce podziemnej.

Powstanie Krajowej Rady Narodowej było wyrazem jej urzeczywistnienia się. Powstanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego jest dalszym krokiem na tej drodze.

Rodacy!

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego wzywa Was: Wszystko dla najprędszego wyzwolenia Kraju i rozbicia Niemców!

Polacy!

Do walki! Do bronii!

Niech żyje zjednoczone Wojsko Polskie, walczące o wolność Polski!

Niech żyje sprzymierzona Armia Czerwona, niosąca Polsce wyzwolenie!

Niech żyją nasi wielcy sojusznicy — Związek Radziecki, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej!

Niech żyje jedność narodowa!

Niech żyje Krajowa Rada Narodowa — reprezentacja walczącego narodu!

Niech żyje Polska wolna, silna, niepodległa, suwerenna i demokratyczna!

NR 29 (1373) XXVII, 21 LIPCA 1984 R.

W ostatniej dekadzie sierpnia 1944 roku, w dniach 23-24, armia radziecka rozpoczęła ofensywę, która dała początek wyzwoleniu ziem polskich. 30 lipca Armia Czerwona stanęła nad Bugiem. W dwa dni później po sforsowaniu rzeki, wyzwoleny został Chełm. Ofensywa ta była prowadzona na odcinku ponad 1000 km wyczerpała chwytliwość armii radzieckiej i sprzymierzonych z nią wojsk polskich. W październiku 1944 roku, front ustabilizował się ostatecznie na linii rzek Biebrza, Wisła i Włostka. W czterdziestolecie dziejach PRL wziął wówczas początek rozdział, który nierzadko nazywany jest umownie okresem „Polski lubelskiej”.

NA WYZWOLONICH OBSZARACH

ziem polskich rodziła się nowa rzeczywistość, realizowały się zapowiedziane wcześniej nowe zasady organizacji społecznej i politycznej Rzeczypospolitej, powracało życie; uruchamiano gospodarkę, realizowano reformy społeczne, których zwiastunem była listopadowa deklaracja PPR „O co walczymy?”. Był to etap realizacji demokratycznych przeobrażeń ustrojowych, było to zaranie Polski Ludowej.

Gdy armia radziecka stanęła nad Bugiem, 30 lipca, w Moskwie, na posiedzeniu utworzonej w tym okresie Delegatury KRN, podjęto decyzję o powołaniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN) — tymczasowego organu wykonawczego KRN. Przewodniczącym PKWN został działacz odrodzonej PPS Edward Osóbka-Morawski. Jego zastępcami mianowano: Wandę Wasilewską (ZPP) i Andrzeja Witosa (SL). W następnym dniu PKWN rozpoczął swoją działalność. Już w pierwszym tygodniu funkcjonowania Komitetu (26 lipca), została podpisana umowa między PKWN a rządem radzieckim o stosunkach wzajemnych pomiędzy wodzem naczelnym Armii Czerwonej a polską administracją na terenach wyzwolonych.

W wydanym 22 lipca 1944 roku Manifestie PKWN, dokumencie programowym „Polski lubelskiej” znajdujemy zapowiedź woli budowania „nowej Polski” w myśl założen ideowo-programowych PPR i całego obozu lewicowego. Manifest lipcowy rozwijał myśl i postulaty społeczne zawarte w Deklaracji Programowej PPR z listopada 1943 roku, w deklaracji KRN oraz projekcie deklaracji PKN (Polskiego Komitetu Narodowego utworzonego w ZSRR z inicjatywy przebywających tam polskich komunistów).

Manifest PKWN był przede wszystkim programem politycznym. Równocześnie zawierał podstawowe założenia społeczne i ustrojowe nowej, ludowej Polski. Zapowiadał przeprowadzenie podstawowych reform społecznych, w tym reformy rolnej oraz przyjęcie pod Tymczasowy Zarząd Państwowy majątków i kapitału niemieckiego. Nie szedł w swoich postulatach społecznych zbyt daleko, w każdym bądź razie nie tak, jak deklaracja listopadowa PPR czy KRN, zapowiadające nacjonalizację podstawowych gałęzi gospodarki narodowej.

Manifest przyjął formalnie zasady demokracji parlamentarnej. Faktycznie jednak likwidując władzę oraz pozycję ekonomiczną ziemiaństwa i wielkiej burżuazji, stworzył prawnoustrojową podstawę do budowy społeczeństwa i państwa demokracji ludowej. Pomimo że przyjęcie państwowego nadzoru nad podstawowymi gałęziami gospodarki miało charakter „tymczasowy”, to jednak stworzyło faktycznie warunki do nacjonalizacji większości majątków w okresie „Polski lubelskiej”. Wówczas to powstały już załaski przyszłej gospodarki socjalistycznej.

NIEFATNY BYŁ POWRÓT DO NORMALNOŚCI

Zniszczenia wojenne były ogromne. Zastąpiła od razu pilna potrzeba uruchomienia ocalałego przemysłu i transportu, zorganizowania handlu, zaopatrzenia. Celem zabezpieczenia majątku w fabrykach tworzyły się samorzutnie straż robotnicze. Na apel nowych władz podejmowała pracę znaczna część urzędników i inteligencji przedwojennej. Naczelnym zadaniem nowej władzy było stworzenie znośnych w tamtej sytuacji warunków życia i organizowanie wysiłku całego narodu do walki z okupantem.

Sytuację ówczesną scharakteryzował później, na I Zjeździe PPR w referacie sprawozdawczym KC Władysław Gomułka w sposób następujący:

„Zastaliśmy (na ziemiach wyzwolonych — przyp. aut.) tylko wielki zapał i entuzjazm ludzi pracy, którzy chcieli budować nową Polskę i tworzyć w niej nowe życie. Poza tym nie zastaliśmy niczego. Nie zastaliśmy w kasach i bankach ani grosza pieniędzy państwowych, gdyż okupant zabierał je za sobą. Nie zastaliśmy żywnościowych i innych składów, gdyż wzięli je przedtem okupanci, a poza tym był okres przednówka. Nie zastaliśmy w ocalałych fabrykach pasów, narzędzi, surowców. Nie zastaliśmy wagonów, parowozów ani samochodów. Zastaliśmy tylko zniszczoną spłoniętą wsi, miasta, zrujnowane i wysadzone w powietrze mosty, drogi, tor kolejowe. Zastaliśmy czasem mury po wywiezionych fabrykach. I jeszcze coś zastaliśmy. Zastaliśmy jeszcze dywersję przyzwoitej reakcji, która chciała nas zabić przez zabicie ducha narodu”.

Śledząc do wspomnień ludzi, którzy tamtą powojenną burzliwą rzeczywistość tworzyli, można natknąć się często na refleksje podobne tej, jaką znalazłem u Ryszarda Wójcika:

„Mimo trudności i konfliktowych sytuacji ten pierwszy okres zachowujemy na ogół we wdzięcznej pamięci. Dominował patos pionierstwa. Rozsadzała nas energia. Radość odbudowy znajdowała szybkie potwierdzenie w faktach. Świadomość, że tworzyliśmy historię była potężna”.

Na pytanie o to, czy tworzyliśmy ją tak, jak chcieliśmy R. Wójcika, odpowiada: „Tak się nam wówczas wydawało. Dziś wiem że nie jest to w ludzkiej mocy tworzenie historii według własnej o niej wyobraźni. Jej stawianie się określa wiele czynników, na które nie mamy wpływu...”

4 ODGŁOSY

Nieodparcie przychodzi na myśl Karol Marks i jego II teza o Feuerbachu:

„Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat: idzie jednak o to aby go zmienić”.

A z drugiej strony pełne humanizmu i szacunku dla przeszłości sformułowanie będące istotną tezą marksistowskiej dyalektyki o tym, iż co prawda ludzie, narody, społeczeństwa tworzą własną historię, ale przecież nie czynią tego w sposób dowolny. Nie można zapomnieć o tym, z czego wyrosliśmy, o dokonaniach poprzednich generacji stanowiących rodzaj gleby, na której stawaliśmy się sobą, co uczyniło nas takimi jacy jesteśmy. Podobnie nie można ignorować w zamiarze „zmieniania świata” uwarunkowań, które tymże światem rządzą, które determinują nasze działania: ograniczają je, redukują do minimum szanse ich powodzenia, albo popychają naprzód. Bynajmniej nie hurarowalucyjnym porwytem ta ostatnia prawda czasem umyka gdzieś z pamięci.

REFORMA ROLNA

Wkrótce pojawiły się trudności z wypełnianiem aktów nowej władzy. Dotyczyło to szczególnie dekretu PKWN z 6 września 1944, o reformie rolnej. Bez jakichkolwiek odszkodowań przejmowano majątki niemieckie i kolaborantów. Natomiast folwarki Polaków wywłaszczano wprawdzie również bez odszkodowań.

KAROL J. STRYJSKI

Na początku była „Polska lubelska”

ale za tzw. zaopatrzeniem, co pociągało za sobą konieczność spełnienia znacznych świadczeń, szczególnie dla osób zasłużonych w walce z Niemcami. Aby nie naruszać własności bogatych chłopów utrzymywano i różnicowano na dość wysokim poziomie (50 ha użytków rolnych) stan ich posiadania. O ziemię dla siebie upominali się robotnicy rolni, folwarcy. Pierwszeństwo do ziemi z parcelowanych majątków, uważali oni za swoje bezsporne prawo. Odmienne jednak zdania byli chłopogospodarze i ludowcy, którzy powołując się na względy gospodarcze, domagali się od reformy przede wszystkim upelnorolnienia. Tego rodzaju postawa nie była pozbawiona racji, gdyż tworzenie nowych, drobnych gospodarstw oznaczało degenerację struktury i ograniczenie wytwórczości rolnictwa; upelnorolnienie — to jego uzdrowienie.

W tej sytuacji brak ziemi do nadania stał się podłożem sytuacji konfliktowych. W Lubelskiem i Białostockim zapas przejętych gruntów folwarcznych pozwalał obdzielić ziemią około 15 proc. ogółu bezrolnych i małorolnych, a w Rzeszowskim jeszcze mniej, bo zaledwie 8-9 proc. Pomimo to ani PKWN, ani kierownictwo PPR, nie uległy presji obniżenia granicy powierzchni majątków podlegających parcelacji.

Jest prawdą, iż reforma rolna nie rozwiązała społeczno-gospodarczych problemów „Polski lubelskiej”. Konieczność dyktowana sytuacją wojenną, potrzeby frontu zmusiły nowe władze do nakożenia w sierpniu na zrujnowane gospodarstwa chłopiekie znienawidzonych z okresu okupacji kontyngentów. We wrześniu zjawili się we wsiach pierwsze brygady apropracyjne. Na niezadowolonych chłopów próbowało „ubić kapitał” polityczny reakcyjne podziemie. Reforma rolna poruszyła jednak świadomości ludności wsi, wpłynęła na postawy pozytywne wobec nowej władzy (pamiętamy, iż PKWN opozycja długo i uparcie piętnowała mianem „agentury”). Trud podjęty w roku 1944 nie był stracony. Warto w tym miejscu przypomnieć, iż mając na uwadze obawy i aspiracje wsi, PKWN zdecydował się przeprowadzić parcelację z tytułu reformy w sposób, który miał utwierdzić chłopów w przekonaniu, że nadana im przez nową władzę ziemia pozostanie na zawsze ich własnością. Tak więc komunistów w Polsce po raz pierwszy rozdzielił ziemię za opłatą, aczkolwiek niewielką. Sądzę, iż czynione naciski na konstytucyjne gwarancje własności rodzinnej na wsi, uwiecznione nowelizacją Konstytucji PRL, są jakby konsekwencją reformy rolnej przeprowadzonej „po polsku”.

Do dziś wielu historyków, publicystów i polityków powtarza pytanie o to, czy reforma rolna była wówczas przede wszystkim rozwiązaniem polityczno-taktycznym nowej władzy, czy też bardziej — spełnieniem przez nią niejako „historycznej powinności”? Na ile była faktem uzasadnionym ekonomicznie? Czy była polską specyfiką czy też koniecznością? Ile z dziś przeżytych trudności gospodarczych sięga swoimi źródłami do tamtego ludowego nadania? Pytania można by mnożyć. Małeńką cząstką próby udzielenia na nie odpowiedzi może być zdanie zaczerpnięte z pracy Henryka Ślaska:

„Parcelacja folwarków data PKWN powinna kapitalizować nie tylko wśród chłopów, lecz i innych warstw społecznych, torowała drogę do serc i umysłów ludności, która miała być wyzwolona zimą roku następnego — 1945”.

OKRES RZĄDU TYMCZASOWEGO

Pomimo wspomnianych tu trudności sukces PKWN w wysiłku tworzenia podstaw do budowy nowej Polski był bezsporny. Skłoniło to 31 grudnia 1944 roku KRN do podjęcia decyzji o przekształceniu PKWN w Rząd Tymczasowy.

W jego skład weszło po pięciu przedstawicieli PPR, PPS i SL oraz dwóch z SD. Na przewodniczącego Rady Ministrów powołano Edwarda Osóbkę-Morawskiego, który kierował także resortem spraw zagranicznych. Pierwszym wicepremierem został Władysław Gomułka (PPR), a drugim — Stanisław Jaruzelski (SL). Już wkrótce, bo 4 stycznia 1945 roku, Rząd Tymczasowy został uznany przez Związek Radziecki, a następnie Czechosłowację i Jugosławię.

Fakty te postawiły „sprawę polską” na arenie międzynarodowej w nowym świetle. Na początku 1945 roku, a więc w przededniu zimowej ofensywy wojsk radzieckich i polskich, istniały już dwa rządy, z których jeden, uznany przez ZSRR, działał w kraju, realizował reformy społeczne i tworzył podwaliny nowego ładu ustrojowo-politycznego, administrował na mocy porozumienia z Armią Czerwoną wyzwolone tereny, drugi zaś — uznawany przez mocarstwa zachodnie, próbował z coraz odleglejszego Londynu pozyskiwać polskie społeczeństwo przeciw rewolucji ludowej. Rząd Tymczasowy był gabinetem koalicyjnym, organem wykonawczym sił lewicy społecznej, zjednoczonej — pomimo kontrowersji doktrynalnych — wokół idei budowy nowej, demokratycznej Polski. Obóz londyński opierał swoją orientację polityczną na rachubach restauracji przedwojennej Polski. Usiłował ignorować społeczne, gospodarcze i polityczne fakty dokonane w kraju.

W Polsce była już nowa sytuacja i to zarówno pod względem społecznym, politycznym jak i militarnym. Wytworzyła się ona na skutek oswożenia kraju przez Armię Czerwoną we współudziale z 1 i 2 AWP. Dokonała, choć jeszcze w ograniczonym zakresie reformy społecznej, zapadły już głęboko w świadomości Polaków. Znakomita większość społeczeństwa opowiadała się za tymi przemianami. Wymagało to utworzenia zapowiadanego w rozmowach „wielkiej trójki” rządu jednolitości narodowej, ale oparte na szerszej niż pierwotnie zamierzano podstawie. Nie było możliwe dokonanie tego wcześniej, ale też nierealnym było dalsze ignorowanie zmienionej sytuacji. Trudno bowiem było oczekiwać, aby na początku 1945 roku Związek Radziecki wyraził zgodę na likwidację Rządu Tymczasowego — jak tego sobie życzyła polska prawica polityczna — i utworzenie nowego jedynie na bazie czterech stronniczych londyńskich.

Na konferencji w Jaltie (luty 1945 rok) uzgodniono ogólne wytyczne wyłonienia w Polsce Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej przy udziale kraju i emigracji na zasadach, które zyskałyby dla niego uznanie W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Wkrótce, bo już na przełomie lutego i marca, a więc kiedy rozpoczęła swoje prace komisja w składzie: Molotow, Harriman, Clark-Kerr, nastąpił kryzys w stosunkach między „wielką trójką”. Zrodził on się m.in. na tle omawiania propozycji osób, które miały zostać dokooptowane do Rządu Tymczasowego. Trudności pojawiły się wówczas, gdy mocarstwa zachodnie powiększyły listę pierwszej „piątki” z kraju (arcybiskup Sapieha, W. Witos, Żuławski, prof. Bujak i prof. Kutrzeba) oraz „trójki” z emigracji (T. Romer, S. Grabski i S. Mikołajczyk), a Molotow uzależnił zaproszenie poszczególnych kandydatów od zgody Rządu Tymczasowego.

Impas w stosunkach przywódców koalicyjnych antyhitlerowskiej w powołaniu „sprawy polskiej” trwał w zasadzie aż do zakończenia wojny w Europie. Po zwycięstwie berlińskim nastąpiło pewne elastyczenie stanowiska mocarstw zachodnich. Wzmogła się aktywność „komisji trzech”, której zadaniem było doprowadzenie do wykonania postanowień konferencji jaltńskiej, a więc i wyłonienia w Polsce TRJN, który miał przygotować wybory do konstytuancy. W rezultacie doszło w drugiej połowie czerwca 1945 roku do rozmów w Moskwie pomiędzy przedstawicielami Rządu Tymczasowego a demokratami i politykami liberalno-burżuazyjnymi z emigracji i kraju.

W toku obrad moskiewskich Stanisław Mikołajczyk zgłaszał liczne pretensje i postulaty, które nie mogły być przyjęte przez reprezentantów lewicy. Powoływał się przy tym, jak w przypadku wniosku o zmianę na stanowisku prezydenta KRN, a następnie o stanowisku premiera dla siebie, na zapewnienia dane mu rzekomo przez Churchilla. Władysław Gomułka odpowiadając Mikołajczykowi, powiedział, iż o składzie rządu polskiego decydować winni jedynie Polacy, dodając równocześnie:

„(...) Nie obrażajcie się panowie, że my wam tylko ofiarujemy miejsce w rządzie takie, jakie sami uznajemy za możliwe. Myślimy bowiem gospodarze, wy zaś możecie się sądzić współgospodarzami Polski, jeśli zrozumiecie wasze błędy i pójście po drodze, którą idzie Rząd Tymczasowy. Porozumienia chcemy z całego serca. Lecz nie myślcie, że jest to warunek naszego istnienia. Bądźcie pewni, że za dwa trzy miesiące nastąpi (...) uznanie naszego rządu przez państwa zachodnie, które przez wasze wstąpienie do rządu — może nastąpić natychmiast”.

28 czerwca 1945 roku prezydent KRN, Bolesław Bierut, powołał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. W jego skład weszło 21 osób, w tym 7 przedstawicieli PPR, 6 — PPS, 6 — ludowców, w tym 4 z grupy Mikołajczy-

ka(PSL) oraz 2 z SD. Prezesem Rady Ministrów został E. Osóbka-Morawski, a teki wicepremierów otrzymali: W. Gomułka i S. Mikołajczyk. Rząd ten został w lipcu uznany oficjalnie przez W. Brytanię i USA.

WALKA O GRANICE

Zadanie obrony granicy zachodniej, wytyczonej w Jaltie oraz zagospodarowanie i zasiedlenie ziem odzyskanych było historycznym obowiązkiem TRJN. Orientując się w stosunku USA, a szczególnie W. Brytanii, nieprzychylnym naszym interesom, władze polskie podjęły inicjatywę mającą pomóc rozwiązaniu sprawy naszej granicy zachodniej zgodnie z dziejowymi i politycznymi racjami Polaków. TRJN zawarł jednostronne porozumienie z rządem ZSRR, na mocy którego Związek Radziecki wyraził zgodę na wprowadzenie polskiej administracji na ziemie nad Odrą i Nysą Łużycką. Pozwoliło to m.in. na osiedlenie tam około 800 tys. polskich osadników do czasu rozpoczęcia konferencji poczdamskiej. Niewątpliwie fakt ten wpłynął również na pozytywne dla nas rozstrzygnięcia podjęte w Poczdami; rozwiewał angielskie wątpliwości, czy Polska zdoła zasiedlić i zagospodarować nowe ziemie.

W kierownictwie PPR, człowiekiem, który w sposób szczególny zaangażował się w sprawę granicy zachodniej oraz szybkiej integracji ziem zachodnich i północnych z macierzą był Władysław Gomułka. Z jego inicjatywy powstał resort Ziem Odzyskanych. W. Gomułka będąc sekretarzem generalnym partii i I wicepremierem TRJN, stanął na jego czele. Z jednej strony podnosił to rangę spraw związanych z zagospodarowaniem i zasiedleniem tych terenów, z drugiej zaś — pozwalało rozszerzyć wpływy PPR w społeczeństwie polskim. Sformułowana na majowym plenum KC PPR teza, iż „Ziemie Zachodnie wiążą naród z systemem”, stanowiła przykład woli powrotu partii do koncepcji szerokiego frontu narodowego.

Sprawa granicy zachodniej była głównym przedmiotem zainteresowań „Wiesława”, jego pasją, w której nie miał żadnych zahamowań. Wyrazem takiej właśnie postawy były podjęte ze strony Gomułki zabiegi o uzyskanie od rządu radzieckiego pisemnej gwarancji granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Z jego inicjatywy polskie MSZ podjęło starania, by uzyskać od ZSRR taki dokument, nawet poufny („Z pola Walki” nr 2 1983, dyskusja redakcyjna).

W sytuacji, kiedy politycy zachodni podważali trwałość i nienaruszalność zachodniej granicy Polski, szczególnie na jej południowym odcinku, kiedy podejmowali próby nacisku na Stalina, postawa Władysława Gomułki nie powinna, jak się zdaje, budzić zdziwienia czy wątpliwości. Tak jednak się stało. Te starania Gomułki zostały później wykorzystane przez grupę dognatywną „Polskiej”. W 1948 roku Bolesław Bierut i Władysław Gomułka uczynili z zabiegów „Wiesława” zarzuty przeciw niemu. Był może Gomułka był przewrażliwiony. Powtarzał często:

Do świadomości społeczeństwa musi dobrać ta prawda, że jesteśmy partią polską. Niech nas krytykują i atakują jako polskich komunistów, a nie jako agenturę”.

Władysław Gomułka, jak mało kto w kierownictwie PPR i TRJN, rozumiał potrzebę dokonywania wszelkich zabiegów, które umacniałyby istnienie Polski nad Odrą i Nysą Łużycką, które czyniłyby z powrotu Polski Ludowej na ziemie piastowskie nieodwracalny akt dziejowej sprawiedliwości. Aktywność „Wiesława” i jego konsekwentny upór w trwaniu przy takiej postawie, trudno dziś przecenić, a tym bardziej poddawać niesprawiedliwej krytyce, pomówieniu.

Nasz powrót nad Bałtyk, Odrę i Nysę Łużycką był największym polskim zwycięstwem przez setki lat zmagani z niemieckim ekspansjonizmem, germańską zaborczością. Był też, obok reform społecznych i politycznych, największym sukcesem pierwszych lat Polski Ludowej. Chodziło jeszcze o to, aby powrót ten był trwały, na zawsze. Dlatego trudno się dziwić, że opinia polska była zgodna co do tego, że współzycie na tych obszarach z liczną i zważającą mniejszością narodową niemiecką było wykluczone. Transfer tej ludności do starej ojczyzny Niemców był konieczny. Należało również zabezpieczyć się przed tym, aby w przyszłości żaden niemiecki polityk — rewanżysta, nie mógł występując przeciw bezspornej polskości odzyskanych ziem powoływać się na „pokrzywdzoną mniejszość narodową”, jak to nieraz w przeszłości czyniono, ani na żadną inną rzecz, którą można by światu przedstawić jako „niesprawiedliwość”.

Po Poczdami nastąpił jeszcze długi, dwudziestopięcioletni okres zmagani o prawno-polityczne, ostateczne uznanie terytorialnego status quo ukształtowanego w Europie w wyniku II wojny światowej. Podpisano 7 grudnia 1970 roku układ o podstawach normalizacji stosunków pomiędzy PRL a RFN. W. Brandt powiedział m.in., iż oceniał ten układ przede wszystkim jako „ostateczne zakończenie cierpienia i ofiar z przeszłości”, dodając, iż w układzie tym, jak się wyraził: „nic nie zostało poświęcone, co by od dawna nie było już dla Niemiec przegrane”.

PRZEPROWADZENIE PODSTAWOWYCH REFORM

społeczno-ustrojowych, zapowiedzianych jeszcze w Manifestie PKWN, utworzenie TRJN i uzyskanie dla niego międzynarodowego uznania oraz uzyskanie sojuszników gwarantujących dla nowej granicy zachodniej, podjęcie trudu zasiedlenia i zagospodarowania ziem odzyskanych, wszystko to było niewątpliwie największym i najcenniejszym dorobkiem pierwszych miesięcy i lat Polski Ludowej. Rok 1945 był rokiem pełnego odrodzenia się Polski, a zarazem zapowiedzią dalszych przemian jej ustroju, zapowiedzią przejścia od etapu wyzwolenia i rewolucji demokratycznej do walki politycznej o socjalizm.

**MŁODZIEŻ KUBAŃSKA NA BUDOWIE
SZPITALA CENTRUM ZDROWIA MATKI—POLKI**

Foto: Andrzej Wach



Kiedy usiłuję sobie przypomnieć moje pierwsze świadome zetknięcie się z nazwami i rzekami, w których się w pamięci pewien słoneczny poranek maja 1921 r. w moim rodzinnym Zabrzu. Skończył wtedy sześć lat, szło mi na siódmą. Najpierw była zbiórka zabrzańskich powstańców na „Targu Czwartkowym” wiodczym z okien naszego mieszkania przy Alsenstrasse. Potem „baon zabrzański” przemarszował przed naszym domem. Powstańcy byli w cywilnych ubraniach z białoczerwonymi opaskami na ramionach, na głowach mieli kapelusze lub maciejówki, a w łufach karabinów — gałazki, bzu. Zupełnie jak w słaskich filmach Kutza. Śpiewali pieśni powstańcze, chyba i te, która śpiewano na spotkaniach rodzinnych w naszym domu:

„O świątym kraju nasz,
Nad Odrą czuwa straż”
Gdzieś w tylnych szeregach kolumny maszerował mój starszy brat Paweł (był niewielkiego wzrostu), który miał wtedy 19 lat. Kiedy wrócił po kilku tygodniach, Odra ciśnie powtarzała się w opowiadaniach „weterana” zakończonych niedawno kampanii trzeciego powstania śląskiego.

Niedługo potem bojówka „Orgeschu” (skrót od „Organisation Escherich”) — skrajnie nacjonalistycznej niemieckiej organizacji bojówkarskiej, która stosowała bestialski terror wobec Polaków w okresie powstania i plebiscytu na Górnym Śląsku. Jedną z poprzedniczek późniejszej hitlerowskiej SA; napadła na nasze mieszkanie. Nie byliśmy sami. Prócz ojca i brata nocował u nas Roman Luboński, krewny matki z Dobrodzienia, który służył w polskich oddziałach Mieszanej Komisji Plebiscytowej. Był uzbrojony więc napad został odparty, choć polską sie krew. Musieliśmy uciec na drugą stronę ówczesnej granicy — do Chorzowa. Ale Zabrze, Odra, wszystko po „tamtej stronie” pozostało w żywej pamięci.

Potem jeszcze raz czy dwa byłem z rodzicami „po drugiej stronie” — w Dobrodzieniu. Rodzina mojej matki, Lubońscy, mieli pod Dobrodzieniem (w Hadasikach) niewielką gospodarkę. Syn ich, Roman, który odegrał opatrznościową rolę w czasie napału „orgeschowców” na nasze mieszkanie, został po powstaniu przez bojówkarzy niemieckich w Dobrodzieniu tak bestialsko pobity, że ledwo uszedł z życiem i kilka miesięcy przeleżał w szpitalu. Córka Agnes wyszła za stolara w Dobrodzieniu. Mówił — jak wszyscy w tych stronach — po polsku ale był członkiem Komunistycznej Partii Niemiec, więc mój ojciec, który był emperowcem (Narodowa Partia Robotnicza) uważał Agnes za straconą dla polskości. Jeden z dalszych członków tej rodziny, który zawsze „trzymał z Niemcami”, choć po niemiecku ledwo mówił, odwiedził nas we wrześniu 1939 r. w Chorzowie w mundurze SS-mana, tuż przedtem nim gestapo zabrano nas do Dachau. „Wn, Polaki, tej wojny nie wygracie!” — powiedział ojcę na pożegnaniu. Takie to było spraw i ludzi pomieszanie na tych pogranicznych terenach.

Z bratem byłem też raz „na przepustkę” w Bytomiu. Paweł pokazywał mi budynek polskiego gimnazjum i hotel „Lomnitz” ongiś siedzibę Polskiego Komitetu Plebiscytowego, którego mój ojciec był członkiem. Niesłusznie bytoby uważać, że pamięć o tych ziemiach „po drugiej stronie”, nad Odrą zachowała tylko ci co mieli z nimi takie bezpośrednie rodzinne kontakty, jak my na Śląsku, w Wielkopolsce czy na Pomorzu. Wstarczy przypomnieć tych licznych rodaków z różnych stron Polski, którzy wzięli udział w trzecim powstaniu śląskim. Ale nie tylko. No historii w chorzowskim gimnazjum uczył mnie prof. Lenczowski, pochodzący z Galicji, ale to on właśnie poukładał mi w głowie — jak należało — wszystkie daty i fakty odnoszące się do polskiego wladania na tych ziemiach i ich „niepowolny” utraty pod niemieckim naporem. Jeśli jednak na pozostałych ziemiach polskich świadomość taka istniała tylko w niektórych kręgach społeczeństwa, zwłaszcza wśród inteligencji to u nas „na zachodzie”, była ona powszechna z racji nowiaż historii, etnicznych i rodzinnych.

Odre mieliśmy zakodowaną w świadomości a wczulenie na stosunki z Niemcami było u nas stale obecne. Mój pierwszy w życiu artykuł, opublikowany w

Iwowskich „Sygnałach” (pod pseudonimem Józef Luboński) nosił tytuł „Bismarck a Polska” i był recenzją z książki prof. Feldmanna pod tym samym tytułem.

POWRÓT DO DOMU

Latem 1944 r., po wyzwoleniu wschodniej części kraju, znalazłem się najpierw w Otwocku, a potem w Lublinie. W rozplakatowanym na ziemiach wyzwolonych Manifestie PKWN moja uwaga szczególnie przyciągał ten fragment: „Stawiając do walki o wolność Polski, o powrót do Matki-Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Pruszy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, a polskie słupy graniczne nad Odrą...”.

Odezwało się zakodowane w świadomości hasło „Odra”.

W Lublinie natknąłem się na pierwsze przejawy zorganizowanej działalności Polaków z ziem zachodnich. Chodziło o wydzielonych z zachodnich województw ówczesnej Polski, a wcielonych podczas okupacji do Rzeszy z Poznańskiego, Pomorza, Śląska. W tym sensie także łodzianie zaliczali się do „polskiego zachodu”. Powstawały komitety organizujące uchodźców i wysiedlonych z tych ziem. Została też podjęta próba reaktywowania przedwojennego Polskiego Związku Zachodniego. Próby te wydały mi się nie na miarę istniejących potrzeb.

Napisałem wtedy na gorąco memoriał w tej sprawie. Postulowałem rozwiniecie na znacznie szerszą skalę reaktywowania Polskiego Związku Zachodniego, jako bezpartyjnej organizacji społecznej skupiającej tych wszystkich Polaków, którym bliska była sprawa powrotu nad Odrę, także tych, którzy jeszcze przed wojną zaangażowani byli w sprawy polskich ziem na zachodzie w ramach prawniczych, zwłaszcza endeckich orientacji politycznych. Myślałem, że wyłożenie było stopniowe pozyskanie tych ludzi do współpracy z władzą ludową, reprezentującą jedynie realny program naszego powrotu na ziemię nadodrzańską i nadbaltycką.

Związek Obrony Kresów Zachodnich (założony w 1922 r.), przemianowany w 1934 r. na Polski Związek Zachodni, przechodził w Polsce międzywojennej różne koleje losu. W latach dwudziestych znajdował się w orbicie endeckich wpływów politycznych, w okresie późniejszym wpływy w PZZ zdobyła sanacja. Nie zmieniało faktu, że wielu działaczy z większości członków tej organizacji położyło wielkie zasługi w budzeniu czułości społeczeństwa polskiego wobec niebezpieczeństwa grożącego nam ze strony Niemiec, prowadziła w latach trzydziestych walkę z różnymi formami dywersji hitlerowskiej utrzymującą łączność z Polakami w Niemczech i świadomość polskości ziem nad Odrą i Baltykiem.

Memoriał, adresowany do KC PPR, złożyłem na ręce Zenona Kliszki. Wkrótce otrzymałem odpowiedź, że został on oceniony pozytywnie. Zaangażowałem się więc „pełną parą” w pracach PZZ. Komitet Reaktywiza-

cyjny został znacznie rozszerzony. W jego skład weszli przedstawiciele wszystkich partii i stronnictw politycznych, reprezentowanych w PKWN. Z ramienia PPR — Zenon Kliszko. Ja sam zostałem sekretarzem generalnym nowego PZZ.

„Elałowo” pracowałem wtedy w Resorcie Sprawiedliwości PKWN, jako wicedyrektor Biura Personalnego.

Moje dyktowanie w Resorcie Sprawiedliwości i praca społeczna w PZZ nie trwały długo. W styczniu 1945 r. przed spodziewaną nową ofensywą radziecką przystąpiono do tworzenia grup operacyjnych, które na nowo wyzwolonych terenach miały pomagać w organizowaniu partii i władz terenowych. Zostałem przydzielony do grupy generała Aleksandra Za-

JOZEF DUBIEL

Odre mieliśmy zakodowaną w świadomości

wadźkiego, która miała wyjechać na Górny Śląsk.

W końcu stycznia wymoszczonymi słoma „willysami” przez skutą lodem Wisłę, Kielce i Kraków, dotarliśmy do Katowic. W Krakowie, na polecenie gen. Zawadzkiego, zwołalem pod firmą PZZ zebranie Ślązaków, którzy podczas okupacji znaleźli się w tym mieście. Część obecnych ruszyła razem z nami, albo wkrótce po nas do Katowic, aby na różnych stanowiskach przystąpić do pracy. Zostałem pierwszym po wyzwoleniu prezydentem Chorzowa mój brat wkrótce potem objął takie samo stanowisko w Zabrzu. Nie było tylko ojca, który na zawsze pozostał w Dachau. Kilka lat później ulica, przy której stał mój dom rodzinny, otrzymała po cici ojca nazwę Pawła Dubiela — sekretarza Związku Górników Zjednoczenia Zawodowego Polskiego na okręg zachodni, działacza plebiscytowego, ofiary hitlerowskiego terroru.

W ramach wielkiego narodowego powrotu na ziemię nadodrzańską dokonał się także nasz własny, mój — powrót rodzinny.

Wier jednak „Polaki wygrali tę wojnę”.

ZACHÓD WOLA

Także moja „prezydentura” w Chorzowie nie trwała długo. Już po kilku miesiącach, latem 1945 r. zostałem wezwany do Komitetu Centralnego PPR w Warszawie. Polecenie partyjne brzmiało: reaktywować się jako sekretarz generalny PZZ. W ciągu kilku miesięcy dokonał się bowiem spontaniczny rozwój PZZ na wszystkich terenach wyzwolonych. Siedziba organizacji została w tym czasie przeniesiona do Poznania. Razem z Czesławem Brzózka, Czesławem Pilchowskim i Stanisławem Kubiakiem stanowiliśmy tej sztab kierowniczy. Prezesem Rady Naczelnej był

Wacław Barcikowski, wiceprezident Krajowej Rady Narodowej i przewodniczący Stronnictwa Demokratycznego, wiceprezami zaś — Zenon Kliszko z PPR i Stefan Hanneman z PPS.

Poznań był wtedy czymś w rodzaju stolicy ziem zachodnich. Aktywność poznańskiego PZZ rzucała się w oczy już na ulicach miasta. Wszędzie wielkie transparenty: „PZZ — Polacy, zachód wola”. Już od kwietnia poznański okręg PZZ prowadził wielką akcję przesiedleńczą naceLOWaną głównie na Szczecin i inne miasta Pomorza Zachodniego.

Obok PZZ pod energicznym kierownictwem prof. Zygmunta Wojciechowskiego niezwykle aktywną działalność prowadził Instytut Zachodni. Edmund

Łączy byłego Związku Polaków w Niemczech. Z przyczyn historycznych uwarunkowanych w środowisku tym dominowały tendencje solidaryzmu narodowego, a często i społecznego, polskość przybierała tu często barwy „bogoiczyźniane”. Teraz działacze wychowani w tym duchu znaleźli się w Polsce Ludowej, objętej głębokimi przeobrażeniami rewolucyjnymi. Cóż dziwnego, że trudno było im odnaleźć się w tym wszystkim.

Szczytowym momentem działalności prowadzonej przez PZZ wśród ludności rodzimej był „Kongres Autochtonów”, który odbył się w listopadzie 1946 r. w Warszawie, w sali Romy. gdzie odbywały się także posiedzenia Krajowej Rady Narodowej. Zjechało wówczas 3000 delegatów ze wszystkich śro-

dania autorytet polityczny (jako sekretarz generalny Polskiej Partii Robotniczej) i autorytet osobisty, wynikający z cech jego osobowości?

Gomułka, bez względu na „klucze partyjne”, umiał korzystać ze współpracy fachowców z Delegatury rządu londyńskiego, ludzi swojej partii i innych stronnictw, bezpartyjnych. W Radzie Naukowej przy Ministerstwie Ziemi Odzyskanych z ogromnym zaangażowaniem uczestniczyli najwybitniejsi naukowcy polscy z różnych dziedzin nauki. Chciałoby się powiedzieć: był to konkretny przykład porozumienia narodowego w tym wielkim, ogólnonarodowym dziele, jakim było zasiedlenie i zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych.

Ministerstwo Ziemi Odzyskanych, to była nie tylko centrala, która mieściła się w Warszawie przy ul. Litewskiej 10.

Ministerstwu podlegał Państwowy Urząd Repatriacyjny. Młodym ludziom skróty „PUR” i „Purowiec” nie mówią, są pustym dźwiękiem. A przecież w tamtych latach była to instytucja potężna, a jej nazwa była na ustach wszystkich.

PUR zatrudniał w całym kraju około 10 tys. pracowników; raczej niedużo; jeśli wziąć pod uwagę ogrom zadań, jakie do niego należały: przesiedlanie ludności niemieckiej, repatriacja ludności polskiej ze Związku Radzieckiego, przesiedlenie ludności z województw centralnych na Ziemię Odzyskaną. W sumie migracje te obejmowały wiele milionów ludzi. PUR musiał te miliony przewieźć, wyżywić i osiedlić. W punktach etapowych PUR, które znajdowały się na granicach i w całym kraju, ludność rozdzielił i umierał. Żenili się i rozchodzili. Zderzały się różne kultury i obyczajowości, które dopiero w wiele lat później miały dać jednorodny, nowy polski stop na tych ziemiach. Na razie sporo było nieufności, konfliktów, antagonizmów. PUR był pierwszy, który je napotykał i łagodził? Był pierwszym opiekunem i przewodnikiem. Spełniał rolę nie do przecenienia w tym żywiołowym procesie osiedlania.

A środki? W 1945 r. na Pomorzu Zachodnim na 41 powiatów było 26 samochodów ciężarowych, na Mazurach zaś — 6. Nic więc dziwnego, że PUR był wówczas często krytykowany. Z perspektywy czasu minionego widać jednak przede wszystkim ogrom wykonanej pracy.

Wielką rolę w tym wszystkim przypadła także Ludowemu Wojsku Polskiemu. U boku Armii Radzieckiej nie tylko wywodziło ono te ziemie, nie tylko zaciągało straż nad Odrą, ale włożyło też ogromny wysiłek w zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych. Przed osadnikami wszędzie był saper, który rozminowywał domy i pola. Na terenach jeszcze nie zasiedlonych żołnierze siali i zbierali plony. A w przygranicznych osadnictwo „wojskowe” miało charakter pionierski.

I jeszcze jedno... Po wyzwoleniu przez Armie Radziecką i Wojsko Polskie ziem nadodrzańskich, po otwarciu przez żołnierzy radzieckich bram Oświęcimia i innych obozów hitlerowskich Ziemi Odzyskanej i wielka batalia polityczna w Poczdamie stały się dla mojego pokolenia następna wielka, praktyczna lekcja sojuszu polsko-radzieckiego, także dla ludzi stojących daleko od socjalizmu.

A Zachód? Najpierw był przekonany, że nie poradzi sobie z zagospodarowaniem tych terenów. Że jest to ponad siły Polaków. Ale w połowie lat sześćdziesiątych na Zachodzie inaczej zaczęto mówić i pisać na ten temat. W zachodniomiejemskim „Spieglu” pojawiły się artykuły o „polskim cudzie gospodarczym nad Odrą”.

Ministerstwo Ziemi Odzyskanych istniało zaledwie kilka lat. Zostało zlikwidowane na początku 1949 r. Znam ludzi, którzy po dzień dzisiejszy czują się jego „pracownikami”. Odwiedziłem w tych dniach w szpitalu bródnowskim Patrycego Dzierżyńskiego. Był naczelnikiem Wydziału Osadnictwa Rolnego w Ministerstwie Ziemi Odzyskanych, potem — jak długo się dało — zajmował się tymi sprawami w Ministerstwie Rolnictwa. Ma 89 lat. W ubiegłym roku ukazała się jego książka „Osadnictwo rolne na Ziemiach Odzyskanych”. Mimo podeszłego wieku i choroby nadal myśli o tych sprawach.

Niezwykle było to ministerstwo — Ministerstwo Ziemi Odzyskanych — jak niezwykle była sprawa, której służyło.



Werdykt komitetu nagrody Nobla byłby komentowane, szczególnie ostatecznie, rozmaicie, i to nie tylko w dziedzinie pokojowej. Pamiętamy jakim zaskoczeniem dla dużej części naszego społeczeństwa było przyznanie literackiego Nobla polskiemu poecie—emigrantowi, Czesławowi Miłoszowi. Z inicjatywy jednego z naszych stałych współpracowników — Edmunda Lewandowskiego — „Odgłosy” zorganizowały dyskusję redakcyjną. Jej myślą przewodnią było pytanie o to, który — zdaniem zaproszonych — ze współczesnych pisarzy polskich zasługuje na literackiego Nobla?

Z naszego zaproszenia skorzystali: **DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA**, **GRZEGORZ GAZDA** (prowadzący dyskusję) oraz **HENRYK PUSTKOWSKI**. Redakcję w dyskusji reprezentowali: **Karol J. Stryjski**.

G. GAZDA: — Pytanie o to, który z naszych współczesnych pisarzy zasługiwałby na nagrodę Nobla, proszę traktować jako dyskusyjną przynętę. Choć byłoby rzeczywiste powody, aby taką rozmowę podjąć. Przynajmniej trzy takie powody widzę: otóż, jak co roku, tak i przed kilkoma miesiącami Akademia Szwedzka rozstrzygała do właściwych instytucji oraz znakomitości literackich ankietę z zapytaniem o kandydatów do tegorocznej nagrody Nobla. Po drugie — w tym roku obchodzimy czterdziestą rocznicę PRL, zatem jest okazja, aby spojrzeć wstecz i zastanowić się nad tym, co przez ten czas polska literatura dokonała. No i trzeci powód, to po prostu zapotrzebowanie czytelniczej publiczności, która lubi najrozmaitszego rodzaju plebiscyty i ankiety. O tym świadczy chociażby ankiet „Polityki” na książkę 40-lecia, która wzbudziła kontrowersje i wywołała najrozmaitsze polemiki. Zatem pytanie, które postawiliśmy na wstępie może być dyskusyjną przynętą, ale także rzeczywistym zagadnieniem, które myślenie w naszym gronie możemy próbować rozstrzygnąć.

K. J. STRYJSKI: — Niestety pomysłodawca naszej dyskusji nie mógł być dziś obecny, ale zostawił tekst swojej wypowiedzi, który pozwoli sobie odczytać. Traktujmy to jako głos w naszej rozmowie.

E. LEWANDOWSKI: — Kogo możemy zaproponować do literackiej nagrody Nobla? Przede wszystkim ubolewam, że nie możemy już zgłosić Jarosława Iwaszkiewicza. Moim zdaniem był to najwybitniejszy nasz pisarz okresu powojennego. W dziesiątce najlepszych książek czterdziestolecia na pierwszym miejscu stawiam „Ślawę i chwałę”. Powieść tę szczególnie cenię za jej walory historyzoficzne.

Iwaszkiewicz nie był wprawdzie arcy mistrzem formy literackiej, ale zasłużył na Nobla całokształtem swojej pracy. Znakomicie pisał o muzyce, malarstwie, przekładał dzieła filozoficzne, recenzował książki innych. Był to po prostu bardzo mądry człowiek — dobrze zorientowany w wartościach kultury europejskiej, mający wiele do powiedzenia na temat losu ludzkiego. Niestety już nie żyje i jego kandydatura odpada.

W tej sytuacji największą chyba szansę spośród pisarzy polskich na zdobycie nagrody Nobla mają: Stanisław Lem, Sławomir Mrożek, Andrzej Kuśniewicz. Wszyscy trzej są znani i wysoko cenieni również poza granicami naszego kraju. Ponieważ trzeba wysuwać tylko jednego kandydata, decyduje się wybrać Andrzeja Kuśniewicza.

Jest to twórca reprezentujący bardzo wysoki poziom intelektualny i artystyczny. Na szczególną wyróżnienie zasługuje cztery powieści: „Król Obójg Sycylii”, „Strefy”, „Lekcja martwego języka” i „Trzecie królestwo”. W pierwszej z nich znajdujemy ciekawą koncepcję historii. Autor wyraża pogląd, że przyszłość jest niepodzielna i wobec tego każdy fakt jest ważny: być może nawet drobne zdarzenie wpływa na losy jednostek i społeczeństw. Z kolei w „Strefach” i „Lekcji martwego języka” spotykamy się z pięknymi obrazami dawnej Galicji. Prowincjonalizm i egzotyka tego regionu pociąga zresztą wielu pisarzy.

Największe wrażenie zrobiła na mnie ostatnia z wymienionych powieści Kuśniewicza, czyli „Trzecie królestwo”. Jej tytuł nawiązuje do prawie nie znanego w Polsce proroka niejakiego Joachima z Fiore, który w XII wieku odrzucił koncepcję bliskiego końca świata i przewidywał nadejście wspomnianej epoki rozumu i wolności. Głosił on że po epokach Starożytności i Nowego Testamentu przyjdzie czas Wszech Ewangelii, że w tym Trzecim Królestwie nie będzie już własności prywatnej oraz zaniknie konieczność pracy. Pod wpływem jego pism powstały zakony przypominające współczesne komuny hipisów. Kuśniewicz pokazuje, że takie eksperymentalne ruchy same nie mogą zmienić systemu. „Trzecie królestwo” lepiej pozwala zrozumieć podłoże społeczne tzw. kontrkultury niż znane nam ora e oecologów.

K. J. STRYJSKI: — Proponuję jeszcze, aby po wypowiedziach państwa zrobić coś w rodzaju małego plebiscytu, a więc by każdy z nas podał, podobnie jak to uczynił Edmund Lewandowski swoje typy do Nobla.

G. GAZDA: — Pomysłodawca rzecz potrafił bardzo serio. Proponuję jednak, że zanim zaczniemy mówić o ewentualnych kandydatkach, a więc i o sytuacji literatury polskiej, aby — bo sądzę, że warto — zastanowić się nad tym, czym nagroda Nobla jest. Cytowałem już kiedyś na łamach „Odgłosów” wypowiedź literaturoznawcy, prof. Nilssona z Uniwersytetu Sztokholmskiego zblizzonego do kół Akademii Szwedzkiej, który ironizował sobie na temat zainteresowania Polaków nagrodą Nobla. Stwierdził, że żadna w świecie literatura nie jest tak zainteresowana tą nagrodą, jak literatura polska. Nadając tym samym tej nagrodzie prestiż większy niż ten, na który w istocie by zasługiwała.

Od samego początku, to znaczy od 1901 roku, kiedy po raz pierwszy nagrodę Nobla w dziedzinie literatury otrzymał, dotyczył się wokół niej najrozmaitsze dyskusje. Zaczęły się podważano kryteria jakimśi Akademii Szwedzka się kieruje. A formuła która w testamentie Nobla jest zapisana głosi: że nagrodę winno się przyznawać za najbardziej znaczące dzieło o tendencjach idealistycznych. Jest to więc podstawowe kryterium w nadawaniu tej nagrody. Jednocześnie jednak gdybyśmy chcieli się zastanowić nad pisarzami, którym Nobla przyznano, a z drugiej strony zestawili nazwiska tych, którym tej nagrody odmówiono, to doszlibyśmy do wniosku, iż reguła z testamentu Nobla w zasadzie nie była brana pod uwagę. Być może zmienilo

się pojęcie idealizmu, czy tendencji idealistycznych. Dla przykładu nie otrzymał nagrody Nobla Lew Tolstoj, któremu zarzucili jeden z wpływowych wówczas członków Akademii Szwedzkiej brak idealizmu i powiedział tak: Lew Tolstoj skazuje na zagładę wszystkie formy cywilizacji i idealizuje egzystencję prymitywną, odbiera rządzący prerogatywy w stosowaniu rygorów prawnych wobec kryminalistów i pochwała anarchię... Takich przykładów można by jeszcze podać kilka.

Nie otrzymali Nobla: Gorki, London, Conrad, Zola, Tolstoj, Proust, Blok, Hašek, Joyce, Babel, Dos Passos, Brecht, Malraux, Achmatowa, Borges, Jewtuszenko itd... A zatem, czy my nie przesadzamy nadając nagrodę Nobla aż taką rangę? Czy nie powinniśmy może o dokonaniach literatury światowej i polskiej mówić abstrahując od tej nagrody?

D. CHRÓŚCIELEWSKA: — Podejrzewam, że to jest nie tylko kompleks małego kraiku, który leży co prawda w sercu Europy, ale którego mu od dawien dawna nie widzi się najlepiej, ale wydaje mi się, że te nasze wygórowane ambicje co do Nobla wiążą się z naszą przeszłością.

cią, historią, zaborami. W czasie, kiedy Polski nie było na mapie Europy, gdy Nobla dostał Sienkiewicz, to w świadomości narodu otrzymał ją przede wszystkim jako Polak. W ten sposób jako naród czuliśmy się zauważeni, wyróżnieni. To, że tego typu mentalność utrzymała się do dziś, to świadczy — przykro to powiedzieć — ale to świadczy o naszym prowincjonalizmie. Na pewno przeceniamy tę nagrodę, ale to w dużej części jest wynikiem losów naszego narodu.

H. PUSTKOWSKI: — Sądzę, że nagrodę literacką należy oceniać w kontekście nagród naukowych Nobla. Nagrody z nauk ścisłych, nauk, które pozwalają świat wyjaśnić a nie rozumieć są narazem jakby na ustawiczną rewidzję, bo wiadomo, że jedno nowe doświadczenie naukowe, nowe prawo obala wszystko to, co poprzednio uznawaliśmy za cenne, godne nagrody. Niemniej jednak dziś, jak słupy miłowe rozwoju nauki, nazwiska noblistów i ich odkrycia, promowane nagrodą Nobla, pozostają niewzruszenie prawdziwe, cenne. Natomiast działalność humanistyczna człowieka należy, jak sądzę, traktować jako swego rodzaju tkaninę łączną, w przypadku której istnieje możliwość pewnych zastępstw. Stąd możemy pytać: dlaczego ten, a nie tamten? Literacką nagrodę Nobla trzeba traktować jako swego rodzaju grę losową, w której na dodatek istnieje możliwość pewnych manipulacji pozaliterackich.

Przechodząc niejako do próby typowania, a więc i oceny literatury polskiej, zastanawiam się, czy uwierzyć przesłannemu Gombrowiczowi, że tak za wszelką cenę chcemy odcisnąć ten stygmat polskości na kulturze europejskiej, że to staje się aż żalotne? Czy też może przyjąć pogląd, który kiedyś często powtarzano, że poezja polska najciekawsza w poezji europejskiej i światowej?

G. GAZDA: — Nasuwa mi się jeszcze jedna uwaga w związku z tym, co dotąd powiedzieliśmy. Otóż wydaje mi się, że ten duży prestiż Nobla w świadomości polskiej krytyki literackiej czy czytelników jest związany z przeświadczeniem, wiarą w obiektywizm tej nagrody, niepodważalność kryteriów. Tymczasem, gdyby przejrzeć listę laureatów literackiej nagrody Nobla od jej początków w kontekście czasów, uwarunkowań społeczno-politycznych, to by się okazało, że w większości przypadków o przyznaniu nagrody decydowały względy pozaliterackie.

D. CHRÓŚCIELEWSKA: — Ja się obawiam, że to wszystko, o czym tu mówimy, nie jest tak proste. Przecież Nobla dostał także Szolchów...

G. GAZDA: — Potrafiłbym to umotywić. **D. CHRÓŚCIELEWSKA:** — Ta nagroda też może mieć aspekt polityczny, ale nie sądzę, aby wśród noblistów znaleźli się pisarze trzeciorzędni. Mogli się w tym gronie znaleźć drugorzędni.

G. GAZDA: — No... Mogę wskazać przynajmniej dwadzieścia nazwisk trzeciorzędnych pisarzy. Listę tę zacząłbym od Izaaka Singera.

D. CHRÓŚCIELEWSKA: — Nie znam, nie słyszę.

G. GAZDA: — Singer pisuje w języku jidysz. Wprawdzie jego książki tłumaczono na język angielski, ale jest to literatura dziewiętnastowieczna, zarówno pod względem warsztatu, problematyki, jak i wizji rzeczywistości. A zatem jest to, co najwyżej, dokument pewnej obyczajowości zapisany w staroświeckim stylu i nic więcej. Podobnych Singerowi jest więcej.

D. CHRÓŚCIELEWSKA: — Dobrze, ale dlaczego tak jest? Wyobraźmy sobie, że żyjemy w okresie dwudziestolecia międzywojennego i krzyczymy wszyscy, że nie ma lepszego pisarza niż Kaden-Bandrowski. Podobnie dziś ja jestem w stanie głosić na Kuśniewicza chociażby za świetną książkę — „Król Obójg Sycylii”. Tymczasem dziś Kaden-Bandrowski jest czytelny i czytany tylko przez polonistów. „General Barcz” jest lekturą najcięższą z możliwych. A zdawałoby się, że atrakcyjną, bo jest książką ponoć o Piłsudskim. A Żeromski? Kiedy Nobla dostał Reymont, to zwolennicy Żeromskiego załamywali ręce. A tymczasem patrząc, jak się literatura starzeje Co zostało z Żeromskiego atrakcyjnym do dziś? Na pewno „Przedwiośnie”, może „Syzyfowe prace”...

G. GAZDA: — I zostali „Dzienniki”...

D. CHRÓŚCIELEWSKA: Rzeczywiście. No, i opowiadania. Żeromski się zestarzał, a przecież był to lider literatury czasów naszych ojców. Nie zestarzał się tak ani Prus, ani Sienkiewicz... Skąd zatem pewność że nasze dzieci nie skrzyczą się kiedyś na nazwisko: Kuśniewicz...? Podobno nie starzeją się tylko arcydzieła, ale jak je rozpoznać?

K. J. STRYJSKI: — ... No, po tym, że się nie starzeją.

G. GAZDA: — Wróćmy jednak do czterdziestolecia powojennego, a to po to, aby zastanowić się na chwilę nad zjawiskiem, które nazwałbym układem fałszującym rzeczywiste wartości współczesnej literatury. Bowiem z jednej strony przypominam sobie powieść, którą uważam za jedną z najwybitniejszych z powojennych, choć była prawie nie zauważona przez krytykę. Były może trzy, cztery recenzje. Gdy tymczasem w innym przypadku ku tworzy się mit arcydzieła wokół powieści, która jeszcze nie ukazała się na rynku wydawniczym. Nazwisko jej autora pojawiło się na ostatniej wystawie w Paryżu w dziale najwybitniejszej literatury polskiej powojennej i wszyscy pytali: kto to jest? Domniemywano, iż jest to przyjaciel pana Lisowskiego, który był odpowiedzialny za ten dział. O jakich autorach mówię. Otóż w pierwszym przypadku myślałem o powieści Krzysztonia pt. „Obłęd”, a w drugim o książce „Kamień na kamieniu”, która na długo nim się ukazała została okrzykana za arcydzieło.

D. CHRÓŚCIELEWSKA: — Podobnych przykładów można podać więcej. Jest bardzo dobry poeta katowicki Feliks Netz. Jest młody prozaik krakowski Zbigniew Bela, autor dwóch bodajże książek. Jego druga powieść pt. „Kapitulacja”, wydana okropnie, pomimo że nieznana jest książka wybitna. Gdy w telewizji powiedział o „Kapitulacji” Sadekowi, że to jest dobra powieść, wokół Beli i jego książki zrobił się szum.

H. PUSTKOWSKI: — Gdyby Nobla dawano za jedną książkę, to bezsprzecznie wybrałbym „Wykład profesora Mma” Themersona. Jest to wspaniała książka, prześmiewcza, parodia, ale jakże mądra, filozoficzna o zagubieniu człowieka współczesnego.

D. CHRÓŚCIELEWSKA: — Moim typem jeśli chodzi o Polaków to jest jednak Różewicz. Dlaczego? Może dlatego, że Różewicz w swojej twórczości poetyckiej i prozatorskiej w sposób bardzo interesujący i uczciwy, konsekwentny traktuje swoją rolę, w sposób niejako klasyczny, przypisując literaturze rolę służebną wobec narodu. Jest to jedyny pisarz w Polsce, który towarzyszy konsekwentnie w całej swojej twórczości szaremu czytelnikowi w jego rozterkach i problemach codziennego życia. Nie chodzi mi o formę poezji Różewicza, bo ona jest cały czas taka sama, stąd profesor Sandauer zarzuca, że jest nudna, ale o jej treści, jej społeczne, ludzkie wartości.

H. PUSTKOWSKI: — Gdyby z prozy miał paść moja kandydatura, to typowałbym albo Parnickiego, albo Lema. Oba w swojej twórczości prezentują ów niezbędny element ogólności, z tym, że Parnicki ucieka w przeszłość, a Lem w przyszłość. Należy być jednak trochę pragmatykiem i dlatego bardziej stawiałbym na Lema, chociażby dlatego, że jest on już dobrze znany na Zachodzie. Chociaż z drugiej strony istnieje wciąż pewna nieufność w stosunku do nowych gatunków literackich, które są swoistym koniem trojańskim wprowadzającym problematykę filozoficzną. Ta przyszłość, którą znajdujemy chociażby u Lema, to jest w zasadzie nasza współczesność „rozpisana” na inny rodzaj techniki pisarskiej.

Jeśli zaś o poezję chodzi, to sądzę, iż takim z polskich poetów, który odpowiadałby formule Nobla — myślę o wartościach idealistycznych — jest ksiądz Jan Twardowski; bardzo wybitna indywidualność poetycka. Jego poezja mogłaby zapewne pełnić rolę — w tym ogromnym chaosie światopoglądów i poetyk — konsolidacyjną. Wydawać by się mogło, iż specyficzny u Twardowskiego „minimalizm” filozoficzny, dość mocno odbijający się na tle rozwichrzonych awangard może dziwić, a nawet szokować, to jednak kto wie, czy właśnie tego rodzaju poetyka nie jest dziś ludzom najbardziej potrzebna? Chociaż między Różewiczem, Twardowskim a Herbertem ma największą szansę ten ostatni, bowiem Herbert jest już w Europie znany.

G. GAZDA: — Przysłuchując się uważnie waszym wypowiedziom rodzi się taka refleksja, pytanie o to, czy ta nasza rozmowa nie jest czasami jakimś śmiesznym paradoksem. Na dobrą sprawę bowiem można mówić, jeśli nie o kryzysie, to sytuacji pewnej pustki w powojennej prozie. Zaden ze współczesnych żyjących prozaików nie stworzył dzieła, które byłoby na miarę swoich czasów. Wyjeżdżaliśmy już: Kuśniewicza, Parnickiego, Lema, no i jeszcze można by dorzucić np. Leopolda Buczkowskiego... I w zasadzie na tych nazwiskach można by zakończyć naszą rozmowę. A my tu zastanawiamy się nad Noblem dla naszej literatury.

D. CHRÓŚCIELEWSKA: — Nieprawda. Jestem jeszcze za dopisaniem na tej liście np. Jerzego Brzostkiewicza, a to za książkę pt. „Doktor Twardowski”. Jest to jedna z najmądrzejszych książek czterdziestolecia, mówiąca o destrukcji polskiej inteligencji.

H. PUSTKOWSKI: — Ale czy przez to nie za bardzo polska?

D. CHRÓŚCIELEWSKA: — Nieprawda. Podejrzewam że podobne problemy przeżywa inteligencja w wielu krajach Europy.

G. GAZDA: Jeśli źle myślę o naszej literaturze współczesnej to chociażby dlatego, że od czasów lektury „Obłędu” nie przeczytałem niczego, co by było w stanie mnie tak zainteresować, poruszyć, zafascynować jak tamta książka. Brakuje mi na przykład książki, która byłaby przykładem literackiego przekazu mądrości historycznej, społecznej, politycznej całego pokolenia. Na tego typu książkę zapowiadała się „Miazga”, ale jest to dzieło jakby niedokończone. Podobne zamierzenia pewno miał Putrament pisząc tę swoją trylogię pt. „Wybrańcy”. Pierwszy tom zapowiadał powieść na poziomie „Ślawy i chwały” Jarosława Iwaszkiewicza, ale drugi i trzeci są po prostu nie do czytania... Zostaje tylko „Obłęd”.

K. J. STRYJSKI: — Cóż, padło już kilka nazwisk kandydatów do literackiej nagrody Nobla, spróbujmy się zdecydować. Każdy z nas ma po dwa głosy. A więc może zaczniemy od Doroty Prose.

D. CHRÓŚCIELEWSKA: — Różewicz i Twardowski.

K. J. STRYJSKI: — Decydujesz się tylko na poetów?

D. CHRÓŚCIELEWSKA: — Tak.

H. PUSTKOWSKI: Jestem realista, a więc typuję tych, którzy moim zdaniem mają największą szansę: Herbert i Lem.

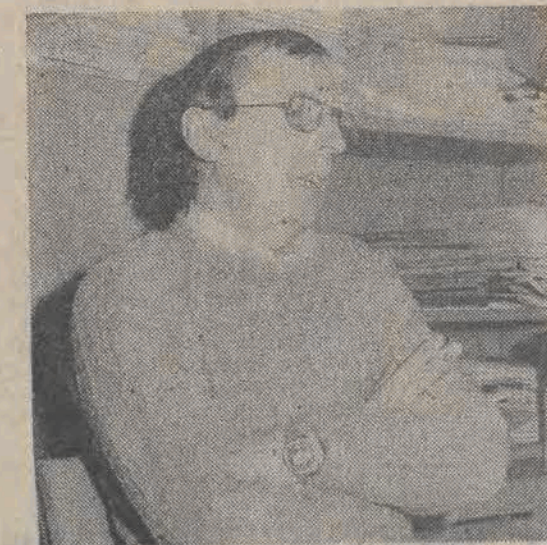
G. GAZDA: — Po tym wszystkim, co powiedziałem krytycznie o polskiej prozie to być może byłoby nieco wbrew sobie kogokolwiek teraz typować, ale skoro pan nalega to proponuję: z prozaików (nagrada za całokształt twórczości) Leopolda Buczkowskiego, no i jednak chyba Lema, ze względu na międzynarodową i zasłużoną karierę.

K. J. STRYJSKI: Parnicki i to pewnie przede wszystkim za sposób „godzenia” historii i literatury chociaż chciałoby się aby częściej niż dotąd literatura współczesna zapuszczała się w strefy historii najnowszej, nawet tej z dnia wczorajszego.

Dziękuję za udział w naszej rozmowie.

Opracował:
KAROL J. STRYJSKI

Komu Nobla, komu?...



Na zdjęciach (od góry): Grzegorz Gazda, Dorota Chrościelewska, Henryk Pustkowski, Karol J. Stryjski
Foto: Grzegorz Gatański

Z półki recenzenta

KOSZMARY BEJRUTU

W tytule nie ma przesady: jest to koszmar, gdzie grozi i śmierć są tak powszednie iż wywołują otepienie.

Ghada As Samman, syryjska dziennikarka i pisarka przeżyła w Libanie tragiczne wydarzenia w latach wojny domowej 1975-1976. Powstała wówczas powieść „Bejrut 75” oraz dramatyczna i pełna grozy opowieść „Koszmary Bejrutu” stanowiąca rejestr przeżyć autorki.

Proponując te książki pragnę powiedzieć jedno: jest to dokument wstrząsający a zarazem zawierający ostrzeżenie, że taka sytuacja może zdarzyć się wszędzie, i że należy uczynić wszystko by Bejrut 75 nigdy się nie powtórzył.

Przekład Hanni Jankowskiej.

Ghada As Samman: Koszmary Bejrutu. PIW 1984. Str. 300. Cena zł 150.

POCAŁUNEK KOBIETY — PAJAKA

To bardzo dziwna opowieść tego argentyńskiego pisarza znanego u nas z powieści „Przeklęte tango”. „Pocałunek kobiety — pajaka” czyta się jakby się osłabło dość długi serial telewizyjny: wszystko tu zostało zsynchronizowane w czasie, poszczególne odcinki tworzą całość choć akcja wcale się nie kończy i wiadomo że ciąg dalszy nastąpi. O czym jest książka? O przyjaźni dwóch wieźniów zamkniętych we wspólnej celi, którzy opowiadają sobie wzajemnie ciekawe przegrody bohaterów filmowych. Zaleca książkę jest jednak ta, iż autor odnosi się z dystansem do swoich bohaterów, a nawet w pewnych — intymnych — momentach ironizuje nad ich ludzką ułomnością.

Przekład Zofii Wasitowej.

Manuel Puig: Pocałunek kobiety — pajaka. PIW 1984. Str. 246. Cena zł 150.

STAN ZAWIESZENIA

Saul Bellow od piętnastu lat nie schodzi z naszego rynku czytelniczego. A więc: „Korzysta z dnia”, „Hercog”, „Dar Homboldta”, „Wspomnienia Mosbyego”. Teraz otrzymaliśmy jego debiutancki utwór napisany w 1944 r. pt. „Stan zawieszenia”. Jest to opowieść w formie dziennika pisanego przez młodego człowieka, który czeka na przyjazd do jednostki w czasie wojny. Kilku lat później okres oczekiwania zamierzał wypełnić wypoczynkiem, lekturą i pisaniem. Jednak dość szybko pojął absurdalność takiej egzystencji i poprosił o przyspieszenie wysłania go na front.

Przekład Teresy Lechowskiej.

Saul Bellow. Stan zawieszenia. PIW 1984. Str. 156. Cena zł 140.

HAMILTON CZY SŁOWESKI

Poprzednie zbiory tekstów tego znakomitego felietonisty były sygnowane nazwiskiem Hamilton. Obecny zbiór noszący tytuł „Pod znakiem Lwa i Armaty” jest podpisany Jan Zbigniew Słoweski (Hamilton). Ten Hamilton w nawiasie jest przyznaniem się Słoweskiego do przedziwnej reinkarnacji, jaka się mu przydarzyła w 1934 i 1959 r. Ale o tym w książce.

Felietony zebrane przez Słoweskiego-Hamiltona pochodzą z lat 1975-1980, kiedy to były co tydzień drukowane na łamach „Kultury”. Dziś czyta się je nie tylko od nowa, ale i po nowemu. Jest to kronika aktualności z tamtych czasów, a jednocześnie intelektualny komentarz do spraw szerszych i zasadniczych.

J. Z. Słoweski (Hamilton): Pod znakiem Lwa i Armaty. Czyt. 1984. Str. 378. Cena 180 zł.

AFORYZMY CAPKA

Tego autora nie trzeba przedstawiać. Zna się jego powieści: „Fabryka absolutu”, „Inwazja jaszczurów”, „Hordubal, Meteor. Zwyczajne życie” itp. W roku ubiegłym ukazały się u nas jego „Bajki i przypowieści”. A teraz otrzymaliśmy wybór aforyzmów.

Państwowy Instytut Wydawniczy od lat wydaje zbiory celnym powodzeniem ludzi wielkich i sławnych, czym zyskał sobie wdzięczność miłośników krótkich form zawierających ładunek intelektualny. A oto myśl z prezentowanego przez nas zbiorku: „Sens polemiki polega na tym, że każda ważna kwestia rozbiła ona na d-ścieś albo dwadzieścia kwestijek; polemika z całą pewnością zlikwiduje każdą kłótnię przez to, że ją rozłoży na elementy pierwsze”.

Przekład i wybór Haliny Janaszek-Ivanickowej.

Karel Capek: Aforyzmy. PIW 1984. Str. 106. Cena 50 zł.

ŚMIERĆ NA ŻYWO

Jest to opowieść z kategorii fantastyczno-naukowych, które cieszą się ogromnym powodzeniem wśród czytelników różnego stanu wieku i zawodu. Oczywiście jak każda powieść ambitna, również i ta opowiada o dylematach ludzi którzy z różnych powodów znaleźli się w trudnych sytuacjach życiowych wymagających nieraz ostatecznych decyzji.

Powieść „Śmierć na żywo” — powstał na jej kanwie film — opowiada o człowieku posiadającym telewizję i realizującym swój film o śmiertelnie chorej kobiecie, której dni dobiega kresu. Jest to film smutny nostalgiczny, chwilami brutalny i okrutny, ale ludzko prawdziwy.

Przekład Blanki Kuczborskiej.

D. G. Copton: Śmierć na żywo. Czyt. 1984. Str. 254. Cena 180 zł.

ODGŁOSY 8

Okazuje się, że sprawa wcale nie jest jednoznaczna. Autorzy wypowiedzi zamieszczonych dotychczas w tym miejscu w swoich opiniach byli tyleż interesujący, co kontrowersyjni. Komu więc i za co należy przyznać doroczną „Nagrodę Tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie Kultury”?

Dziś na ten temat wypowiada się dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego, dr JACEK ZAORSKI.

Kto ma otrzymać nagrodę „Odgłosów”

— Sprawa wcale nie jest prosta, jakby się zdawało. Co ja rozumiem pod pojęciem upowszechniania kultury? Jest to popularyzowanie dorobku kulturalnego, wszelkich gałęzi twórczości wśród jak najszerszych kręgów odbiorców. To się osiąga — w moim odczuciu — przez publikowanie książek, przez teatr, film, koncerty, wystawy. Ale ograniczyć się do przykładu książki: jeśli autor napisał utwór, to tym momentem upowszechniania jest opublikowanie tego utworu, czyli wprowadzenie dzieła na rynek czytelnicy. Natomiast elementem towarzyszącym tak rozumianego upowszechniania jest reklama, która winna publikacji towarzyszyć. Mam tu na myśli przede wszystkim krytykę literacką zarówno w prasie, radiu i telewizji. Ten element krytyki jest niezwykle ważny w przypadku książki, gdyż bowiem nie tylko reklamie, ale jest pewną formą sprawdzania się pisarza. Każde bowiem dzieło, kiedy już zostało napisane

i wchodzi do obiegu społecznego, przeżywa pewnego rodzaju konfrontację z odbiorcą. Jeśli dzieło to zawiera także treści — szeroko pojęte — na których nam zależy, trzeba wówczas książkę pomóc przez stworzenie wokół niej właściwego klimatu, co w efekcie prowadzi do jak najszerszego zainteresowania się danym tytułem. Element ten jest niezwykle ważny w przypadku debiutów.

A teraz postaram się odpowiedzieć — oczywiście jak ja to rozumiem — na pytanie, kto to jest działacz kultury? Dla mnie może to być zarówno działacz profesjonalny jak i amator. Zasadnicza sprawa polega nie na tym, czy ktoś bierze pieniądze bo na przykład pracuje w Domu Kultury, wydawnictwie, księgarni itp., a na tym, jak wykonuje swoją pracę. Działacz kultury musi upowszechniać to, na czym się zna. Wydawca — powracając do przykładu książki — księgarz jest propagatorem literatury pod warunkiem, że ta literatura jest dobra. I tym właśnie — w moim przekonaniu — księgarz winien się różnić od innych sprzedawców. I on, i wydawca bowiem oferują odbiorcy „towar”, który może uczynić wiele dobrego dla ludzkiej umysłu, podobnie jak i wyrzucić niepowetowane straty. W tym rozumieniu każdy księgarz i każdy wydawca jest działaczem kultury współtworząc ją i upowszechniając.

Działacz kultury winien być zaangażowany w to, co robi. I to zarówno rozumowo jak i emocjonalnie. Mówiąc inaczej: niezależnie od tego, czy jest działaczem społecznym czy zawodowym, praca na polu kultury musi stanowić pasję jego życia. Te dwa elementy — w moim rozumieniu — składają się właśnie na taką sylwetkę. Powtarzam: przygotowanie zawodowe i pasja społecznika.

Działacz kultury musi mieć świadomość, że upowszechnia na ogół nie swój własny dorobek. Po prostu popularyzuje to, co stworzyli inni. W przypadku wydawcy, edytora nie może zadrzeć poście, że pisze poezję, prozaikowi, że napisał powieść. Musi się cieszyć z tego, że właśnie ten dobry tom poetycki trafił do jego oficyny i że on może być jego wydawcą. Każdy sukces autora, każda otrzymana przez autora nagroda jest także sukcesem edytora. On bowiem upowszechnia to dzieło, dał je do ręki czytelnikom, wprowadził do dorobku narodowej kultury. W związku z tym musi mieć edytor głęboką świadomość odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa. Jest to bowiem współodpowiedzialność za współtworzenie narodowego dorobku intelektualnego. W tym znaczeniu każdy działacz kultury jest człowiekiem kulturotwórczym. Odnosi się to nie tylko do książki, ale i wszelkiej działalności na polu kultury: plastyki, muzyki, teatru, filmu itp.

Na zakończenie chcę powiedzieć co następuje, sądzę, że takim klasycznym przykładem działacza kultury w Łodzi, trószczącego się o dorobek kulturalny naszego miasta i starającego się udostępnić go jak najszerszym kręgom odbiorców jest dyrektor Muzeum m. Łodzi, Antoni Szram.

(E. I.)

Poszukiwanie zagubionych znaków

„Z potoku obrazów wylania się świat” — pisze Henryk Hartenberg w „Czasie medytacji”, jednym z wierszy z tomu „Pożar” w chmurach. Jakże się to obrazuje, taki jest świat kreowany przez poezję?

Trzy wyznaczniki stylizacyjno-ideowe zdeterminowały utwory zawarte w zbiorze „Pożar w chmurach”: sensualizm, katastrofizm i mit arkadyjski. Przeciwności one wzajemnie uzupełniają.

Stalymi rekwizytami stylizacyjnymi są ewokacje z kręgu kategorii ostatecznych: „nieśkończoność”, „wiekiute przetrwanie”, „kraniec mroku”, „granica strząsanego horyzontu”, „pustka przegromna”, „głębokość czasu”, „cisza przegromna”, „wielkie milczenie”, „ostatnie westchnienie ginącego świata”, „wołanie wszystkich ptaków”, „błaganie wszystkich gwiazd i księżyców, wszystkich drzew i kwiatów, wszystkich zwierząt i wszystkich ludzi”, „granica chaosu”, „harmonia wszechświata”, „zamknięty ogród”, „szukanie prapoczątku”, „utrącony czas”, „odpryski wieków”, „namieć świata, popiół rozpadał się w chwilę”, „wvobrażnia przenosząca w prapoczątek”, „obraz niepamięci”. Poeta odwołuje się do szczegółu na rzecz poeii o uniwersalistycznej konotacji. Składają się one na wielkie panneau, w którym znajdujemy obraz świata w makroskali.

Poezja ta operuje w obrębie „poezji obrazu”. Tętnem jest panorama świata naznaczonego piętnem zagłady. Jest to „poezja natury” (konotacje kulturowe pełnią jedynie wspomagać rolę eksplicytną), ale natura traktowana jest tu alegorycznie, a choć jest wszechmocna (co stanowi istotną cechę utworów), jej atrybuty są z niej wyosobnione i w aspekcie malarzkości występują w szatunkowej postaci. Z poetycznych doznań i wrażeń budowane są stopnie wlewy ontologiczne. Sensualizm jest środkiem służącym do waloryzacji zjawisk i stanów osłabianych bądź obserwowanych przez podmiot liryczny.

Owa szatunkowość pejzażu, alegoryczność poetyckiej wizji, atmosfera zniszczenia spustoszenia, związane są z wiatkiem katastroficznym. Odczuć, że katastrofizm dotknął świat, ciąży na jego obrazie kreowanym przez poezję. Kataklizm ten miał wymiar wszechświatowy, a pod-

miot liryczny jawi się nowym Deukalionem, jedyną istotą ocalałą z potopu, „pożaru w chmurach”. Zniszczeniu nie oparły się nie tylko wielkości fizyczne, ale — i przede wszystkim — wartości moralne, duchowe, humanistyczne.

I tutaj wraca motyw utraconego dzieciństwa, utraconego raju-Arkadii, szczęśliwości. („W nasze dzieciństwo wtargnęła nagle rzeka Styks”). Uwaga autora koncentruje się więc wokół poszukiwań owych utraconych wartości. („Jak z widzenia świata Wybrać Widenia dziecka”), kieruje się w stronę korzeni bytu. U źródeł tych nieuchronnie znaleźć musi odwieczną i wszechogarniającą naturę. Stwierdza podzielnosć świata na okrucy poeii najprostszch. Poszukiwanie odniesień w tym — wobec wielkiej skali uniwersum, którego atrybutami autor się nieustannie posługuje — mikrokosmosie drzew zielonych liści, smug słonecznego światła, ciemnych traw, życiodajnej wody, ptaków, wiatru, prowadzi do sugestii, że mogą się one stać łącznikami w drodze do odzyskania nadwątłej wiary, do nawrotu nadziei. Utożsamienie się z przyrodą, której cecha jest trwałość, żywotność, odwieczność, niezmienność, jest źródłem oczyszczenia i wiary w ocalenie człowieczeństwa. Natura jest siłą wspomagającą w poszukiwaniach egzystencjalnych, moralnych człowieka.

Henryk Hartenberg stawia pytania o podstawowe aksjomaty egzystencji człowieka. Pytanie o wartości największe jest pytaniem o proces, o charakter zmienności, o istotę dążenia, o sposób osłabiania. Nie podaje gotowych recept i kategorycznych stwierdzeń. Proces kreowania świata jest jednoznaczny z nieustannym poszukiwaniem, dążeniem pokładów zeskorporowanych ustaleń, nieustannym tłumaczeniem zeskalonych na biotnistym niepewnym gruncie zastanych formuł, jest pragnieniem i oczekiwaniem. Świadomość nieskończoności przemijania, kruchości egzystencji człowieka, warunkuje chęć utrwalenia własnego śladu w czasie i odnalezienia uzasadnień własnej egzystencji. W spustoszonej świecie trudno wyzwoilić się od niepokoju i leku. Autora fascynuje świat w jego nieustannej zmienności, a jednocześnie wieczności.

Autorem kreuje podmiot liryczny w konwencji człowieka-spadkobiercy całej ludzkości, „człowieka-universum”. I jest to wartość nie bez znaczenia dla cięzaru gatunkowego poezji Hartenberga. Świat jego wierszy jest uniwersum odwiecznym, nie kończącym się w czasie i przestrzeni, obejmującym jednocześnie wszystkie byty przeszłe i obecne, całe doświadczenie ludzkości, całą świadomość ludzkości, gromadzącą wszelkie ludzkie poznanie. Człowiek, jako kontynuator i spadkobierca wszystkich poprzednich pokoleń, władający całą świadomością ludzką, „ugodzony wiedzą stu pokoleń”, z jednej strony jest swego rodzaju „suma światów”, z drugiej strony zachowując poczucie własnego „ja”, staje się cząstką wielkiej, odwiecznej, immorttalnej całości — natury.

Powracającym motywem tej poezji jest nieskończoność przemijania. Kruchość sekund, rosniących w godzinę, lata i epoki, wytworza w człowieku poczucie osamotnienia. Zwraca się więc ku zjawiskom i wielkościom nieprzemijającym, pewnym i trwałym, które znajduje w ostatecznym go kosmosie — przyrodzie.

Bogata metaforika przy wewnętrznym surowości sformułowań stanowi indywidualną cechę wierszy Henryka Hartenberga. Poezji głębokiej, intelektualnej, przemysłowej i skłaniającej do przemyśleń.

EWA-KATARZYNA NOWAK

Henryk Hartenberg. Pożar w chmurach. Wydawnictwo Łódzkie 1983. Biblioteka Poetycka. Stron 119. Cena 30 zł.

PS. Co się dzieje na stronach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych? Ich zawartość nie jest zgodna ze spistem treścią a co gorsza, wiersze są poszarpane, strofy porzastawiane, na jednej stronie fragment końcowy utworu, kilka stron dalej — początkowy. Czy to już wszystko jedno, gdzie co jest, byłoby prosty rachunek się zgadzał?

E.-K. N.

Kronika kulturalna

W MEKSYKU, w wielkiej sali koncertowej Narodowego Instytutu Kultury, odbył się koncert muzyki polskiej w wykonaniu orkiestry kameralnej instytutu, inaugurujący Dni Kultury Polskiej w tym kraju z okazji 40-lecia PRL.

Uroczystość rozpoczęto odczytaniem listu ministra kultury PRL prof. Kazimierza Żygulskiego, następnie przemawiał dyrektor instytutu, Francisco Jerano.

Na koncert złożyły się m. in. utwory Henryka Mikołaja Góreckiego, Tadeusza Bairda, Zygmunta Króckiego i Grażyny Bacewicz.

Przed wejściem na salę koncertową urządzono wystawę „Warszawa w malarstwie i grafice”.

Dni Kultury Polskiej w Meksyku będą trwały do 24 lipca br. W programie są kolejne koncerty, pokazy filmowe, odczyty i ekspozycje, w tym duża wystawa 40-lecia PRL.

W KIELCACH trwa XI Harcerski Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej. Bierze w nim udział blisko 2,5 tys. dziewcząt i chłopców z całego kraju oraz zespoły z Bułgarii, CSRS, NRD, Rumunii, Węgier i Związku Radzieckiego.

Województwo łódzkie reprezentuje zespół wokalo-instrumentalny ze Szkoły Podstawowej nr 13 im. Stefani Semnolowskiej w Pabianicach. Instruktorem i opiekunem zespołu jest nauczyciel wychowania muzycznego z tej szkoły, Włodzisław Rybicki.

Festiwal zakończy się 29 lipca br.

W ŁODZI zakończyły się egzaminy wstępne do wyższych szkół artystycznych. W Akademii Muzycznej rozpocznie studia w nowym roku akademickim 65 osób na studiach dziennych i 17 na wieczorowych studiach wychowania muzycznego. Na Wydziale Instrumentalnym będzie trzydziestu pięciu nowych studentów (na 56 kandydatów), na Wydziale Wokalno-Aktorskim osiemiu (29 kandydatów), na Wydziale Kompozycji, Teorii Muzyki i Rytmiki zdawało 17 osób — przyjęto 12 a na Wydziale Wychowania Muzycznego dostało się 10 osób spośród 21 zdających.

Na Wydziale Wokalnolnny PWSSP zgłosiło się w tym roku 147 kandydatów. Przyjęto 29 osób, nie wykorzystując limitu miejsc(1), który wynosił 33. Sześciu nowych studentów podjęło naukę w Instytucie Form Przemysłowych PWSSP (liczba kandydatów była trzykrotnie większa), a 15 kandydatów na 77 zdających przyjął Wydział Grafiki, który również nie wykorzystał limitu — dwa miejsca pozostały wolne.

Tradycyjnie największym powodzeniem cieszyły się studia w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej. Na siedem miejsc na Wydziale Reżyserii rekrutowało aż 138 osób, na osiem miejsc Wydziału Operatorskiego zgłosiło się siedemdziesięciu dwóch kandydatów. Aktorami chcieli zostać 184 osoby, podczas gdy przyjęto 16. Wyższe Studium Organizacji Filmowej i Telewizyjnej wybrało 35 osób. Komisja egzaminacyjna wybrała spośród nich 12..

W SKIERNEWICACH zakończono prace konserwatorskie w dawnym pałacu prymasowskim, dziś zajmowanym przez Instytut Warzywnictwa. Przy restauracji obiektu wykorzystano projekty E. Schroegera z lat 1761 — 1766. Obiekt został wyposażony w dzieła sztuki darowane i przekazane w depozyt przez Muzeum Narodowe, Muzeum Wojska Polskiego oraz Łódzkie Muzeum Sztuki. W salach byłej siedziby prymasów Polski podziwiać można m. in. „Odwroń Napoleona spod Moskwy” pędla Jerzego Kossaka, „Szwedzi w Polsce” i „Wjazd wojska do miasta” — obydwa dzieła autorstwa Henryka Piłattiego, „Atak husarii polskiej pod Chocimiem” Stanisława Kaczora-Batowskiego i portret Marii Leszczyńskiej — nieznanego autora.

Łódzki „Express Ilustrowany” przypomniał, że od roku 1621 znajdował się w pałacu słynny obraz Wawrzyńca Gebickiego, votum dziełeczne po zwycięstwie wojsk hetmana Chodkiewicza nad Turkami. W ubiegłym stuleciu obraz przeniesiono do Zgierza, a następnie do Katedry św. Jana w Warszawie.

W WĘGIERSKIEJ TV zaprezentowano 11 lipca br. „Dzień Polski” z okazji 40-lecia PRL. Kilkogodzinny program prowadził: Anna Prawko-Majchrzak i József P. Kovacs.

Węgierscy widzowie usłyszeli dzieła wybitnych polskich kompozytorów Chopina, Szymanowskiego i Wieniawskiego w znakomitym wykonaniu Andrzeja Kulki i Krystiana Zimmermana. Na program złożył się również film fabularny produkcji TVP pt. „Klucznik” w reżyserii Wojciecha Marczewskiego z świetną rolą główną Wierciliusza Grynia. Demonstrowano także filmy krótkometrażowe, m. in. o dawnej Warszawie. Z półgodzinnym recitalem wystąpiła Irena Santor.

W WARSZAWIE rozstrzygnięto konkurs „Tygodnika Kulturalnego” na dokument osobisty czterdziestolecia „Moja rzecz — polska rzecz”. Jury pod przewodnictwem Dymy Gałaja nagrodziło trzy, a wyróżniło 18 prac spośród trzystu dwunastu nadesłanych.

Wśród laureatów znaleźli się m. in. Franciszek Balcerzyk (woj. piotrkowski) i Tadeusz Chociejki z Łodzi. Jedną z trzech nagród specjalnych otrzymał Józef Dierżym (woj. skierniewickie).

(K. K.)

Dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze w kamienicy przy Piotrkowskiej 100 w Łodzi. W pokojach kilkanaście rzeźb, głównie popiersia gipsowe. Każda rzeźba ma swoją historię, swój życiowy ślad. Są jeszcze fotografie pomników wykonanych z gipsu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Nazwisko Jerzego Mazurczyka, dziesiąt osiemdziesięcioletni artysta-rzeźbiarz kojarzy się nam z początkami

dzisiaj) miała 20 metrów długości, 9 szerokości i 7 wysokości. W takich warunkach można już było przystąpić do właściwej pracy. W tejże pracowni powstawały wszystkie łódzkie pomniki. Fakt otrzymania pracowni w Łodzi był ostatecznym decyzyjnym o pozostaniu w Łodzi.

Jeszcze w 1945 roku Mazurczykowi wzięli udział w Wystawie Sztuki zorganizowanej w Miejskiej Galerii Sztuki Plastycznej w parku im. H. Sienkiewicza. Pani Elwira Mazurczyk przedstawiła wtedy trzy

dopytywali się o każdy szczegół. Później w prasie ukazywały się systematycznie notatki o przebiegu prac.

Inna jest historia związana z pomnikami Moniuszki i Tuwima. Popiersie Moniuszki wykonane przez Mazurczyków zajęło pierwsze nagrody w konkursie ogólnopolskim.

Natomiast Tuwim „wypadał” z Moniuszką.

— Kiedy był już gotowy odlew w brązie popiersia Moniuszki zostałem wezwany do władz

gładał na powietrzu, przeciwieństwo światłości niż w pracowni. Jednak się udało.

Kiedy wieszono z Warszawy poszczególne elementy odlane w brązie — jechała cała karawana samochodów. Proszę sobie wyobrazić, jaki to był kolos i ile kosztował pracy.

Za pomnik Marchlewskiego Mazurczykowie otrzymali w 1964 roku nagrodę WRN.

Mazurczykowie byli też współtwórcami Pomnika Wdzięczności w Parku Ponia-towskiego, płaskorzeźby nad sceną teatralną w Pałacu Młodzieży, nie mówiąc już o wielu realizacjach pozałódzkich i reprezentowaniu Polski na wystawach międzynarodowych.

Kiedy dzisiaj artysta przechodzi i spogląda na swoje rzeźby, to wydaje mu się jakby on ich nie robił — jak mówi. To wszystko jest teraz tak bardzo odległe. W gruncie rzeczy nie zdaje sobie sprawy, że to on, a nie jego współpracownicy, którzy stali się jego rzeźbami. Fontanna, która robił kilkanaście lat temu stoi gdzieś w Parku na Zdrowiu i autor widział tylko jej fotografie. Mówi, że nawet ładna.

— Zadowolony jestem tylko z tego, że pozostawiliśmy z żoną trwały ślad po sobie. Te pomniki jeszcze długo przetrwają, będą obrazem czasu, w których stawało się ich dużo. Przecież na początku, w Łodzi nie było w ogóle pomników. Ale prawdę mówiąc, na tych wszelkich uroczystościach odsłaniania kolejnej rzeźby czułem się trochę głupio. Najwięcej zadowolenia dawała mi sama praca nad rzeźbą. Kiedy tworzyłem w pracowni — byłem najbardziej szczęśliwy. Nie było tłumów ludzi, większość łódzian nie wiedziała nawet, gdzie to wszystko powstaje.

Ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, że kawałek na którym robiliśmy pomnik Marchlewskiego miał być z niemieckiego czołgu. Do dzisiaj stoi w pracowni na Wólczańskiej.

Jerzy Mazurczyk od kilkunastu lat już nie tworzy. Zdał swoją pracę. Śmierć żony Elwiry w 1971 roku spowodowała wielki wstrząs psychiczny u artysty rzeźbiarza. Jeszcze przez jakiś czas przychodził do pracowni — czytał gazety, wypijał kawę i coraz bardziej uświadamiał sobie, że wszystkie jego rzeźby zostały już zrobione. Tylko pomniki przypomniały w tajemniczym o istnieniu zasłużonego dla Łodzi rzeźbiarza. W ubiegłym roku otrzymał, jako jedyny artysta rzeźbiarz Nagrodę Miasta Łodzi. Przypominał sobie o jubileuszu 80 rocznicy urodzin.

Plac Wolności, Stary Rynek, skwerek przy Pałacu Młodzieży i jeszcze kilka innych miejsc w tym mieście są już dla niego odległą historią, mglistym wspomnieniem, nieznajomym, nieznajomym.

Niemniej jednak pozostał z żoną trwały ślad w architekturze tego miasta.

JACEK BINKOWSKI

znanie na festiwalach („Pułapka” Różewicza, „Dom Bernardy Alba” Lorci, czy świetny „Ubu król” Jarry’ego).

Wymieniłem nazwisko Krzysztofa Babickiego, nie bez przyczyny — dzięki Michałskiemu ten utalentowany reżyser mógł zadebiutować w teatrze profesjonalnym. Kierownik artystyczny zaufał młodemu człowiekowi, który wtedy miał na swoim koncie jedynie przedstawienia zrealizowane w studenckim teatrze „Jedynka”, działającym przy Uniwersytecie Gdańskim.

I tutaj doszliśmy do najważniejszej cechy Stanisława Michałskiego, jako dyrektora artystycznego Teatru Wybrzeże, doszliśmy do tajemnicy jego sukcesów. Otóż Michałski posiadał wyjątkową intuicję twórczą. Potrafił wstawić do repertuaru Teatru Wybrzeże powieść, która często budziła jego własne wątpliwości (tak było z adaptacją opowiadania Andrzejewskiego), a jednak jakimś swoim zmysłem czuł, że realizacja określonego utworu może oznaczać sukces. Ta intuicja twórcza jest swojego rodzaju talentem, rzadkim w naszym racjonalizowanym świecie. Zwraca Stanisławowi Michałskiemu, by w trzecim sezonie swojej działalności dyrektorskiej nadal tak trafnie proponował repertuar i jego realizatorów.

WIESŁAW NOWICKI

Włodzimierz Krzemiński

O moim górnym jenieckim posłaniu

Uczyłem się seków na pamięć w sklepieniu ze wszystkich najbliższych, gdzie dniem wędrują me oczy, jak płamy oliwy po wodzie, gdzie spodem snu się smutek, a góra gnieździ się myszy — liczyłem sekę i smugi, sprawdzałem, czy skrzętnie co dzień...

Tam deszcz niekiedy zasnuwał — i był jak szum alkoholu o świecie mdlejącym w wazonach zwidyłych, drapieżnych storczyków, aż krople na serce padały ciężkie od niepokoju i parowały z głębi westchnieniem, głębszym od krzyku.

Cienkim wykwił listkiem, słynnym piórnikiem — narkotyk, ten z dołu — rozumiesz — palił... Wciąż się nade mną kołysał i trzeba było zastępnąć na granicy snu i tęsknoty na całe godziny (lata?), których już nikt nie zliczał.

Godziny, których nie było. Był deszcz włócony w szyję: dwa szwy i guzik z orłem. I krople żywy na sekach. Uczyłem się wiedzy bezsensu, na wielką czekając chwilę, gdy leżąc i patrząc w sufit, o niczym nie będę pamiętał.

11.VII.1943

Śpiew o świecie

O świecie żołnierzy nieznanych tklił się po lesie śpiew, aż mróz zaciągał duszę, jak granatowe szyby. Żołnierze szli, bo musieli. Drzewa kulili się w sobie; śpiewali, bo im kazano. Pod nogami też skrzypiał śnieg.

Być może, że były słowa. Zdecydowane i szczere — ktoś może je skłajał moziolnie rozmięta glinka okopów. Melodia była silniejsza. Głębokość i wiotkość w białej pierzynie, przyszły do ziemi zajęczym ściegiem.

Po fajansowym niebie ostatnie zimne gwiazdy — tak zawsze biegły iskielki po ostrych klingach bagnetów. Żołnierze o tym wiedzą. I pewnie w niebo nie patrzą, czekając dla bólu pociechy i dla nadziei — nazwy.

Śnieg pod nogami skrzypi. Gwiazdy zagasić nie chcą. Zbyt wielka dekoracja dla nas — maleńkich aktorów. Słowa wiotczą i gina. Milczenie rozszerza oczy — źle leżąc twarzą w śniegu. Żołnierze o tym wiedzą.

2.II.1942

Przypomnienie

TADEUSZ BŁAŻEWSKI

19 lipca 1964 roku na łamach „Odgłosów” ukazał się pierwszy felieton Włodzimierza Krzemińskiego. Autor posługiwał się wówczas pseudonimem „Cwiek”, felieton zaś nosił tytuł „Ładne horyzonty” i zapoczątkował cykl „Lewym okiem”. Tak też nazywał się wybór ówczesnych felietonów, opublikowany w roku 1969 przez Wydawnictwo Łódzkie.

Warto może przy tej rocznicowej okazji przypomnieć czytelnikom „Odgłosów” sylwetkę Włodzimierza Krzemińskiego. Urodził się on w roku 1919 w Warszawie. Jako osiemnastoletni młody człowiek zadebiutował wierszem na łamach miesięcznika „Młody Las”. W okresie drugiej wojny światowej był jeńcem stałagów, gdzie współorganizował życie kulturalne. Jest poetą, prozaikiem, satyrykiem i oczywiście felietonistą.

W pisarskim dorobku Krzemińskiego czas wojny odegrał rolę zasadniczą, zarówno w doświadczeniach wojennych, jak i w opowiadaniach, których myślą przewodnią jest stwierdzenie, że aby zrozumieć współczesność, pamiętać trzeba o tym wszystkim, co spowodowała wojenna hekatomba: „Zgaś papierosa, Jack” (1963), „Urlop z cieniem” (1972), a także w powieści „Zelazne liście” (1978), przedstawiającej losy międzynarodowej grupy ludzi wywiezionych do Niemiec na przymusowe roboty.

W dorobku tym odrębne miejsce zajmuje zbiorek wierszy II-rycznych „Godziny, których nie było”. Wydany został (w nakładzie 500 egzemplarzy) przez Referat Oświatowy Obozu Cwiczebnego Polskich Oddziałów Wartowniczych w Mannheim, w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec, w roku 1946. Złożyły się nań wiersze Włodzimierza Krzemińskiego powstałe w obozach jenieckich i następnie recytowane bądź krążące w obozach w jenieckich środowiskach. Tomik odnotowany został w rubryce bibliograficznej „Kra-kowskiego „Odrodzenia” ale praktycznie — jest nie do przeczytania. Autor stwierdza: „Zbiorek ten istnieje — jak przypuszczam — w trzech egzemplarzach (w moim posiadaniu)”.

Fenomen poezji jenieckiej to tylko jedno z wcieleni muzy w żołnierskim helmie, jak się kiedyś wyraził Jan Szczepaniewicz. Czyż można się dziwić, iż nuta tęsknoty jest tak przemożna w wierszach, które powstały w obozach jenieckich? Czyż można się dziwić, iż snom o potęgę młodych żołnierzy, obrońców ojczyzny snom wysłidiwie konfrontowanym z obozowymi realiami? W wierszu „Złotce” powstałym w obozie Hoffnungsthal latem 1941 roku, pisał Krzemiński:

Ogniem wódwiny światu swą niezmierzoną siłę,
dumny szeregłem zniczów przed każdym burakiem!
A potem przykucniemy po kilku, wstydliwie,
i będziemy gotować kradzione ziemniaki...

Kontrast marzenia i rzeczywistości to najbardziej typowy motyw obozowych wierszy Włodzimierza Krzemińskiego. Ale przecież nie jedyny. Oto charakterystyczne motywy tej poezji: śmierć jencia uczczona przez współtowarzyszy niedoli w sposób niezwykły, bo cynicznym żartem; obrazy przyrody przywodzące na myśl ojczyste krajobrazy; nadzieja na rychłe wypełnienie żołnierskiego obowiązku; nadzieja, że ktoś jeszcze czeka...

Czytając wiersze Włodzimierza Krzemińskiego sprzed czterech dziesiątek lat uświadamiam sobie, że powstały one nie tyle z owego „nakazu wewnętrznego” cechującego poezję żołnierską, czy też szerzej mówiąc poezję lat wojny, powstawały przede wszystkim jako wyraz zwykłej ludzkiej potrzeby — jako sprzeciw wobec podłego losu.

Pozostał trwały ślad...

Wzrost się środowiska plastycznego w powojennej Łodzi, powstaniem Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, ale przede wszystkim z pomnikami, które do dziś możemy oglądać w różnych miejscach Łodzi. Pomniki miały to do siebie, że są trwałe, a jednocześnie mało kto wie, kto był ich autorem. Bardzo często pod fotografiami znajduje się nazwisko fotografującego, nie ma natomiast wzmianki o rzeźbiarzu.

Elwira i Jerzy Mazurczykowie ukończyli studia w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Rzeźby, w pracowni Tadeusza Breyera. Ta sama pracownia, te same podstawy warsztatu rzeźbiarskiego T. Breyera spowodowały, że wiele rzeźb wykonywali razem, szczególnie w Łodzi.

Po wojnie w 1945 r. przyjechali do miasta razem z wieloma innymi twórcami. Nie poddali się jednak wielkiej falli odpływu, i pozostali tutaj na stałe.

Wspomina Jerzy Mazurczyk: — Pamiętam, jak pierwszą glinę przynosiłem na plecach z cegielni w Konstancjowie. Z tej pierwszej gliny powstało popiersie sekretarza Związku Plastyków. Do dzisiaj stoi w pokoju. Zaraz po wojnie do Łodzi przyjechało wielu artystów piastków. Oweczesny związek liczył około 300 osób, na początek nie było w ogóle sekcji rzeźby — dominowali malarze, oni byli „najważniejsi”. Dopiero po pewnym czasie spowodowaliśmy, że powstała Sekcja Rzeźbiarzy; było nas wtedy sześciu.

Zaraz wiosną postanowiliśmy powołać Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych, mieściła się ona przy ul. Narutowicza pod 47. Przez prawie dziesięć lat byłem tam profesorem. Na początku do mojej Pracowni Rzeźby uczęszczało 10 osób. W tamtych latach zainteresowania rzeźbą było nikłe. To jest bardzo ciężka i fizyczna praca, która nie daje natychmiastowych efektów. Ludzie wolali się kształcić w pracowni malarstwa.

W 1946 roku Mazurczykowie otrzymali od prezydenta obywatelską pracę. Pracownia przy ul. Wólczańskiej 124 (istnieje do

prace: portret pana J. M., studium głowy oraz figurkę pt. „Nowa sukienka”. Natomiast Jerzy Mazurczyk zaprezentował głowę żony z 1934 roku.

W ten sposób małżeństwo artystów-rzeźbiarzy zaczęło się włączać w życie artystyczne ówczesnej Łodzi.

W rok później wzięli udział w Ogólnopolskim Konkursie na pomnik Tadeusza Kościuszki na Placu Wolności. Ich projekt otrzymał, co prawda, jedno z wyróżnień, niemniej jednak ta propozycja nie doczekała się realizacji.

— Na początku chciano postawić pomnik Kościuszki w Parku Ponia-towskiego — mówi Jerzy Mazurczyk. — Naradzano się również, czy postawić nowy, czy taki, jaki zaprojektował Mieczysław Lubelski (zburzony przez Niemców w 1939 r., przyp. J. B.). Pamiętam zebra-nie w Radzie Narodowej poświęcone tej sprawie. Jeden z kolegów rzeźbiarzy, który przyjechał z Wilna (notabene przy-wiozł wagon swoich rzeźb) zaproponował, żeby postawić Kościuszkę na koniu. Pokazywał różne rzymskie kaski i ko-nieczność, chciał przekonać zebranych, że pomniki wodzów powinny być na koniu...

Wtedy wstał Eisenstein, złamał w palcach ołówek i powiedział zdecydowanym głosem, że Naczelnik stanu jednak bez konia...

Zdecydowano się na postawienie pomnika Lubelskiego. Autor przebywał w tym czasie w Anglii i przybył, żeby zrobić wstępny mini-projekt. My zrobiliśmy odlew gipsowy, natomiast odlew w brązie wykonano w Warszawie. Cokół zrobiony był z granitu ze ślaskich kamieniołomów. W rezultacie prace nad tym pomnikiem trwały przeszło rok.

W dniu odsłonięcia pomnika na Placu Wolności zebrało się kilkadziesiąt tysięcy łódzian. Odbył się wiec. Przed pomnikiem ustawiono trybunę, na której można było wejść za biletami. Później odbył się uroczysty bankiet. W tamtych latach zainteresowanie pomnikami było bardzo duże, taki był klimat. Dziennikarze bez przerwy przychodzili do mojej pracowni i

i powiedziano mi, że Moniuszko nie może stanąć na skwerku przy Pałacu Młodzieży, ponieważ nie jest to odpowiednie miejsce. Krótko mówiąc w okolicy jest za dużo... knazp. Postanowiono więc w tymże miejscu postawić Tuwima, któremu twórczość, a nie powinnno przeszkadzać. W rezultacie należało przygotować już cokół zeszlifować i na-predce zrobić popiersie Tuwima. Natomiast wcześniej zrobiony Moniuszko jeszcze prawie rok stał w pracowni i czekał na swoje miejsce. Bardziej odpowiednio i godnie jego osoby.

Dla pana Mazurczyka najważniejszym jednak pomnikiem był pomnik Juliana Marchlewskiego na Starym Ryнку. Również ten projekt był efektem konkursu ogólnopolskiego, na którym artysta zdobył I nagrodę.

— Kiedy pracowałem nad pomnikiem Marchlewskiego nie mogłem nawet jeździć na motorze, który otrzymałem z przydziału. Bano się, że zrobię sobie krzywdę i pomnik nie zostanie dokończony. Nie miałem jednocześnie problemu z materiałami, z transportem. Wszystko było zapewnione. Jedynym miejscem, gdzie mógł powstać ten olbrzymi pomnik była nasza pracownia na Wólczańskiej. Tam też spędzałem po kilkanaście godzin dziennie od rana do zmierzchu przez dwa lata. Takiego wielofiguralskiego pomnika nie ma nigdzie w Polsce. Sam odlew w gipsie ważył 15 ton. Odkrywanie odlewu szmatami trwało codziennie dwie godziny.

Corle Juliana Marchlewskiego udościł mi z dziećmi, oca — chodzą głównie o podobieństwo wyrazu twarzy. Z kolei sam zamysł był taki, żeby ręka wskazywał na Łódź, która oddaje robotnikom, którzy stoją obok. Chciałem, żeby pomnik był z każdej strony wyrazisty, nie tylko z frontu. Chodziło również o ciekawy profil, właściwe przesłony między nogami. Przecież było to kilka postaci i kilkanaście metrów wysokości. Kiedy „Marchlewski” był już na ukończeniu, żona obudziła się w nocy i powiedziała: — Jak on właściwie będzie wy-

LIST Z WYBRZEŻA

Tajemnica Stanisława Michałskiego

W gdańskiej kulturze działa wielu ludzi, których znaczenie wykracza poza miejskie rogatki. Na dodatek za to ludzie o ciekawych życiorysach, którzy przeżywali problemy naszych czasów bardziej intensywnie niż zwykli śmiertelnicy. Jedną z takich barwnych postaci wybrzeżowej kultury jest Stanisław Michałski, długoletni aktor Teatru Wybrzeże, a od dwóch lat także jego kierownik artystyczny.

Swoją karierę sceniczną zaczynał właśnie w Gdańsku w roku 1953 i przez ten czas nieprzerwanie gra w Teatrze Wybrzeże. Zdobył sobie jako aktor poważną pozycję w naszej kulturze i wydawałoby się, że przez najbliższe lata będzie ją ugruntowywał, stając się czołową postacią klasyki gdańskiego teatru, który przy kieszulku konia opowiada adeptom sztuki scenicznego, że to, panie, przed laty Cybulski, że Kobiela, że ho, ho.

1 kwietnia 1982 roku Stanisław Michałski podał chyba najtrudniejszą decyzję w całej swojej karierze. Wtedy właśnie przyjął propozycję, by objąć sta-

nowisko kierownika artystycznego Teatru Wybrzeże. Z pewnością miał świadomość, iż rozpoczyna w tym momencie bardzo ryzykowną przygodę. Praktycznie nie miał żadnych doświadczeń dyrektorskich, nigdy nie zajmował się reżyserią. Miał natomiast bardzo dobre rozumienie w możliwościach zespołu Teatru Wybrzeże, świetnie znał teren i wykazywał wyraźne zdolności organizatorskie. Rzecz jasna te „aktywa” nie są wystarczające, by stworzyć teatr o określonym obliczu artystycznym. Tutaj potrzebna była okraszona koncepcja, zamysł program, który uformowałby oblicze gdańskiego teatru.

Był to problem poważny. Pamiętałem przecież, że Michałski decydował się na objęcie stanowiska kierownika artystycznego, stawał się następcą Iwo Galla, Lidii Zamkow, Zygmunta Hübnera, Jerzego Golińskiego, Marka Okopińskiego, Tadeusza Minca, Stanisława Hebanowskiego i Macieja Prusa. Wymieniłem te nazwiska po to, by uświadomić czytelnikowi, jak wielki ciężar odpowiedzialności brał na swoje barki Stanisław Michałski, któ-

ry w kwietniu 1982 roku miał na swoim koncie wyłącznie dokonania aktorskie.

Pamiętam te różne głosy na temat przyszłości Teatru Wybrzeże, że Michałski nie da rady, że jest to kwestia sezonu lub dwóch. Jedynym słowem nie brakowało „proroków”, którzy uważali, że Michałski po prostu się wyłoży.

Minęły dwa lata. Przez ten czas — i tutaj stajemy na twardym gruncie rzeczywistości — Teatr Wybrzeże nie tylko nie obniżył swoich lotów, lecz jeszcze ugruntował swoje znaczenie w polskim życiu kulturalnym. Dowodem mogą być sukcesy gdańskiej sceny na tegorocznych festiwalach w Kaliszu i Toruniu. Cały wórek arcy został zabrany przez gdański zespół za spektakl „Już prawie nic” Jerzego Andrzejewskiego w adaptacji i reżyserii Krzysztofa Babickiego. W tym momencie słyszę głosy niezorientowanych oponentów, którzy mówią: ot, spektakularny sukces. Otóż nie. Gdy w repertuarze Teatru Wybrzeże jest przynajmniej kilka przedsta-wień, które mogłyby zdobyć u-

Nie było ich w Opolu...

Nie wszystkie gwiazdy polskiej piosenki są obecne na festiwalach piosenki w Opolu, różne są tego przyczyny i powody, przeważnie niezależne od piosenkarzy, dla których doroczne święto polskiej piosenki w Opolu jest przysługowym byciem na rynku.

Kto jest obecny na rynku rozrywki — wie, ale dlaczego schodzą z niego często bardzo utalentowane piosenkarze lub trwają na nim wyjątkowo krótko i dlaczego określone indywidualności gubią się po drodze, a anizmaty rozrywki wciąż szukają nowych alosów, nowych twarzy, nie bacząc na to, że prawdziwe talenty wokalne rodzą się raz na jakiś czas.

Należą do nich bezsprzecznie: GRAŻYNA ŁOBASZEWSKA i LIDIA STANISŁAWSKA, piosenkarze dysponujące bardzo ciekawymi głosami, z dużym dorobkiem artystycznym i oryginalną osobowością. Nie byli w Opolu, po kraju jeżdżą z estradową składanką „Cztery pory roku” z którą gościł w Łodzi (cykl koncertów w Filharmonii Łódzkiej).



Foto: Rafał Jesionowicz

JADĘ DO KNAJPY

Rozmowa z GRAŻYNA ŁOBASZEWSKĄ

— Co robi pani sama, bez zespołu „Crash” w programie „Cztery pory roku”?

— W programie „Cztery pory roku” śpiewam kilka piosenek a jeśli chodzi o „Crash” to rozstał się — bo wymówiłam pracę. Zadecydowały o tym różne względy, m.in. finansowe, poczułam się nie doceniana przez kierownika tego zespołu. Jeździliśmy dużo po całej Europie, zbierając znakomite recenzje i mając dużą satysfakcję z tych występów. Ale wbrew pozorom korzyści materialne były małe a ja mam na wychowaniu 4,5-letnie dziecko i nie mam mieszkania. Postanowiłam więc zarobić trochę pieniędzy w kraju.

— A kilka lat temu mówiła mi pani w wywiadzie dla „Non Stopu”, że unika występów w składankach estradowych?

— Tak i nigdy w nich dotąd nie śpiewałam. O tym, że nawiązałam współpracę z warszawskimi ZPR-ami i programem „Cztery pory roku” zadecydował przypadek. W tym zespole panuje miła, koleżeńska atmosfera, a to jest dla mnie ważne.

— Zauważyłam, że śpiewa pani w tym pro-

gramie takie smutne piosenki w obcym języku, w których niewiele jest z dawnej Grażyny Łobaszewskiej?

— Dlaczego mam być wciąż taka sama, po koncertach z zespołem „Crash” — ludzie mówili, że to nie ja. A ja chcę iść do przodu i sądzę, że udało mi się zrobić dwa kroki do przodu. Nie śpiewam więc tego samego repertuaru, przy świadomości, że nie śpiewam dla samej siebie, lecz dla innych ludzi. Podejrzewam, że jest wielu wykonawców w tym kraju, którzy dobrze zarabiają na eksploatacji swojego starego repertuaru, ale jest to charakterystyczne raczej dla starszej generacji piosenkarzy. Nowi, młodzi muszą robić coś nowego, bo gdy zatrzymają się na chwilę, to wypadną z rynku. Młodzieży która jest głównym odbiorcą muzyki rozrywkowej obojętne jest kto śpiewa, ważna jest sama piosenka. Obecnie śpiewam na estradzie swój polski repertuar w obcym języku, ten, który wykonywałam z „Crashem”.

— Czy w związku z tymi częstymi wояażami nie słychać i nie widać pani nowych piosenek na krajowym rynku?

— Myślę, że nie ma to znaczenia i związku, bo ja wciąż nagrywałam i nagrywam nowe piosenki w studiach Warszawy i Poznania. Nie wiem tylko dlaczego nikomu z odpowiedzialnych redaktorów muzycznych w Polskim Radiu nie zależy na lansowaniu moich nowych piosenek.

— Za to wciąż jest pani ulubienicą młodzieży, która oczekuje od pani nowości zgodnie z ich zainteresowaniami?

— Czy to moja wina, że nie udostępniam się moich nowych piosenek, choćby tych nagranych ostatnio na kasie firmy „Rogot”, które z pewnością przypadłyby do gustu młodzieżowemu odbiorcy. Ale nie jestem tym faktem zadowolona i zamierzam w czasie przerwy podjąć występów w zachodnich „knaipach” nagrywać kolejne piosenki w Polsce.

— Jedzie pani do knajpy?

— Tak i nie wstydzę się tego. Kiedy byłam za granicą na koncertach, nie pisało się o tym, a było o czym, teraz jadę do knajpy i nie zamierzam się tego wstydzić jak niektóre koleżanki; no co udawać, że śpiewa się na koncertach, mam je za sobą.

— Obecnie uprawia się zawód piosenkarza łatwiej czy trudniej aniżeli w okresie wielkiego boomu na piosenkę młodzieżową?

— Trudniej, choćby dlatego, że zmuszona jestem jeździć na występy do restauracji, a bywałym tu w stanie zorganizować dobrą grupę muzyczną, ale kto dziś zapewni muzykom pracę w kraju?

— „Chcę być wierna sobie, być taką jaką jestem, nie wdawać się w układy” — takie rozważania snuła pani przed dwoma — trzema laty. I co, udało się pani?

— Nie udało mi się nie być.

— W jakim kierunku muzycznym obecnie pani podąża?

— Nie wiem w jakim, ale chciałabym śpiewać tak dobrze jak Johnny Mitchell.

— Śpiewanie daje pani tyle samo radości i satysfakcji co dawniej?

— Mimo wszystko tak, bo chcę śpiewania

pozostała we mnie i żaden układ i zagrożenie nie odbiorą mi tej pasji.

— Ale nie było pani na FPP w Opolu, gdzie swego czasu występowała pani czołowe nagrody i lansowała trudne, ambitne piosenki, które stawały się przebojami?

— Nie byłam w Opolu, bo nie zostałam zaproszona. Żałuję, bo są to bardzo sympatyczne 4-5 dni, podczas których można spotkać wszystkich znanych. Szkoda więc, że nie pojechałam i nie spotkałam kilku swoich przyjaciół.

— Gdzie więc teraz będzie pani śpiewała?

— W kilku krajach zachodnich, zapraszam więc na dancing do Szwecji.

— A potem?

— Będę śpiewała w innej restauracji.

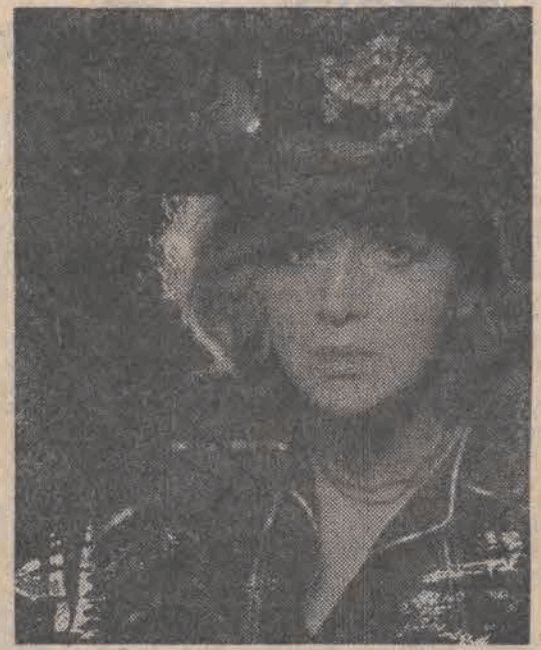


Foto: Renata Pajchel

CHYBA SIĘ WYCOFAM

Rozmowa z LIDIĄ STANISŁAWSKĄ

— Bardzo dużo występuje pani na estradzie, może za dużo, zaniedbując rynek piosenkarstwa, na którym jest pani znacznie mniej niż dawniej?

— Może zrobiłam ten błąd, aczkolwiek muszę powiedzieć, że z tym zaniedbaniem ryzyko to trochę przesada. Miałam potrzeby życiowe i nie mogłam sobie pozwolić na pracę dla przyjemności. Byłam do niej zobligowana, aby zabezpieczyć sobie życie o odpowiednim standardzie. Błąd tkwi w czym innym. Bycie na rynku to sprawa układów, mody, znajomości, repertuaru. A ja mimo pozorów nie mam siły, aby o to zabiegać, walczyć. Poza tym tak dużo moich nowych piosenek nie ukazywało się na antenie, a są wartościowe. To zniechęca do nagrywania kolejnych, choć sprawa istnienia lub nieistnienia na rynku wiąże się właśnie z nagrywaniem.

— Ale za to jeździ pani po kraju ze starymi piosenkami, które wciąż podobają się publiczności?

— Od 1,5 roku jeżdżę z programem „Cztery pory roku” firmowanym przez warszawskie ZPR-y, praktycznie normalnie wyrabiając pewną normę koncertową w miesiacu. Program ten kończy swoją eksploatację, co będzie robiła dalej nie wiem, może będzie mógł na to odpowiedzieć nowy kierownik artystyczny ZPR-ów Krzysztof Materna.

— Jakie doświadczenia nagromadziła pani w tych wояażach?

— Jestem głęboko sfrustrowana, bo nie nadaje się do hotelowego życia, marnych warunków zaplecza, bo proszę mi wierzyć, że między mną a rzeczywistością — przetrzeźnia jest okropna. Mi musi robić siku za rogiem domu w którym nie ma ubikacji i wody. To po prostu straszliwa proza życia, szczególnie gdy zmuszona jestem jeździć z córką, łatwo to sobie wyobrazić. Moją jedyną satysfakcją jest wspólna publiczność dająca sens wiary w to co robię.

— I jaka publiczność znajduje pani w różnych zakątkach kraju?

— Bardzo różna, choć nie odczuwam zbyt wielkiej amplitudy wahań w reakcjach. Mam możliwość sprawdzenia. Zauważyłam, że wprost niechętnie jest jak bywa czujna. Gdy wykonawca jest w gorszym stanie psychicznym natychmiast to wyczuwa.

— Jaka Lidia Stanisławska będziemy oglądali teraz i później?

— Nie wiem czy będzie taka możliwość, gdyż zamierzam osiąść w pieleszach domowych — ograniczyć swoją pracę koncertową. Po prostu odczuwam kryzys wiary w to co robię. Będę za to miała więcej czasu na sport, języki, bo nie chcę być na marginesie życia. Trzeba jeździć po kraju, bo w Warszawie nie ma gdzie pracować, nie ma stałej sceny. Ograniczając wyjazdy — zajmę się nagrywaniem w studio.

— No tak, swoje „5 minut” ma pani za sobą, co więc przed sobą?

— Sama chciałabym to wiedzieć. Myślę, że mam już na tyle opanowany warsztat, że przy odpowiednim repertuarze zawsze znajde pracę i będę potrzebna, a jeżeli nie — to zostanie gospodynią domową.

— Aby być na rynku w ścisłej czołówce potrzeba wielu wyrzeczeń i poświęceń. Chyba przekonała się pani o tym?

— Nie mam już takich ambicji, aby być w czołówce, bo wiem, że nie przeskoczę się pewnych spraw. Nigdy nie byłam w czołówce, miałam tylko swoich sympatyków, z czego się cieszyłam, podobnie jak z tego, że nikt mnie nie podrobił. Dziś śpiewam leniej niż przed paroma laty, ale to o niczym nie świadczy. Mam dystans do tego co robię, miałam go już przy wejściu w zawód. U nas panuje stałe zaobserbowanie na kogoś nowego, świeżego. Dlatego dobrze jest mieć w zanadrzu inny zawód. Współczuję kolegom, którzy desperacko trzymają się zawodu artysty.

— A może już zwyczajnie nie chce się pani epatować słuchacza-widza sobą wciąż nową, atrakcyjną?

— Czekam na propozycję przy pełnej samotności artystycznej w doborze repertuaru, spraw czysto menagerskich, wyegzekwowanie tego wszystkiego co potrzebne do zawodu.

— Może należałoby bardziej zwrócić uwagę na to co modne i co w świecie na topie?

— Jako odbiorca zwracam uwagę na to co modne, jako wykonawczyni zdana jestem na kogoś, na ludzi, którzy coś mi napiszą. Nie, nie chce być archaiczna, ale też nie chcę robić niczego na siłę, zbyt gorączkowo iść za modą. Mam do wszystkiego dystans.

— Plany?

— Nie mam, jutro śpiewam w Fabianicach, pojutrze w Sieradzu.

— Po drodze było „Opole-84”?

— Było. Nikt mnie tam w tym roku nie zaprosił.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Górnicy festyn, czyli raz na ludowo

Ostatnie dni czerwca obchodzono w Turku bardzo uroczyste jako polaczonego jubileusz 40-lecia PRL i 25-lecia Kopalni Węgla Brunatnego „Adamów”. „Odgłosy” zaprosiły się na ten podwójny jubileusz, ale — wyjaśnijmy od razu — nie na akademie do Domu Strazaka, gdyż w całej Polsce przemówienia okolicznościowe, nagrody i odznaczenia są na ogół takie same, więc nie w tym ciekawego. „Odgłosy” zaprosiły się — uwaga, uwaga! — na Festyn Górniczy, przypuszczając iż dla im to unikalna możliwość poznania i pięknych, i oryginalnych górniczych tradycji, jakie od równo czterech wieków bujnie rozwijała się w tym małym, ale przecież miłym miasteczku. I trzeba przyznać, że wycieczka nas nie zawiodła, jako że już choćby sama lektura programu festynu, na który zapraszali wielkie transparenty rozwieszone nad sennymi w sobotni dzień uliczkami, dostarczała nam niezapomnianych wrażeń i wielce wzmogła naszą dziennikarską ciekawość. Oto bowiem.

Godz. 10.30 — przemarsz orkiestr dętych ulicami miasta Turku, godz. 11 — koncert w wykonaniu orkiestr dętych, godz. 12 — turniej piłki siatkowej, godz. 12.30 — konkurs siłowo-sprawnościowy dla młodzieży i osób dorosłych, godz. 16 — kiermasz książek oraz wystawa i sprzedaż malarstwa, godz. 17 — widowisko folklorystyczne w wykonaniu Dzielnicy Kultury Łódź-Bałuty (czego? — pytali poniektorzy) i wreszcie godz. 19 — zabawa ludowa.

Jak więc widać, zapowiadało się wszystko wspaniale. Ileż inwencji i pomysowości wykazali organizatorzy! Przypatrzcie Państwo, że tylko w Turku (i to polskim, a nie fińskim) można zobaczyć coś tak oryginalnego i na czasie.

Festyn odbywał się w miejscowym Ośrodku Sportu i Rekreacji przy ulicy Waryńskiego. Gdy przyjechaliśmy tam — co prawda incognito, ale za to ze wspomnianym tu Dzielnicy Kultury Łódź-Bałuty — a ściślej — z kapeła „Bałuciarze”, bo która — wraz z osobami towarzyszącymi — kilkanaście osób — KWR wysłała do Łodzi na ulicę Wschodnią wielki autokar (a GIGS przekonuje nas,

że w kraju brakuje benzyny i musimy oszczędzać), więc gdy luksusowo przyjechaliśmy wreszcie na miejsce, w ośrodku zebrały się już rodziny, które wyszły z maleśkami na poobiedni spacer, a także stały tam samochody dostawcze i ciężarowe, z których rozdawano różne unikalne wspaniałości.

I tak były zapowiadane na plakatach książki (głównie dla dzieci, która mając w pamięci widok księgarskich ład, sprawnie i skutecznie odchudzała kieszenie rodziców), były najoje i słodczyce (m.in. czekolada a 200 złotych, oraz guma do żucia „Donald” a 30 złotych za sztukę), były szklanki (tak, tak, zwykłe szklanki!), jakieś „włocławki”, były wyroby tytoniowe (tylko w Turku oryginalne hawańskie cygara „Partagas” po 125 złotych), ale największym powodzeniem cieszył się papier toaletowy, co świadczy wyraźnie i jednoznacznie, że z naszą kulturą jest aż tak źle, jak to się czasem mówi i pisze.

Wystawa i sprzedaż malarstwa... A także, była. Dwóch studentów uczelni plastycznej w Poznaniu (ale z Turku rodem) prezentowało swoje własne akwarele i olejne obrazy. A robili to wcale nie gorzej, niż dzieje się to w Warszawie na rynku Starego Miasta, czy w łódzkim pasażu przy Domu Technika, gdzie nabyć można nawet pięknego jelenia, z tą jednak różnicą, że w Turku ceny dzieł sztuki były chytne... zbyt niskie (tysiąc za akwarele, cztery — pięć za olej). Sądziły, że właśnie, owi niefortunni poczuć własnej wartości ambitnych i zdolnych skądinąd studentów sprawi, iż sprzedali zaledwie trzy czy cztery swoje dzieła (jedną akwarelę, nabyty „Odgłosy”). Może gdyby wolał po dziesięć tysięcy, poszłoby im lepiej, bo czyż akwarela za dziesięć stów może być dobra?

Za to „Bałuciarze” wypadli imponująco (na tle dekoracji i ustrojonego w różnobarwne papierki terenu, na którym przez dobrą godzinę z lupą przy oku niezłym Sherlock Holmes szukaliśmy jednego choćby kosa na odpadki) i gdyby pułotny deszcz nie zmusił ich do opuszczenia estrady, mogliby mówić o prawdziwym

sukcesie artystycznym. Nie ma bowiem jak dobra chałtura!

Przekonali się o tym zresztą wszyscy ci, którzy doczekali jakości do „zabawy ludowej”, trwającej do późnych godzin nocnych. Złożony z samych Janków Muzykantów miejscowy zespół dawał z siebie absolutnie wszystko. Repertuar — od „Pszczółki Mai” przez „Bella, bella donna” do „Tańcz, głupia tańcz” (inny utworów nie udało się nam, niestety, zidentyfikować). Popisy wokalne w kilku językach, oszalałające aranżacje (trzy „chwytaki na gitarę” i klarinet bez „górnego C”), słowem — zabawa po pachy.

Najpierw na zaśmieconym i równym jak trasa slalomu specjalnego klepsku przed estradą z przyczep samochodowych bawiła się dzieciarnia, która miała też przewagę nad starszyskami, że udawało się jej jakoś wyczuć, co jest grane. Ale popisy tańca, którym jakiś tam muzyka klasyczna czy jazz nie zdążyły jeszcze spacyfikować muzycznego gustu, i tak były niczym w porównaniu z górniczym tańcem, jaki zaprezentowało dwóch panów — co prawda bez mundurów, ale za to w stanie bardzo wskazującym. Był to przy tym taniec z rekwiizytami (butelka po winie i kryształowy kieliszek) i figurami godnymi mistrzów świata w akrobatyce. Publiką nie znajdowała słów uznania i podziwu, a członkowie straży przemysłowej (a także, w mundurach!) tak się zapatrzyli, że z tego ogromnego podziwu i uznania przez ponad pół godziny stali jak słupy soli. Dopiero jeden rodzic (widać strasznie nerwowo i nie mający uznania dla prawdziwej sztuki) położył kres owym występom, wynosząc jednego z tancerzy poza — Państwo wybacza słowo — parkiet, prawdopodobnie w obawie, by ten nie doznał kontuzji w bezpośrednim starciu z małolatami, wśród których plaśną na oczach kilkuset osób.

Tak, górniczy brunatni potrafili się bawić (w klubie „Barbórka”, do którego jednak „Odgłosy” nie weszły, gdyż drzwi zamknięte były na klucz, a obok widać kartka, że „sala zarezerwowana”) i tylko zaglądając przez okna mogły stwierdzić, że i tam tańczono na trawiastym klepsku, siedzieli na polamanych ławkach i „o suchym pysku”?! Dołączając się do życzeń dla KWB „Adamów” z okazji 25-lecia (wydobycie węgla — 67 mln ton zbieranie nadkładu — 406 mln metrów sześć — informowały tablice na rynku i na ulicach) chcielibyśmy jednocześnie wyrazić nasz żal, że następny jubileusz kopalni przypada dopiero za rok. Szkoda, gdyż tak udułej, pomyslowej i dobrze zorganizowanej imprezy kulturalnej do tego czasu pewno nie zobaczymy.

P. T.

ZANIM CHWYCYMY ZA PIÓRO...

Kilka moich uwag na temat listu W. Afelta w 27 nr „Odgłosów” pt. „Wszyscy nie mogą się obrażać”.

Zastanawiałam się, czy w ogóle jest sens pisać na ten temat, ale gwoździem do ściany jest sprawa, postanowiłam coś niecoś dodać do tego Pana „ogródka”. Zaczyna Pan od stwierdzenia, że „mnie nie zna i nie widział, w spotkaniach czy posiedzeniach, o których piszę — nie brał udziału”. A szkoda!

Znać mnie Pan nie potrzebuje, a jeśli już Pana zainteresowania idą po linii spółdzielczości mieszkaniowej i życia na osiedlu, to 28.06.84 r. odbyło się zebranie przedstawicieli Retkini i uczestnictwo Pana, choćby w roli obserwatora byłoby dla Niego korzystne. Może zachowałby Pan wtedy odpowiedniejszy dystans do spraw poruszanych przez mnie w artykule „O Retkini i nie tylko”.

Z treści Pana listu odniosłam wrażenie, że jest Pan jednak bardzo związany ze Spółdzielnią Mieszkaniową „Polesie” i niepotrzebnie zastrzega się Pan już na wstępie, że nikt go do napisania tych słów nie „napuszczał”. Nie „napuszczał”, ale po prostu ktoś Pana wpuszczał w maliny jak się to pospolicie określa. A skąd to Pan otrzymał takie informacje, że po kilku miesiącach mojej działalności obrażam się? Czy to, że weszłam do Rady Nadzorczej w marcu stanowiąc o statusie mojej działalności społecznej dla osiedla i dzielnicy? A na jakiej podstawie stwierdza Pan, że ja się obrażam? Z treści mojego listu nic takiego nie wynika, to tylko Pana sugestie. To niewiele. Po pierwsze z dyrektora spółdzielni jestem w zgodzie i w razie potrzeby, oczywiście w sprawach osiedla, po prostu rozmawiamy ze sobą. Nikogo jeszcze nie usiłowałam zrzucić ze stolika ani jakąś tam organizację rozbić! A że mi ktoś ciągle szyje buty, komu jestem niewygodna — to zupełnie inna sprawa.

Po drugie — wniosłam do Rady Nadzorczej zażalenie na administrację osiedla „Piaski”, a nie na „administrację osiedli”, jak to zostało przez Pana sformułowane. A to zasadnicza różnica. Lubie konkrety. Od dziewczęciu lat mieszkam na „Piaskach” i mogę mówić tylko o tym co się tu dzieje.

Na Radę Nadzorczą też się nie obrażam. To oni zrobili sąd nade mną i poculi się obrażeni. Nikogo przepraszać nie będę. Najwyżej mogę jeszcze coś niecoś dodać, a nie wiem, czy to będzie takie przyjemne. Uwagi jednego z członków Rady pod moim adresem, a i innych także, od samego początku były tak aroganckie, że nie licowały z ludźmi, którzy reprezentują organ spółdzielni tej rangi, jakim jest Rada Nadzorcza. A kierowane były do mnie jako do przedstawiciela określonej grupy członkowskiej. Widocznie był w tym określony cel. Nie wiem tylko z jakiego powodu Pan przejął rolę ich obrońcy, chociaż jak sam Pan pisze, że „w spotkaniach czy posiedzeniach nie brał udziału”.

Srodki masowego przekazu służą wielorakim celom. Między innymi pisze się do nich, aby poruszyć opinię publiczną, skoro już wszelkie działania zawodzą. To było też moim celem i go osiągnęłam. Na zebraniu przedstawicieli inne osiedla też upomniały się o większe świadczenie usług przez administrację. Radzie Nadzorczej po prostu przypomniałam, że zgodnie ze statutem do niej „należy także z rozpatrywanie i opiniowanie wniosków zgłaszanych przez członków i skarg na działalność administracji osiedla”. To paragraf 109 p. 9 Statutu Spółdzielni Mieszkaniowej „Polesie”. Może trochę odnowiony skład Rady z większym sercem odniesie się do tego postanowienia.

Moim zdaniem do pewnych spraw należy jednak podchodzić pryncypialnie. Wolno Panu mieć inne zdanie, ale to już Pana punkt widzenia i ja z tego Pana nie rozliczam. „Na placu boju”, jak to Pan określił nie jestem na szczęście sama, jako ta „niezłomna”. Oporządek na osiedlu, z arogancją gospodarzy bloków, z niedowładem administracji, z pijanstwem, które już tu osiągnęło chyba swoje apogeum, „bój” toczą wszyscy mieszkańcy, którym te sprawy zakłócają spokój. Treść Pana listu, to takie maleńkie pomieszczenie z popłataniem i nie wiem o co właściwie Panu idzie? Z jednej strony życzy mi się dalszego bezkompromisowego i skutecznego działania, a z drugiej — straszy mnie Pan w sposób bardzo żłostliwy za podjęcie akcji na rzecz poprawy panujących stosunków, które leżą u podstaw tego nieładu. Ironia — czy brak spójności myśli? A właściwie i jedno, i drugie. Odgrywa Pan po prostu rolę dobrego wujaszka, głaskającego po główkach biedne, skarcone dzieci. Obymy od tego głaskania nie umarli!

Ponieważ ograniczył Pan moją działalność do kilku miesięcy, bo tak Go poinformowano, przepraszam, że będę trochę nieskromna, ale z konieczności muszę Pana uswiadomić, że na rzecz osiedla działam już od 1975 roku i to z dość dobrymi osiągnięciami. Jako przewodnicząca komisji społeczno-wychowawczej jako wiceprzewodnicząca samorządu osiedlowego, w którym funkcje przewodniczącego pełnił nie kto inny, tylko obecny dyrektor Spółdzielni „Polesie”. Jako członek Zebrania Przedstawicieli i stał właśnie zostałam wybrana do Rady Nadzorczej. Doskonale więc jestem zorientowana w mechanizmie kierującym tą społecznością. W dalszym ciągu pozostaję członkiem Zebrania Przedstawicieli, które jest najwyższym organem Spółdzielni. Ale przede wszystkim poza wszelkimi organami statutowymi jestem mieszkanką osiedla i razem z innymi staram się, by to życie układało się jak najlepiej. Na szczęście ludzi dobrej roboty jeszcze nie brakuje, szkoda tylko, że tak często są szykanowani. Pisze Pan, że w moim liście do redakcji coś Pana „niepokoi”. To właśnie cel, który sobie wyznaczyłam. Ja nie pisałam wypracowania maturalnego ani pod publiczność, ale właśnie aby poruszyć i zwrócić uwagę na pewne, groźne strony naszego życia, wobec których nie możemy pozostawać bierni. Pan natomiast swoimi uwagami na temat mojego artykułu „O Retkini i nie tylko” — po prostu szkodzi. Qui bono?!!

No cóż bohater Żeromskiego też oberwałby od Pana po głowie za to, że tak bezkompromisowo i pryncypialnie podchodził do spraw: osmieszył się krytykować zarząd pewnego uzdrowiska, który brał niemala forsa za leczenie, a właściwie całe środowisko zarażone było malarią.

Nie pozuję ani na Siłaczkę ani na Judydę, ale przyznam szczerze, że takie wzorce potrzebne są nam bardzo i dziś „Osoba niezłomna” jak to mnie Pan żłostliwie określa — nie jestem. Jestem po prostu uczciwa w swej pracy społecznej, do której się sama zaangażowałam i nie mogę zawieść ludzi, którzy mnie obdarzyli mandatem zaufania. Wierzę, że nie jestem jeszcze osobowością. W pracy społecznej nie jestem partnerem wygodnym. Nie traktuję jej jako załącznika do karty personalnej lub do zorganizowania sobie czegoś tam na drogę.

Godnym uwagi na ten temat jest w nr 25 tygodnika „Stolica” artykuł Krystyny Krzyżkowskiej ujawniający co się dzieje „Na osiedlu za Żelazną Bramą” w Warszawie. Na niejednym osiedlu w Łodzi i w niewielkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Polsce dzieje się nie lepiej. Może też Pana zainteresuje wywiad z zastępcą przewodniczącego Rady Państwa profesora Kazimierzem Secomskim, opublikowany w teście „Stolica” nr 26 na temat samorządów mieszkańców w świetle nowej ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego. Przypomnę tu tylko jeden fragment:

„Nowy system samorządu powinien być impulsem do tak natęższego wykształcenia nowego typu działaczy samorządowych, dostrzegających i niezmiennie leżące, często nawet drobne, ale istotne potrzeby lokalne, które mogą być energicznie i szybko zaspokajane”.

Z jaką radością przeczytałam te wytyczne do konstruktywnej pracy organizacyjnej. Znalazłam przecież w nich potwierdzenie własnych przymysłów. I Panu też radzę przeczytać ten piękny artykuł w całości i podumać trochę. Może będzie Pan bardziej powściągliwy w swoich sformułowaniach pod adresem ludzi, którzy w sposób właśnie energiczny i bezkompromisowy podejmują walkę z

tym wszystkim, w co zabraliśmy już tak daleko, że ani kroku dalej. To wszystko co mam Panu do dania, jako moją odpowiedź na temat Pana listu pt. „Wszyscy nie mogą się obrażać”.

MARTA SOBOCKA
Retkinia — „Piaski”

ODPOWIEDŹ W. AFELTOWI, ŁÓDZIANINOWI

Za dobre słowo każdy pies dziękuje, zamieniając się z uszami w merdanie i nieprzyzwoicie niehigieniczną acz nieposkromioną naturalną chęć polizania w wasy. Rzadko się bowiem zdarza w tych czasach powszechnego psoczenia, aby ktoś miał dobre słowo dla psa.

Co natomiast czyni jamnik? Jamnik dziękuje podwójnie, a właściwie daje do zrozumienia ślepiami: Stokrotne dzięki, tysiąckrotne dzięki Panie Afelt, za przyjazny gest i sięgnięcie po pióro, aby gestowi nadać ślad trwalszy — farby drukarskiej na gazetowym tle. Sto łap za jeden uścisk dion! Także Naczelnemu, któremu nie żal „miejsca na łamach” dla psów, kotów, krokodyli nawet, chociaż pryncypia czekają i niecierpliwie domagają się wejścia na szpalty.

Jamnik jednak, w odróżnieniu od reszty psów, ma swoje przywary, wady i narowy, a także nalogi, nawyki i przyzwyczajenia — za które jedni (niechętni) lubią go szczególnie i ponad wszystko, inni zaś (tzw. większa większość) odmawiają mu w ogóle prawa nazywania się psem (ot — „przegubowiec”, „parówka-padalec” (?), „zaskroniec” (?), „kilometry razy milimetry” (?)), „tfu”. Jamnik przeto, całkowicie (prawie) solidaryzując się z tym, co Łódzianin myśli o mieszkańcu Stolicy, takim przynajmniej jak niejeden nadęty felietonista-reportażysta, nie może sobie odmówić przyjemności pokazania kawałka zębatego („wilczastej”) duszy rogatego z czarnym (złym?) podniebieniem. Mniemam otóż ja, pies-raróg, szelma i przechera, że my, mieszkańcy Łodzi, nie powinniśmy brać sobie zbyt do serca tego, co wypisują „różni”, odwiedzający nasze (zawsze) gościnne progi. — Nawet, gdy odwiedzają nas prosto z Warszawy — tego miejsca „poch” i „ach”, które wszyscy żeśmy budowali, aby było „naj-naj-a-na-twarz-padać”.

Niechaj sobie opisują, co widzieli, albo o czym sądzą, że widzieli. Wszak nie od dziś wiadomo, że to co się widzi a priori, co powinno widzieć się, zwykle pasuje do rzeczywistości jak piasek do nosa. I niechaj się nawet obrażają, że musieli pokazywać legitymację przy wejściu do Klubu Dziennikarza — ponieważ nie są tak znani i uwielbiani, jak mniemali (mnie-mają), iż są. I o to tu właśnie chodzi: o to, że wyrażenie poza opłotki klubu warszawskiego staje się lodowatym przysmakiem dla „ego”, jedynie w niektórych knajpach Stolicy znanego (nie na darmo F. Kaszak wspomina i wspomina o koniakach, nawet gdy zaprzęga dogę do pluga). I niewiele tu łagodzi sprawę fakt, iż wodę w Łodzi mamy niezłą, prosto z Pilicy, tj. lepszą niż prosto z Wisły.

Konfrontacja boli. To i nie dziwnego, że wypisują potem „różni” różności, aby mimo wszystko obiektywne i nie dające się „zaszczekać” — podperować nadwężone, a nader pochlebne mniemanie o sobie i swoich własnych śmieciach. „Ego” — oto i jest przyczyna złego o Łodzi i łódzianach pisania. Za to my piszemy o innych bez uprzedzeń i bez z góry założonych tez.

W Łodzi więc żyjąc, nie potępiajmy Kaszaków — bo oni tak piszą, jak piszą, muszę. — Ze zaś Łódź trzeźwił niejednego, tj. każdego — to dobrze; to cieszymy się. Służyć albowiem za amoniak, czy to nie satysfakcja (swoista)? Zwłaszcza, że amoniakiem ziele każdy łódzki kanał, każdy „ciek” czyli ściek indywidualny wlewający się do superścieku komunalnego, zwanego Łódką i Nerem; czym zaś zioną bramy, zwłaszcza zabytkowe — każdy czuje, komu jeszcze wężu nie odjęło.

Czytajmy, co o nas pisał! Życie jest takie szare; żal przepuszczać okazję do śmiechu, zwłaszcza gdy jest to (zwykle) okazja przednia, do zrywania boków — które to zrywanie wzbudzić jest w stanie jedynie najpoważniejszy felietonista z samego pepka pepków — Stolicy. Ma Pan rację we wnioskach. Wszystkich (prawie). Lecz nie obrażajmy się i nie zapierajmy się. Łódź od Warszawy tym wcale różni, że u nas czarne nie bieglej poprzez oczernianie innych; sami widzimy, a widząc — piszemy: jest jak jest, chociaż marzyłoby się, aby było inaczej. Produkujemy więc dla Narodu, tj. dla Kraju i na eksport koszuła, a nawet dalsze cięcia kaftany; piszemy także dla każdego, kto zna alfabet, w którym „a” znaczy a, nie żadne tam „ej” czy „alfa”. I zanieczyszczamy środowisko także zwyczajnie, nie używając dwuznacznego terminu w rodzaju „pollution” — polucja. Zanieczyszczamy, fakt! — w miarę środków i możliwości. Nie rozgrzeszając się, iż inni zanieczyszczają bardziej; i nie oczekując, że ktoś nam oczyszczalnie zbuduje.

Urzednikiem ministerialnym faktycznie zostaje się dlatego, że ma się warszawskie meludnek. Lecz bądźmy szczerzy — pracownikiem (robotnikiem) Strzelczyka, a także Uniwersytetu Łódzkiego, także zostaje się dzięki temu, iż ma się łódzki meludnek. Nie żałujemy więc godnym pożalowania: bo i tak wart Pac pałaca, a sydio ciągle wyłazi z worka. Powiedzą więc, co psu „ujdzie na sucho” — „ministrem też coraz częściej tylko z tego powodu zostaje się, iż „ma się” ten warszawski meludnek. I nic tu nie pomaga, ani nie zmienia, jednoznacznie wieloznaczne uwagi obywatela Tomasza Sasa — który stara się być pryncypialny nawet ponad pryncypia, zwłaszcza gdy rzecz idzie o inteligencję, robotników, awansach społecznych, równości etc.

Ala, czy to wszystko, co mówi się expressis verbis i to wiecie, co daje się do zrozumienia (mrużeniem, mruganiem) — wystarczy, aby się unosić honorem, absentować się et caetera bomba? Czy to wszystko, ale (!) wystarczy, aby nie czytać tego, co w Stolicy piszą i drukują (m. in. o Łodzi)? Czy to wszystko wystarczy, aby z własnej woli rezygnować z najprzedniejszych perełek humoru (w znaczeniu „humor i satyra”)? Nie wystarczy. Ja przeto czytam tak F. Kaszaka, jak i „Przegląd Tygodniowy”, i czytanie polecam każdemu! Czytanie prasy centralnej (u nas przymiotnik „warszawski” zawsze jest „centralny”) to samo zdrowie; zdrowie zaś w trójkosie, gdy prasa owa centralna wypowiada się na temat Łodzi i spraw łódzkich. Czytajmy, łódzianie, prasę centralną, nawet gdy Centrum nie czyta prasy łódzkiej. Dla zdrowia!

Na pewno zaś zdrowiem jest posiadanie psa. Przeto czytać „Przegląd Tygodniowy” na przechadźce z psem, oznacza wyżyć się bez reszty frustracji, a stresów, a kompleksów, a także potrzeby korzystania z usług bioenergoterapeutów, magistrów farmacji, doktorów medycyny habilitowanej, a także „różnych”: skorych do diagnozowania Łodzi.

Co nie zmienia faktu, iż im bardziej na psa naszczekuje się, tym miłsze jest posiadanie psa, nie licząc satysfakcji — bicia psem, zwłaszcza takim rarogowatym jak —

JAMNIK

KOMU SĄ ZNANE JENIECKIE LOSY GEN. KLEBERGA

Okregowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze prowadzi prace badawcze dotyczące losów polskich jeńców, którzy przebywali w latach II wojny światowej w niemieckiej niewoli. Prace te dotyczą obozów dla oficerów — OPLAGÓW: II C WOLDENBERG w Dobiegniewie, II E NEUBRANDENBURG, II B ARNSWALDE w Choszcznie, III A LUCKENWALDE, IV A HOHENSTEIN, IV B KOENIGSTEIN, VI B DOESSEL, VII A MURNAU.

Mimo, iż na ich temat ukazało się szereg publikacji, wiele spraw nadal należy do mało udokumentowanych i czeka na wyjaśnienie oraz dokładniejsze ustalenie faktów, jak np. pobyt w niewoli generała Franciszka Kleberga.

Gen. Kleberg jako dowódca Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” stoczył ostatnie bitwy polskiego września pod Kockiem, Adamowem i Wolą Gulowską. Mimo heroicznego czynu „Kleberg” musiał kapitulować przed przeważającymi siłami doskonale uzbrojonego wroga z powodu braku amunicji. Generał po wzięciu go przez Niemców do niewoli w dniu 6 października 1939 roku został przewieziony z pola bitwy przez Radom, Łódź, Wrocław, Dreźnie do Hohenstein. Został bowiem tam utworzony obóz jeniecki dla oficerów — Oflag IV A.

Po pewnym czasie gen. Kleberga i towarzyszących mu oficerów przeniesiono do znanej twierdzy Koenigstein, która stała się Oflagiem IV B. Później gdy oficerów polskich przeniesiono do Oflagu VII A w Murnau generał pozostał nadal w tej saskońskiej twierdzy. Wiadomo jest, że stan jego zdrowia uległ pogorszeniu, tak że został przeniesiony do szpitala wojskowego w Weisser koło Dreźnie, gdzie zmarł 5 kwietnia 1941 roku. Pochowany został na jednym z cmentarzy dreźnieńskich. — Neustadt. Prochy jego już po wojnie zostały uroczystie sprowadzone do Polski i w dniu 5 października 1989 roku spoczęły wśród poległych towarzyszy walki na cmentarzu wojennym w Kocku.

Osoby, które przebywały w wyżej wymienionych oflagach, lub którym są znane podane fakty, a dotychczas jeszcze w tej sprawie nie udzieliły wyjaśnień względnie relacji, proszone są o zgłoszenie listu pismem pod adresem: Okregowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze, pl. Słowiański 1, 65-008 Zielona Góra.

Z ŁĄDKA ZDROJU DONOSZA...

Najlepsze pozdrowienia dla Redakcji i Czytelników. Oras garść wrażeń z peregrynacji urlopowych.

Nawiasem tylko wspomnę, że oczywiście znów jest sporo wciąż sówiczków oraz kuracjuszy. Wszystko to chłonie i areszcie ukazujące się słońce, wchłania w siebie to, co za sprawą urodzaju i sprytu zaopatrzeniowców kuchnia poda na stół, trochę usiłując podrywać (na miarę sił), na ogół nie szpanując ubiorem i stylem bycia, a przede wszystkim usiłując zrzucić wagę (ja też). No i oczywiście z oznak zewnętrznych — znacznie mniejsza ilość pojazdów, a już z dalszą rejestracją — prawie wcale.

Nie tymi jednak wrażeniami chciałem się podzielić. Otóż donoszę, że napotkałem z całą satysfakcją na rzadki obrazek objaw społecznej działalności, gdzie nie stawia się na pierwszym miejscu jakże popularnego ostatnio pytania „za ile?”. Pozwolił sobie zacytować:

„Zarząd Miejsko-Gminnej OSP w Łądku Zdroju informuje, że dnia... 1984 roku o godz. 17-ej w Łądku Zdroju odbędzie się zawody sportowo-pożarnicze pomiędzy Gminą Łądek i Stroniu Śląskie. W programie: zawody sportowo-pożarnicze i loteria fantowa. Przygrywa Kapela Podwórkowa ze Stronia. Bufet obficie zaopatrzone!”.

Byłem. Opiszę.

Dzień D-2.

W remizie OSP w Łądku, którą widzę ze swoich okien — wielki ruch. Pucuje się wozy bojowe, czyści helmy i inne wyposażenie strażackie, sprawdza motopompy. Ciągłe ktoś wchodzi i wychodzi, szum, kręca się dzieciaki.

Dzień D-1.

Zwóz zaopatrzenia. Pojawiają się jakieś nieznanne osoby, pewno przedstawiciele innych straży. Napiecie narasta. Pod wieczór pojawia się kuchnia polowa.

Dzień D.

Od rana sprzęt wyprowadzony z garaży. Przy kuchni urzęduje osobnik w białym fartuchu. Pomocze kuchenne obierają ziemniaki i marchewkę. W drewnianej klatce, mieszkawce najbliższego losu „trusiąją” trawę króliki. Zaczyna się przewożenie sprzętu na miejsce zawodów, Pan Komendant w galowym mundurze oraz jego pomocnicy zwijają się niczym przy pożarze. Spod kuchni coraz więcej dymu (pali się drewnem). W okolicy rozmosi się smakowity zapach grochówki. Około 16 zostaje przetransportowany „bufet obficie zaopatrzone”.

Godzina 17. Uwieszona do hydraulicznego podnośnika „biało-czerwona” idzie w górę na wysokość 3—4 pięter.

Tor 1 i 2. Linia startu, na której znajdują się kolejne występujące drużyny, motopompy, węże i inny sprzęt. Po kilkunastu metrach — brezentowy zbiornik z wodą. Pod ten zbiornik należy biegiem zanieść motopompę i zanurzyć ssak. Od pompy rozwinąć wąż główny, a potem z rozdzielnicą (taki „wichajster” z dwoma kranami) — podać wodę do strażaka, którego zadaniem jest zagasić palącą się w metalowej beczce ropę, oraz do drugiego, który z drabiny (2—3m nad ziemią) ma za zadanie „siaka” na cejność do specjalnego krańca z blachy, osadzonego na osce.

Na stadionie MKS „Trojan” w Łądku mnóstwo ludzi. „Trojan” lub „Trojak” — to nazwa jednej z gór koło Łądku, której szczyt charakteryzuje się trzema ugrupowaniami nadzwyczaj malowniczych skał. A jaki widok — przy pogodzie — na całą Kotlinę Łódzką.

Prawdziwa atmosfera pikniku. Całe rodziny z dziećmi — od podrostków do niemowlaków. Nastolatki chodzą koło sprzętu. A jest tego sporo. Od normalnych wozów bojowych do pomp na przyczepach z traktorami. Wedle możliwości, bo przecież w gminach są zarówno strażackie zakłady przy hutach czy przemysłach, jak i te zwykłe strażackie ochotnicze z wiosek i osad.

Można zaczynać.

Na komendzie startera czterech najcięższych z każdej drużyny dźwiga biegiem kilkanaście metrów motopompę. A jest co dźwigać! Potem biegiem z węzami, lecz wszystko zależy od mechanika: czy silnik zaskoczy (ile prób przed startem)? Jeśli zaskoczy — to ile czasu trzeba, aby pompa zassała wodę? A gdy woda jest podana — śmieszny wygląd przebiegających się i prostujących węzów. No i skupienie „silawkowych”, aby się nie zlamować i jak najszybciej wykonać zadanie!

No cóż — szczęście nie wszystkim sprzyjało. Ktoś tam nie położył końcówki węża i „podał” sobie strumień wody prosto na głowę. Innemu odwręcił się końcówka i błąd ten sumiennie odpuścił, bo był mokry, jak z kąpieli...

Dwie drużyny zawodów nie ukończyły... Trudno.

Wylano kilka tysięcy litrów wody, wypalono pół beczki ropy. Komisja podliczyła punkty karne i podała wyniki, po czym w postawie „na baczność” opuszczono „biało-czerwona” i dzielni strażacy z menażkami w ręku udali się w kierunku kuchni polowej na zastawiony posiłek. Na grochówkę, króliki w potrawce i piwo.

Aha — byłbym zapominał. Kapela podwórkowa ze Stronia grała w przerwach co się zowie! Dwa akordeony, skrzypce, gitara, banjo, saksofon tenorowy i bęben — co podaje gwoli ścisłości. No i przyspiewki, słuchane z uwagą przez „P.T. Publiczność”.

Dla ścisłości również muszę podać, że pierwszy skończył się woda niż piwo („Full Light”) z wrocławskiego browaru. Lecz nie przyniosło to skutków, o których zwykło się przy takich okazjach pisać.

Tak więc byłem — widziałem. Ludzi, którym w większości nikt nie każe się bawić w ochotniczą straż, a jednak to robią. Z racji dobrze pojętego własnego interesu (pożar w wiosce, oddalonej od większej miejscowości o kilkanaście kilometrów?)

Także dla tradycji! Dlatego też nie traktuję poważnie złośliwego dialogu:

— Kto Wy?
— Ochotnicza straż
— Kolejno odlicz:
— Razi!

Cały czas jednak nurtują mnie trzy pytania:

— z kim załatwiono, że akurat na to popołudnie pojawiło się po raz pierwszy od wielu dni słońce?
— skąd wytrzymało ten full wrocławski?
— z kim załatwiono, że w czasie zawodów w obydwu gminach nigdzie się nie paliło?
Ale to są już widać służbowe tajemnice miejscowych działaczy. Na tym kończę i jeszcze raz pozdrawiam.

W. AFELT

Jaka jest różnica między przedwojennymi swatami, a działającymi dziś biurami matrymonialnymi? Biura czekają na oferty i dopiero po otrzymaniu ich próbują kojarzyć pary. Natomiast swaci sami wyszukiwali kandydatów, dzięki czemu szybciej i skuteczniej łączili ich dożgonnymi węzłami.

Po przejściu na emeryturę, dla zabicia czasu, też się zabawiłem w takiego nie uspołecznionego swata. Miałem dobrą rękę. Wprawdzie Idylla która dzięki mnie doszła do skutku, trwała krótko, zaledwie trzy tygodnie, jednak zostawiła po sobie piękne wspomnienia. Skojarzyłem związek... Victoriński Związek Piłki Nożnej z polską organizacją sportową.

Pomyślałem: kibice sportowi w dalekiej Australii, zwłaszcza polonosi, na pewno chętnie zobacząliby na swych boiskach naszych piłkarzy. Ci też marzą o popisaniu się przed rodakami. Jednakże jedni i drudzy, oddzieleni od siebie dwudziestoma tysiącami kilometrów, nie znają się, nie wiedzą jak nawiązać ze sobą kontakt. Zatem należy im pomóc!

Napisałem do mego kuzyna, Stefana Kalusa, przy pomocy którego tak udanie rozreklamowałem Olimpiadę w Melbourne. Mogę sprawdzić do was pierwszolicową drużynę piłkarską z Polski, ale nie mamy dewiz. Co wy na to?

Odpowiedź przyszła piorunem. Działaj, o dewizy się nie martw. Michał Weinstein, twój znajomy z Łodzi, jest prezesem Victorian Soccer Federation i wiceprezesem ogólnaustralijskiej federacji piłkarskiej Upoważnia cię do pertraktacji. Zależy nam na przyjeździe drużyny ŁKS. Nasi Polacy dobrze pamiętają ten klub. Prezes, jako chłopa, nie opuszczał żadnego meczu, w którym występowali Wawrzyniec Cyll, Jan Durka, Zygmunt Otto, Antoni Siedź, Władek Król.

Zadzwoń do Wacława Zatkęgo, ówczesnego prezesa Łódzkiego Klubu Sportowego.

Panie prezesie, wasi piłkarze mają szansę bezpłatnie polecieć na tournée do Australii. Zwrócił się do mnie w tej sprawie mój przyjaciel, prezes Victorińskiego Związku Piłki Nożnej. Co pan na to?

Osobiście trzy razy tak. Ale decyzja należy do zarządu. Po tygodniu, pełniąc dalej niezmiennie swą rolę swata, zawiadomiłem prezesa Weinstein: udało mi się nakłonić ŁKS do eskapady pod warunkiem, że wszelkie koszty — przelotów, hoteli, utrzymania itp. wy pokryję. Wytargowałem jeszcze tytułem wina dla łódzkiej drużyny po tysiąc dolarów za każdy rozegrany mecz bez względu na wynik.

Rozpoczęła się normalna, urzędowa korespondencja między zarządem ŁKS a Victorian Soccer Federation, organizacją odpowiadającą naszemu PZPN. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Australii każdy stan to państwo w państwie, rządzi się odrębnymi, własnymi prawami. Prezes Weinstein ustalił ile osób ma liczyć nasza ekipa, zastrzegając, że Adam Ochocki zostanie wstawiony do pomocy... w załatwianiu wszelkich formalności i nadsyłaniu materiałów propagandowych.

Wiadomość o tym, że mam polecieć do Australii z ŁKS nie wywołała jakoś entuzjazmu wśród dziennikarzy sportowych.

Panie prezesie — natarli jeden z nich na Wacława Zatkęgo — czemu zabieracie Ochockiego? Przecież on nie ma nic wspólnego ze sportem.

My nie zabieramy redaktora Ochockiego, to on nas zabiera — oświadczył prezes zgodnie z prawdą.

Wszystko już było zapieczętowane na ostatni guzik, sporządzono listę graczy i oficerów, mających polecieć an antypody, gazety australijskie na wyspie plały peany na cześć Janka Tomaszewskiego, „najlepszego bramkarza naszych czasów”, zamieszczały wywiady z nim przeze mnie przeprowadzone, gdy raptem... ŁKS począł w zastraszającym tempie wytracać formę. Seria przegranych meczów skłoniła nasze władze piłkarskie do zmiany decyzji: ŁKS nie poleci do Australii, nie możemy kompromitować za granicą naszego piłkarstwa!

Elkasiacy przełknęli jakoś tę gorzką pigułkę. Cóż ja jednak byłem winien temu, że zaczęli źle konać? Misternie skonstruowaną przeze mnie machiną groziła rozsypka. Mecz w Australii zaplanowano na przełom stycznia i lutego 1975 r., a tu już listopad na karku!

I właśnie wtedy, pięć przed dwunastą, podjąłem genialną decyzję: Legia! Legioniści grają dobrze, poza tym potrafia szybko załatwić formalności paszportowe i wizy.

Płk Kazimierz Konarski, sekretarz generalny CWKS Legia do spraw piłki nożnej, szeroko otworzył oczy, gdy zdyszany wpadłem do jego gabinetu.

Panie pułkowniku proponuję wam wyjazd na tournée do Australii już za kilka tygodni. Pięć meczów w pięciu stanach: Victoria, Nowa Południowa Walia, Queensland, Australia Południowa, Australia Zachodnia. Zapewniamy bezpłatne przeloty, hotele pod czterema gwiazdkami, doskonałe jedzenie... I po tysiąc dolarów za każdy mecz.

Proszę, niech pan spocznie... — pułkownik podsunął mi krzesło. — Pan samolotem prosto z Australii?

Nie, pociągami z Łodzi. Jestem tujejszym dziennikarzem. W Melbourne orzebywa stale mój przyjaciel, prezes Victorian Soccer Federation Upoważnił mnie do pertraktacji z panami Legia jako pierwszą polską drużyną piłkarską wystąpi na australijskich boiskach.

Już nazajutrz zadzwonił do mnie zastępca pułkownika, ppłk. Zbigniew Korol, z którym miałem odtąd utrzymywać ścisły kontakt.

Wysłaliśmy oficjalne pismo do pana Weinstein. A do pana, redaktorze, wielka prośba: czy można by powiększyć skład naszej ekipy o jedną osobę? Bardzo nam zależy, ażeby razem z trenerem Vejvodą poleciał jego zastępca, Lucjan Brychczy.

„Kici” Brychczy! Mój ulubieniec, którego podziwiałem na tylu meczach. Natychmiast zamówiłem rozmowę z Australią. Prezesa Weinstein nie zastałem. Prośbę Legii i moją przekazałem Kalusowi. Po dwóch dniach przyszła depesza: Lucjan Brychczy też poleci.

Uff... Teraz propaganda imprezy. Wysyłka „publicity” do Melbourne zajął się ppłk Korol. Ja nawiązałem kontakt z „Przeglądem Sportowym”. Redaktor działu piłki nożnej, Grzegorz Aleksandrowicz, nie ukrywał zadowolenia. To dobrze, że Kalus będzie nadsyłał korespondencje o przygotowywaniu do przyjęcia Legii. Znam go sprzed wojny. A na pana też możemy liczyć? Zależy nam na relacjach z meczów w Australii. Wyraziłem zgodę.

Umyśliłem wstawić do czytelnika w te wszystkie szczegóły, żeby lepiej „ointować” niezwykły epilog tej historii.

Korespondencje Kalusa ukazywały się w „Przeglądzie” regularnie. Ostatnia pt. „Czekujemy Was na lotnisku w Melbourne” gazeta zamieściła na sześć dni przed naszym odlotem, 15 stycznia 1975 r. Pozwolił sobie zacytować (uwaga, uwaga!) ostatni akapit: „Na tym kończę. Następną korespondencję prześle już red. Adam Ochocki, który razem z ekipą Legii przyjeżdża do Australii jako gość Victorian Soccer Federation i na bieżąco będzie informować „Przegląd” o występach i pobycie legionistów na antypodach”.

Do Warszawy pojechałem dwa dni wcześniej, w sobotę dnia 19 stycznia. Jak każda dobre obyczajne, poszedłem do redaktora naczelnego „Przeglądu”, Andrzeja J., przedstawić się, zapytać czy ma jakieś specjalne życzenia, o jakiej porze redakcja będzie do mnie dzwoniła itp.

Proszę się nie fatygować — oświadczył redaktor. — Sam obsługuje naszą gazetę.

Nie rozumiem... Z Warszawy?

Z Australii! Lecę z Legią.

Przecież pana nie ma na naszej liście!

Nie szkodzi. Znalazł się inny fundator.

Napisaliśmy w pańskim „Przeglądzie”, że ja będę waszym sprawozdawcą. Robicie ze mnie balona, czytelników wprowadzacie w błąd!

Niech się pan o nich nie martwi.

Próbowałem ratować sytuację.

Może się podzielimy? Pan nada sprawozdanie z jednego meczu, ja z drugiego.

Drogi kolego, sam obsługuje wszystkie spotkania. Nie musi pan pisać.

Ja nie muszę? To pan mnie jeszcze nie zna redaktorze Jot! Pobiegnę na postój taksówek.

Stadion Skry, Wawelska 5!

Nie znam osobiście redaktora naczelnego „Piłki Nożnej”, ale

czy to istotne?

— Co pan powie na taką propozycję — zwróciłem się do Stefana Grzegorzycy. — Lecę jutro do Australii, mogę wam nadawać stamtąd bezpłatnie sprawozdania z występów Legii.

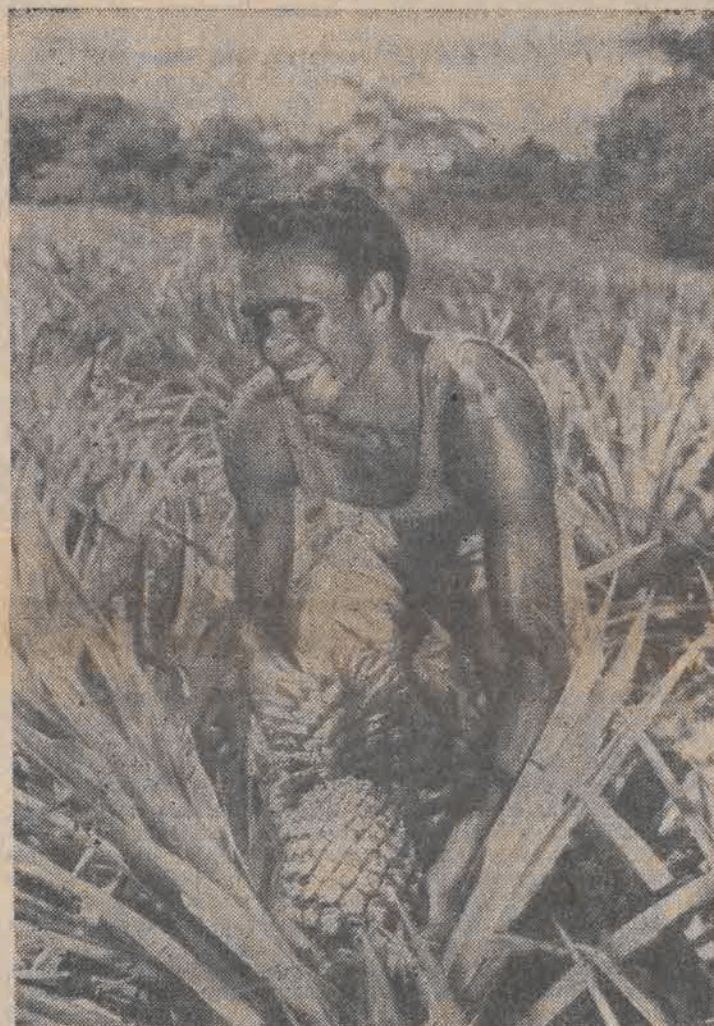
— Bezpłatnie? Dlaczego? Chętnie panu zapłacimy i to dobrze. Czekam na ciekawy materiał.

Ustaliliśmy techniczne szczegóły, obiecaliśmy też przeprowadzić wywiad z prezesem Weinsteinem o rozwoju piłki nożnej w Australii.

W drodze do hotelu wystąpiłem do Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”. Gdy pierwszy raz leciałem do Australii w 1956 r., na prośbę ówczesnego sekretarza p. Słeca przywoziłem trochę materiału o życiu rodaków na dalekim subkontynencie. Może i teraz „Polonia” zechce skorzystać z moich usług? Prezes nie mógł mnie przyjąć. Miał gości... Andrzeja J. Jak mi później powiedziano, dzięki tej znajomości redaktor J. polecił nadprogramowo. Eskapada kosztowała, bagatela, około pięciu tysięcy dolarów, którą to sumę w ogólnym rozrachunku wyplacono ze szczytów kiesy państwowej. Wywołało to niemały szum w warszawskim światku sportowych dziennikarzy. Bo za te dewizy kilku żurnalistów mogłoby jechać na różne imprezy w krajach zachodnich.

ADAM OCHOCKI

Lecę z Legią do Australii



Ja też byłem podminowany. Jednakże perspektywa współpracy z „Piłką Nożną”, rychłego spotkania z rodziną oraz towarzystwo młodych, pełnych radości chłopców z Legii, sprawiły, iż szybko wróciłem do równowagi.

A więc znowu lecę do Australii! Ciekawe, jakie zmiany zaszły tam przez osiemnaście lat. Obok mnie w samolocie siedział najmłodszy uczestnik drużyny Legii — Krzysztof Krajewski. Kiedy ja w 1956 r. emocjonowałem się meczami futbolowymi w Olympic Park, Krzysztof kopał szpadelkami ziemię w piaskownicy, a Kazimierz Deyna zapalał dziesięć świeczek w torcie urodzinowym. Podróżowało się też wtedy inaczej. Na Olimpiadę w Melbourne lecieliśmy w sumie sześć dni, teraz po starcie w poniedziałek — już w środe o 9 rano (w Polsce był wtedy wtorek, godzina 24) wylądowaliśmy na lotnisku w Melbourne.

Podróż znieśliśmy dobrze. Lekarz Legii dr Soroczko nie miał z nami kłopotów. Potężny „Jumbo Jet”, na który przesiadaliśmy się we Frankfurcie nad Menem, gonil noc z szybkością 900 km/godz. Dla nabrania paliwa lądowaliśmy tylko w Bahreinie, Delhi, Hong-Kongu, Manili i w Sydney. Według rozkładu lotów, zamiast w Manili mieliśmy zatankować w Darwin, stolicy stanu Terytorium Pn. w Związku Australijskim, jednakże huragan, który zmiołł to miasto z powierzchni ziemi, nie oszczędził i lotniska.

Wylądowaliśmy w Australii! — zawołał w 1935 r. Egon Erwin Kisch, gdy przybył na piaty kontynent — i takim tytułem opatrzył swą książkę. „Szalejący reporter” popłynął statkiem na antypody z okazji 100-lecia istnienia Melbourne i odbywającego się tam kongresu antywojennego. Ówczesny minister, później premier, Robert Gordon Menzies, któremu nie w smak była wizyta postępowego dziennikarza, oświadczył: Kisch nie zjedzie na ląd australijski! Ale Kisch dopiął swego i Menzies nic nie mógł mu zrobić. Minister zabronił reporterowi zejścia ze statku, więc ten, wiedząc o tym, zeskokczył na ląd i z nogą w gipsie zwiedził kraj uczestnicząc w spotkaniach z działaczami robotniczymi.

Ja nie musiałem skakać. Wraz z piłkarzami Legii bez przeszkód, wygodnie, przesiadłem do komory celnej po stopniach dwupiętrowego tunelu, przystawionego do naszego kolosa. W reku ścisnąłem wiązanek sztucznych kwiatów dla prezesa Weinstein. Kwiatki, żeby wyglądały bardziej sielsko, poprząkałem oryginalnymi kłosami zboża, zebranych latem w Kazimierzu nad Wisłą. Celnik popatrzył się uważnie na bukietki. „Syntetik” — powiedział. Uśmiechnął się, wyjął starannie wszystkie kłosa i zwrócił mi same kwiatki. Oto do czego może doprowadzić obłądny strach nawet przed chorobami roślin!

W poczekalni lotniska Tullamarine otoczył nas rozentuzjazo-

wany tłum rodaków zza Wielkiej Wody. Polskie dzieci w barwnych strojach łowickich najczystsza polszczyzną powitały graczy Legii, nie zapominając o autografach. W ogólnym rozgardaszu i ja hojnie rozdzielałem podpisy. Z trudem docisnęli się do nas Kazimierz Kowalec, Gąsior i inni zawodnicy, którzy przed laty zasilili polonijne kluby piłkarskie w Australii. Przybyli licznie dziennikarze i fotoreporterzy. Dali pokaz sprawnej roboty. W kilka godzin po rozlokowaniu się w hotelu „President”, gdy zeszliśmy na posilek, wręczono nam pachnące farbą drukarską egzemplarze „Heralda” ze zdjęciem Deyny na pierwszej stronie, całującego 5-letnią łowiczkę — Ewę Piejko. „Soccer Week” aż trzy strony poświęcił naszej wizycie. Witajcie Legia, Welcome Legia! — głosił dwujęzyczny tytuł na czołowej kolumnie. Mój kuzyn na dwóch stronach rozpiął się o przybyciu warszawskich graczy.

Nazajutrz trener Vejvoda zarządził trening. Jego kolega po fachu prowadzący reprezentację stanu Victoria, Toni Boggi, Polak z pochodzenia, którego babka — Czerpnikowa, wyszła za Włocha — nie zasypiał gruszek w popiele. Krawężnik zakamarkał Olympic Park obserwując trenujących graczy. Brychczy wypróbował Piotra Mowlila, bombardując jego bramkę. Strzelał „Kicięgo” z obu nóg wyskakiwał siódme poty z biednego Piotrusia. Piłka raz po raz lądowała w okienku bramki. Boggi nerwowo dopytywał się na jakiej pozycji zagra ten wspaniały strzelec. Dopiero, gdy mu powiedziano, że to drugi trener Legii, uspokoił się. Polubiłem pana Lucka. Zawsze miał coś wesołego do powiedzenia. Widząc kiedyś, że się nad czymś zamyślił, zaproponował: „Zagramy w bujdy, panie redaktorze?” „Jak się w to gra?” „Całkiem prosto: pan powie bujdę, a ja sobie pojędę...”

W przeddzień meczu zawieziono nas do Palais de Danse na bankiet. Urządził go na naszą cześć klub piłkarski „Polonia” w Melbourne. Prezes Sowiak serdecznie powitał gości, życząc im sukcesów na zielonej murawie. Potem pchający się zawsze do przodu Andrzej J. przedstawił po kolei członków naszej ekipy: szefa, kierownika, siebie, graczy, lekarza, trenera, pomocnika trenera, masażystę. Tylko o mnie nie wspomnieli ani słowem.

Nie wszystkim służył klimat australijski. Deyna narzekał na bezsenność, Chmikiwicz i inni mieli podobne kłopoty. Mimo to pierwszy mecz legionistów wygrali wysoko. Piłka nożna na antypodach nie cieszy się popularnością. Na mecze przychodzi zazwyczaj 2-3 tysiące kibiców. Inaugurację mecz Legii zgromadził na stadionie — jak to, dokładnie wyliczył komputer — 13.212 osób. Przeważali oczywiście miejscowi Polacy.

Do Adelajdy, stolicy Australii Południowej, gdzie warszawiaków czekało drugie spotkanie, nie poleciałem. Woliałem zostać kilka dni z rodziną, wykorzystać ten czas na wycieczki. Znajomy makler, zawiózł mnie do Geelongu, centralnego ośrodka weinlanego, Welna to narodowe bogactwo Australii. Ekipie Legii uszyto z niej na tournée piękne beżowe ubrania. Ponieważ kontynent w „dole globusa” w jednej trzeciej zaspokaja światowy popyt na wełnę, co najmniej siedmiu członków naszej wyprawy miało na sobie garnitury z australijskiego runa. Po 14 owieczek przypada tam na każdego obywatela, nawet tego w pieluchach. Nie darmo więc mówi się, że Australia jeździ na grzbiecie owcy. Pocziwie owieczki, żeby dawały wartościową wełnę, muszą mieć pod dostatkiem paszy. Najlepiej im smakuje bujnie rosnąca trawa. Ale na pastwiskach pojawiają się intruzy. Przed laty hodowcom napędziła strachu plaga królików. Wylapano trochę tych zwierzątek i zaszczepiono im myksomatozis. Zarazki nieszkodliwe dla innych zwierząt i ludzi choroby rozniosły komary. W krótkim czasie padło półtora miliarda królików. Hodowcy odetchnęli, ale nie na długo. Pastwiska zostały zaatakowane przez tabuny dzikich kóz. Do akcji wkroczyli myśliwi, uzbrojeni w karabiny z optycznymi celownikami i przebrzeźli koczni zastępy.

Hodowcy owiec to bardzo zamożni ludzie. Na oko taki nadziany dolarami bogacz niczym się nie różni od zwykłego Robinsona. W pracy tak samo jak on ma na sobie granatowy kambez, upstrzony klaczkami wełny. Tylko jego konto bankowe jest inne, ale konta nie widać. A oto zabawna historyjka, jaką mi opowiedziano.

Pewien hodowca postanowił kupić sobie nowe auto. W kombinie, prosto z farmy, udał się do salonu samochodowego. Właściciel, obrzuciwszy krytycznym wzrokiem klienta, zaproponował mu małodrożowy, tani wóz. Hodowca krecił nosem, machnął ręką na inne samochody, wreszcie wskazał na ostatni model Rolls Royce’a. Właściciel salonu wymienił zawrotną sumę. Hodowca nie targując się wypisał czek. „Może szanowny pan ma jakieś życzenia?” — spytał przedsiębiorca gnąc się w tyłkach. „Owszem, proszę mi wstawić w samochodzie szybę między przednim, a tylnym siedzeniem, na całą szerokość auta, od deski do podłogi”. „Tak jest, oczywiście, zaraz wydam polecenie. Ale czy można wiedzieć po co panu taka szyba w samochodzie?”. Na to hodowca: „Widzi pan, ja bardzo nie lubię, jak w czasie jazdy owce liżą mnie w kark!”

W niedziele miałem pierwszy telefon z Polski.

— Mister Ochocki? A call to you from Warsaw!

Oczy kleiły mi się do snu, dochodziła jedenasta wieczór. W warszawskiej redakcji „Piłki Nożnej” trwała w tym czasie normalna praca, jako że zegary wskazywały tam dopiero drugą po południu. Pod ręką miałem przygotowane notatki. Po paru chwilach — pytałem czy nie dyktuje za szybko, może nie nadażę notować?

Kolego, pański „spicz” nagrywamy na taśmę. Prosto z taśmy pojedzie na linotypy!

I tutaj technika zrobiła olbrzymi krok do przodu. Wtedy, w 1956 r., moje relacje z Olimpiady, słowo po słowie, mozolnie zapisywał Tadeusz Tempelhof.

Cały wolny czas zabrało mi zwiedzanie miasta. Kuzyn obwoził mnie po dawno nie widzianych ulicach. Jak tu się wszystko zmieniło! Niekłótych dzielnic nie mogłem poznać. St. Kilda Rd. centralna arteria, niczym nie przypominała tamtej sprzed osiemnastu lat. Na miejscu dawnych, kilkupiętrowych budynków, wyrósł las wieżowców. Przy Wellington Parade wystrzelił pod chmurę największy hotel — „Hilton”. To nazwisko jednego z byłych meżów gwiazdy filmowej Liz Taylor. Na świecie jest około setki „Hiltonów”. Nie należą one wyłącznie do eksmalzonka aktorów. Jest on tylko współdziałowncem trustu, rządzonego przez amerykańsko-australijski kapitał.

W Fitzroy Garden jednopiętrowy dom z parterową przybudówką, schowany za pięknie utrzymanym żywopłotem. Przez wiele lat mieszkał tu James Cook, który w kwietniu 1770 r. przypłynął statkiem „Endeavour” i zatknął angielską flagę na wschodnich, najodleglejszych brzegach Australii. Odkrycia, które przyniosło Anglii niezmiernie bogactwa, dokonał jako porucznik w służbie J.K. Mości, dopiero pośmiertnie, w nagrodę za te wyprawy, awansowano go do rangi kapitana.

Do Sydney, trzeciego etapu naszej eskapady, poleciałem sam. Posiadałem godzinke na lotnisku czekając na samolot z Adelajdy z naszymi.

— Opuścił nas pan i przegraliśmy mecz — zrobił mi wyrzuty Cypka.

Obiecałem już do końca podróży towarzyszyć graczom. Jak każdy szanujący się reporter, zabrałem na te wyprawy aparat fotograficzny. Pstrykałem zawzięcie, nie żałując kolorowej taśmy. Ciekawe obiekty, zabytki, sceny uliczne. Połowałem zwłaszcza na piłkarzy. Uwieczniłem ich w akcji, ryzykując wybiegi na boisko w najgorętszych momentach. Rolka jakoś nie chciała się skończyć. Okazało się, że ja źle wkreciłem. Ze zdjęć wyszły nic. Trener Vejvoda powiedział:

— Ja jestem jeszcze większym pechowcem. Tyle razy mnie fotografowano, ale jeszcze nigdy żadne zdjęcie nie wyszło.

Pociążył mnie pan trener. Ostatecznie to co zobaczyłem, na zawsze pozostanie mi w pamięci. Bez wywoływacza, bez utrwalacza i innych chemikaliów.

W Sydney legionistów rozgromili reprezentację ogólnaustralijską. Bohaterem meczu był Dąbrowski. Strzelił dwie bramki, zdobył miano „brilliant striker”. Po meczu poprosiłem naszego radcę handlowego mgr Cieślaka o podwiezienie do hotelu. Spieszyłem się, Warszawa miała wieczorem dzwonić po relacje. Podąłem nazwę naszej rezydencji: „Trave Lodge”. Radca zawiózł mnie i odechcał. Z przerażeniem stwierdziłem, że to nie mój hotel! Okazało się, że stolicą stanu Nowa Południowa Walia ma aż 11 hoteli o tej nazwie, ja zaś nie znalazłem adresu swojego. Dowiadywać się po kolei w każdym gdzie mieszkam? Strata czasu i twardej waluty. Zadzwoniłem do mego przedwojennego kolegi redakcyjnego Henryka Gostynskiego-Gostina. Jego numer znalazłem w spisie tele-

fonów bez kłopotu — bo Gostin w Sydney jest tylko jeden. Podjechał po mnie i zabrał do siebie. Poprosiłem, żeby się porozumiał z międzynarodową — niech przerzuca rozmowę z Polski na jego domowy telefon. Henryk miał szczęście — za trzecim razem utrafił w mój „Travel Lodge”. A ja zadzwoniłem do szefa naszej ekipy plk. Ferynca. Powiedziałem o swojej przygodzie, niech się nie martwi, jestem zdrow i cały. Na noc zostaje u przyjaciół. Na jutro pan pułkownik powitał mnie gorzkimi wyrzutami. Jak można odłączyć się od ekipy? Naraża mnie pan na kłopoty! Chyba nie pomyślał pan, panie pułkowniku, że wybrałem wolność? Zakomunikowano nam, że w Brisbane, stolicy Queenslandu, krainie wiecznego lata spędzimy tylko dwa i pół dnia. Szkoda, to najpiękniejszy zakątek Australii. Silnie operujące słońce, bujna zielen, palmy, bajecznie opierzone ptaki — wszystko na każdym kroku przypomina o rajauteczniejszym tropiku. Polonia w Brisbane nie jest liczna. W całej Australii żyje około 130 tysięcy Polaków, z czego najwięcej w Sydney i Melbourne (43 i 35 tysięcy). W Brisbane niewiele ponad cztery tysiące. Miejsce władze nie stwarzają naszym rodakom ciepłarnianych warunków. Organizacje polonijne natrafiają na opór, nawet na jawna niechęć. Od osiemnastu lat, podobnie jak w pozostałych stanach, istniał w Brisbane klub piłkarski „Polonia”. Dwa lata przed naszym przyjazdem federacja stanu zmusiła „Polonię” do zmiany nazwy na „North Brisbane Soccer Club”.

— Ale my się nie daliśmy — oświadczył mi jeden z działaczy klubu polonijnego. — Chociaż oficjalnie musieliśmy ustąpić, tak samo jak inne kluby o tronie narodowym między sobą nadal nazywamy się „Polonia”. W kłopotach marynarek nosimy emblematy „Polonii”. Gracze naszego klubu występują na boisku w polskich barwach narodowych. Czy pan uwierzy, przed kilku laty jakaś zwariowana baba, nazwiskiem Brown, wystąpiła do parlamentu z wnioskiem o przemianowanie Góry Kościuski na Górę Churchilla, bo Kościusko był obokrajowcem! Na szczęście propozycja nie przeszła.

Na przejażdżkę po Brisbane zabrał Brychczego, Cypke i mnie pan Janusz Saida, maister stolarski, syn kolejarza z Kielecczynny, b. więzień obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu i Mauthausen. Pokazał nam lokal, gdzie występowało „Mazowsze”, dom, w którym mieszkała Wanda Wilkomska, a tutaj, proszę panów, w tym kinie, spłakałem się na „Chłopach” jak bóg.

W cementowni Darra, niedaleko miasta spotkaliśmy się z grupą chłopów polskich, pochodzących z różnych zakątków naszego kraju. Ich przywiązanie do Macierzy jest godne podziwu. Zawsze pierwsi zjawiają się na imprezach polonijnych i pierwsi włączają datki na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Chłopi z Darra, zwani z racji swego patriotyzmu „kosynierami”, mówią najczystsza polszczyzną. Swym dzieciom z pasją, czasem i pasem, wpajają ojczysty język.

Wreszcie ostatni skok, jakiego mógłby nam pozazdrościć każdy kangur: Brisbane — Perth! Z najbardziej na wschód wysuniętego krańca Australii na jej zachodni cypel, od brzegów Pacyfiku poprzez cały ten kraj-kontynent do brzegów Oceanu Indyjskiego — w sumie ponad 4.700 kilometrów.

Australia Zachodnia ze swą stolicą Perth to największy stan zajmujący jedną trzecią całego terytorium Związku Australijskiego. Pod okienkami naszego samolotu przepływały lasy eukaliptusowe, sawanny, stepy, pustynie. Przy schodzeniu do lądowania nie mogliśmy oderwać oczu od ukwieconych jak wiosna i wczesnym latem Western Australia obdarza cały kraj wielkim bukietem tych dziko rosnących kwiatów w tysiącach odmian.

Ucieszyła nas wiadomość, że aż sześć dni spędzimy w Perth. Będzie można odpocząć i odrobić zaległości. A nabierało się ich sporo. Wstyd przypominać — nikt z nas, nawet ja, strzy bywałem, nie widział dotąd... kangura, narodowego zwierzęcia Australii, którego wizerunek figuruje w herbie piętego kontynentu, na emblematach państwowych, na banknotach, znaczkach pocztowych. Wszyscy mieliśmy w walizkach po kilka kangurzynek z małymi kangurkami w torbie nabrzuśnej, ale to były maskotki. Na każdym przyjęciu obowiązkowo wręczano je nam jako suweniry. Pierwszego żywego kangura zobaczyliśmy dopiero w Perth, w tamtejszym zoo opodal pięknej plaży za miastem. I pomyśleć co roku w Australii idzie pod ostrzał trzy miliony kangurów, ponieważ sieją one спустoszenie w pastwiskach, niszcza uprawy i ogrody.

Na drzewach baraskowała rodzinna pociesznych niedźwiadków koła. Maskotkami tych zwierzątek, też nas, hojnie obdarzono. „Koala” w języku tubylców oznacza „niepilny” (jak jest „niepilny” — nie wiemy, a nazywa się tak dlatego, że niezbędna dla organizmu wilgoć czerpie z roślin, stanowiących ich wyłączne pożywienie. Nazwa niezbyt trafna, bo koala to... nałogowy piak! Jest, jest na rauszu sok z eukaliptusa, jego ulubionego przysmaku, zawiera spory procent alkoholu).

A te dziwne stworzenia? Nawet na fotografii ich nie oglądałem. To największy dziwoląg świata zwierzęcego Australii, żyjący tylko na pływającym kontynencie. Dziobak, po łacinie platypus, składa jaja, ale małe karmi mlekiem! Jednakowo dobrze czuje się na lądzie i w wodzie. Pierwsi podróżnicy, którzy wrócili z Australii do Europy, nazywali te cudaczne stworzenia „dzieciakami diabła”.

Redaktor J. nie towarzyszył nam w ostatnim etapie podróży. Widocznie spełnił już swa misję, bo solo odjechał do Polski. A ja miałem tego wieczoru aż dwie rozmowy z Warszawą. Po „Piłce Nożnej” zadzwonił... „Przegląd Sportowy”. Wszyscy nasi oficjale i gracze byli na kolejnym przyjęciu, więc telefonistka hotelowa połączyła rozmowę ze mną. Dziennikarz „Przeglądu” poprosił o relację z ostatniego meczu Legii i jak miślicie, co zrobiliśmy? Rzućcie słuchawkę? Podyktowałem! Nie wiem kto za mój materiał otrzymał honorarium, w każdym razie do tej pory nie przysłało mi z redakcji nawet podziękowania.

Koleję z „Piłki Nożnej” poprosiłem o skontaktowanie się z żoną. Niech mi przywiezie na Okęcie kożuch. Moja budrysówka produkcji Spółdzielczych Zakładów Przemysłu Odzieżowego im. Lewartowskiego w Łodzi zrobiła w Melbourne furorę, musiałem ją podarować przyjacielowi. Kiedy u nas w Polsce nastąpiło lato, przyjaciel pojechał w niej na narty do Snowy Mountains w Nowej Południowej Walii, jedynego w tym kraju ośrodka sportów zimowych.

Z Perth do Polski wystartowaliśmy we wtorek. Teraz dla odmiany goniliśmy słońce, cofając przy każdym lądowaniu wskazówki zegarków. Odzyskałmy dziesięć godzin „straconych” w drodze na antypody. Trasa była nieco inna: Singapur (jak to śpiewał Werdyński? W bananocytrynowym Singapurze, w burzy...), Bombaj, Bahrein, Frankfurt. Urzeczywistniłem się na samolot niemiecki „Lufthansa”.

W samolocie dokonałem bilansu wyprawy. Około 55 tysięcy kilometrów w powietrzu przy fantastycznej pogodzie — w ciągu trzech tygodni nie spadła ani jedna kropla deszczu. Sportowy wynik dodatni: trzy wygrane mecze, jeden przegrany, jeden remis. Ale nie to chyba było najważniejsze. Impreza miała przede wszystkim charakter patriotyczno-propagandowy i jako taka wypadła na piątkę z plusem. Wszędzie witano nas entuzjastycznie, wszędzie spotykaliśmy się z obywateli wielkiego przywiązania do polskości, do pierwszej Ojczyzny i zmuszaliśmy ich serca do szybkiego bicia. Nasi rodacy choć nie zawsze zgodni w poglądach politycznych, nieraz się sobą kłócili, na każdym kroku podkreślali, że są i czują się Polakami dając tego liczne dowody, m.in. datkami na zasilenie funduszu PKO!

Rozmyślanie moje przerwała charakterystyczna krzatynina w samolocie. To znak, że dobiłamy do celu. Warszawa! Tłumy na Okęcie. Defiluje do figury przez nów lotniskową. Na szczęście nie jest mroźno chociaż to lut w początki mroźno. Znalazłem jakiegoś krótko przemówienie, jeszcze krótsza odprawa celna. Rozglądam się dookoła. Jest żona! Na reku trzymam mój kożuch. Mogę wrócić do Łodzi bez obawy. Że złapie zapalenie płuc...

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki pt. „Reporter przed konfesjonalem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę”.

Uciekiem 30 maja 1948 roku z więzienia śledczego w Linzu. Potem dowiedziałem się, że biskup Hudal przy Watykanie w Rzymie pomaga katolickim oficerom SS i dlatego pojechałem do Rzymu”.

Opowiedział to Franz Stangl, komendant obozu zagłady w Treblince, dziennikarce Gicie Sereny, na krótko przed swą śmiercią w 1971 r. w więzieniu w Duesseldorfe. Od Hudala otrzymał po dwóch tygodniach czekania „paszport Czerwonego Krzyża” i pieniądze na podróż, ażeby popłynął do Syrii, a następnie do Brazylii. Z jawnymi dokumentami zbiegły więzień zdołał przejść jednak przez granice austriacką i prze-

bić do Włoch po Huda- lu znajdują się po dzień dzisiejszy egzemplarze z fałszowaną najwyraźniej numeracją, wystawione na osoby z wymyślonymi adresami rzymskimi.

Proelichthal, do czasu „Anschlusu” Austrii sekretarz kancelarii związkowego Schuschinga, zbiegł w 1938 roku przed nazistami z Wiednia znalazł rodzinne schronienie w Rzymie i musiał dopiero skryć się przed oprawcami Hitlera — razem z Willy Nixem — u Siostr Matki Bożej Bolesnej. Z pewnością nie podzielał poglądów politycznych Hudala. Czy więc je ignorował? Jego wówczas osiemnastoletni syn (dziś ambasador Austrii w Rzymie) uważa to za możliwe. Inaczej niż dziś, w owym czasie, dla wiernego Kościoła ka-

myśle dokumentu w tekście) znajduje się paradoksalne wydrukowane bardzo mała czcionka, twierdzenie, któremu przeczy wszystko co następuje dalej: „Dokument ten nie jest ważny jako dowód osobisty”. Na pierwszej stronie dodaje się: „Dokument ten został wystawiony na prośbę okaziciela, ponieważ ten oświadcza, że nie posiada ani normalnego, ani tymczasowego paszportu, ani nie jest w stanie postarać się o taki. Dokument ten nie wyraża nie definitywnego o obywatelstwie okaziciela, ponieważ w wyniku tego nic nie zostało naruszone. Podpisany delegat Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża oświadcza, że wystawił ten dokument, aby pozwolił okazicielowi uzasadnić (!) jego obecność w obec-

— powiedzmy — konsultatu krajowym południowo-amerykańskim?”

„Właściwie taki był warunek — mówi pani Dupuis Marsteller — często jednak powstawał diabelski kłopot: niektóre kraje nie wydawały wizy, jeżeli ktoś nie rozporządzał już dokumentem podróży, a my nie wystawialiśmy go, jeżeli nie mieliśmy pewności, że dana osoba rzeczywiście może wyemigrować. Osoby, które — powiedzmy z powodu nielegalnego wjazdu — wylądowały w jednym z obozów dla internowanych, na przykład we Fraschette, albo Lipari — wypuszczane były przez Włochów, jeżeli dostali nasz dokument... Zdarzały się też fałszerstwa! Któregoś dnia wezwła mnie policja i pokazała mi skonfiskowane dokumenty podróży, na których natychmiast poznałam, że podpis delegata Czerwonego Krzyża dr Hansa Wolfa Salisa, a także mój własny, nie były autentyczne, lecz podrobione...”

Wywiadowi amerykańskiemu nawet prawdziwe dokumenty wydawały się, co prawda, wątpliwe: „Odcisk kciuka zrobiony jest zwykłym atramentem i nie jest „toczony”, a jedynie odcisnięty... Wszystkie pieczęcie, których posługuje się Międzynarodowy Czerwony Krzyż, są zwykłymi stemplami gumowymi nie odciskającymi się na papierze (zmieniło się to w 1948 r. zdjęcia paszportowe dają się wymienić. Istnieje więc handel tymi dokumentami. Nigdy nie będziemy wiedzieli, ile działało w Rzymie handlarzy, którzy na zmyślone nazwiska wciągał od nowa wystawiając sobie nowe paszporty Czerwonego Krzyża” — zanotowano z datą 15 maja 1947 roku w raporcie La Vista Zawarte jest tam również ubolewanie:

„Sa jeszcze całe grupy Niemców — nazistów, którzy przybywają do Włoch wyłącznie w tym celu, żeby postarać się o fikcyjne dokumenty i następnie, najczęściej natychmiast, wyjechać przez Genewę i Barcelonę do Ameryki Łacińskiej”.

Jednakże niepokój amerykański spowodowany był nie tyle faktem, że mogli to być nazisci, albo wręcz zbrodniarze wojenni, lecz tym, że komuniści wykorzystują to możliwość, żeby wysłać agentów do odpowiedzialnych krajów”.

Kto nie był, ani słowem nazistą, czy faszystą w notcie werbalnej, utrzymanej w krytycznym tonie, przekazanej przez dyplomatę amerykańskiego Jamesa Grahama Parsonsa na polecenie Departamentu Stanu pod koniec 1947 roku, papieskiemu sekretariatowi stanu dla ostrzeżenia Watykanu przed udzielaniem pomocy: „Z ostatnich szacunkowych obliczeń wynika, że dziesięć procent osób poruszających się z dokumentami tymczasowymi po całym obszarze Europy, to tajni agenci, z których wielu ma dostrzeżenie na półkule zachodniej i do Stanów Zjednoczonych. To całe nadużycie instytucji humanitarnych grozi nie tylko dyskredytowaniem godnych pochwały starań o złagodzenie dołi ludzkiej, lecz nawet przybraniem rozmiarów, które stworzą zagrożenie dla porządku światowego (!)... Tak więc Stany Zjednoczone zwracają uwagę Stolicy Apostolskiej na tę sprawę, w nadziei, że skłonna będzie zbadać problem i rozważyć kroki pożądane dla uchronienia narodów przed infiltracją nieprzyjatelnych agentów...”

Odpowiedź papieskiego sekretariatu stanu nie jest znana; jednakże notatka o wizycie złożonej nieco wcześniej, 15 lipca 1947 roku przez Averella Harrimana (ministra handlu USA) Piusowi XII, pozwala się zorientować, że ten rodzaj argumentów amerykańskich wywarł wówczas jedynie otwarte drzwi.

„Papież określił niebezpieczeństwo komunistyczne, jako bardziej zdradzieckie niż nazistowskie. Taktika komunistów jest tak mądra i zwodna, że dotra niemal wszędzie, także do silnych krajów, takich jak USA...”

„Papież określił niebezpieczeństwo komunistyczne, jako bardziej zdradzieckie niż nazistowskie. Taktika komunistów jest tak mądra i zwodna, że dotra niemal wszędzie, także do silnych krajów, takich jak USA...”

„Papież określił niebezpieczeństwo komunistyczne, jako bardziej zdradzieckie niż nazistowskie. Taktika komunistów jest tak mądra i zwodna, że dotra niemal wszędzie, także do silnych krajów, takich jak USA...”

c.d.n.

HANSJACOB STEHLE

Czy potrzebna była także zgoda na wyjazd, a więc wiza

Do Ameryki Południowej droga wiodła przez Rzym

2

Z paszportem Czerwonego Krzyża

jechał przez pół Włoch do Rzymu, jest nadal równie niejasne, jak pytanie, co biskup w Rzymie miał wspólnego z Czerwonym Krzyżem, a ten z paszportami podróży.

Wiało się to z przeobrażeniami skrzetnionego rektora „Collegio Teutonico di Santa Maria dell' Anima” — biskupa Aloisa Hudala (1885—1963). Wkrótce po „przyłączeniu” Austrii przesłał Hitlerowi swa książkę „Podstawy narodowego socjalizmu” (Lipsk, 1937) z napisaną własnoręcznie dedykacją: „Świętymu wielkości niemieckiej”. Jednak w 1944 roku, kiedy klęska Hitlera była pewna, a Rzym był w rękach alianckich, wyparł się rychło swoich wielkoniemieckich skłonności. 2 lipca 1944 r. stanął na czele „Austriackiego Komitetu Wyzwolenia” liczącego 63 członków, którego powołanie określa się w jednym z raportów wywiadu amerykańskiego (z 12 sierpnia), jako „karykatura demokracji”; niemniej jednak wykluczało się z tego nieco później — z błogosławieństwem aliantów — „Biuro Austriackie”, spełniało niemal te same funkcje co biuro niemieckie Nixy.

„Grupy tego rodzaju zdradzały skłonność do przypisywania sobie nadmiernego znaczenia, co wyraża się w przyznawaniu sobie w mniejszym lub większym stopniu funkcji konsularnych” — poddawał pod rozwagę w depeszy do Rzymu z 14 września 1944 roku Departament Stanu. Z tym — i z nieufnością wobec „starych austriackich” w Komitecie — wiązało się zapewne to, że „Ausweiskarte” (Identität Card, Carta di riconoscimento), jaka mogła wydawać to „Biuro Austriackie” — ze stemplem z monarchistycznym, podwójnym orłem — była o wiele skromniejsza niż paszport Nixy; w dokumencie tym nie było przede wszystkim miejsca na wizy wyjazdowe. Jako dowód obywatelstwa wystarczało oświadczenie złożone pod przysięgą. Ponieważ ważność dokumentu „dla władz włoskich i alianckich” była nieograniczona w czasie, mógł być wykorzystywany do podróży między Austrią a Włochami jeszcze wówczas, gdy biuro rozwijało się na początku maja 1946 roku (po przyjeździe do Rzymu pierwszych przedstawicieli dyplomatycznych Wiednia).

Stanglowi, który zbiegł z Linzu, dostarczono przypuszczalnie taki dokument na podróż — na razie do Rzymu. Biskup Hudal chwalił się w swoich pamiętnikach, że nawet oświadczenie podpisywał „około tysiąca” takich dowodów Austriaków „i wielkodusznie wyciągnął do tego niemało Reichsdeutschow, aby w tych trudnych miesiącach ochronić ich przed KZ-tem i więzieniem”. Dowody były jednak podpisywane przez kierownika biura, barona Viktora von Proelichsthal (1899—1981), który jednak mógł oddać do dyspozycji biskupowi podpisane in-

to, jak Proelichthal, „ekscelencja” biskup, w dodatku jeszcze w Świętym Rzymie, stała ponad wszelką krytykę i była godna wszelkiego, pełnego szacunku zaufania.

To właśnie Hudal potrafił też wykorzystywać, kiedy potrzebował dokumentów dla swoich wątpliwych podopiecznych, i odwrotnie sam był też wykorzystywany, jeżeli inni — nawet w celach bardziej niewinnych — potrzebowali pomocy biskupiej. Tylko w Watykanie, ze zrozumiałych względów, chciano mieć z nim jak najmniej wspólnego. Na piśmie prośbę Hudala skierowaną do papieża, aby powierzył mu oficjalnie opiekę nad Niemcami w obozach, Pius XII postanowił 1 listopada 1944 roku: „Jeżeli Monsignore Hudal chce pomóc żyjącym w niedostatku Niemcom w Rzymie i we Włoszech, to niech to robi, ale we własnym imieniu i na własny koszt — „Anima” (kolegium Hudala) ma na to z pewnością znaczne środki finansowe”.

Pieniądze były w tym celu potrzebne tak samo jak dokumenty podróży, jeżeli chcieli się emigrować za morze. Załatwienie jednego i drugiego, także dla takich ludzi jak Stangl (albo Eichmann, albo Barbie), ułatwiała przede wszystkim instytucja, która — z uwagi na idealistyczne pojmowanie swej roli i statusu prawnomiedzynarodowy — w zasadzie pyta tylko o to, czy człowiek potrzebuje pomocy, a nigdy nie dowiaduje się o orientację polityczną, ani postawę moralną (Międzynarodowy Czerwony Krzyż).

W jego centrali genewskiej powstał w lutym 1945 r. — na trzy miesiące przed zakończeniem wojny — całkiem niezwykły dokument podróży: nie mógł nosić nazwy „paszportu”, lecz jedynie „podstawa podróży” (titre de voyage); jego wyznaczał był austriacki książę, Johannes von Schwarzenberg, który — posiadając obywatelstwo szwajcarskie — podczas drugiej wojny światowej był przy genewskim Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu odpowiedzialny za internowane osoby cywilne i obecnie chciał też użyć niedoli uchodźców. Dokument miał być wystawiany „wszystkim osobom, które wolna w taki albo inny sposób zmusiła do opuszczenia normalnego kraju pobytu, pod warunkiem, że nie mają ważnego paszportu, nowy jest nie do uzyskania, kraj ich pobytu pozostaje im wyjechać, a kraj, do którego chcą się udać, pozwala im przybyć”.

Tak sprzecywał Czerwony Krzyż 22 lipca 1947 roku cel „podstawy podróży”, w odpowiedzi na krytyczną interpelację ambasady amerykańskiej w Bernie. Poinformował, że do tego czasu wydano już 25.000 tego rodzaju dokumentów.

Już na stronie tytułowej dokumentu w siedmiu językach, wystawionego bezpłatnie (fak-

nym miejscu pobytu i ułatwić mu natychmiastowy, albo późniejszy powrót do kraju pochodzenia, bądź też jego emigrację. Potwierdza on (delegat), że uzyskał od niego (okaziciela) następujące dane o jego personalności. Te wpisywano ręcznie na drugiej stronie.

Na trzeciej stronie okazicieli mógł stwierdzić podpisem, że był zatrzymany jako jeńiec wojenny, internowany albo deportowany, albo zatrudniony jako robotnik cywilny — mógł jednak również nie wpisywać tych danych. Jako cel podróży mógł wymienić dowolną ilość krajów i tu również odnotowywano okres ważności dokumentu: „rok” (a nie pół roku, jak Genewa zakomunikowała „Amerykanom”). Strony 6 i 7 pozostawiono wolne na wpisanie wiz, na stronie 5 widniał podpis delegata Czerwonego Krzyża, jego stempel oraz odcisk palca („nieodwołalne”) i zdjęcie (dowolne) właściciela, natomiast na stronie 4, razem z opisem osoby (włosy, oczy, nos), odnotowywano coś ważnego: „potwierdzenie powyższych oświadczeń”.

Kto reczył tu za te dane? Można było przedstawić jako dowód inne dokumenty personalne, o ile takimi się dysponowało, wystarczyło jednak również polecenie takie jak to: „Lettera Pont. Comm. Ass. Nr. ...”. A więc list „Pontificia Commissione Assistenza”. Papieskiej Komisji Pomocy, potwierdzony stemplem „Assistenza Giuridica agli Stranieri”. Pomoc Prawnej Obcokrajowcom włoskiego Czerwonego Krzyża.

Czy to nagle stało się widoczny ślad prowadzący „do Watykanu”?

Sedziwa szwajcarska dama, niekatoliczka, która w latach 1944—1948 była w Rzymie zastępcą delegata Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, Gertrude Dupuis Marsteller, opisała mi, opierając się na wciąż jeszcze żywych wspomnieniach, w jakich warunkach pracował wówczas komitet Czerwonego Krzyża przy Via Gregoriana 28:

„Setki ludzi codziennie ustawały się u nas w kolejce, niekiedy musieliśmy wzywać policję, żeby zaprowadziła porządek... Rzym przyciągał tak wielu uchodźców, ponieważ mieli nadzieję, że dzięki Kościołowi pojedają dalej. Oczywiście Pan Bóg i wszyscy święci polecał nam ludzi, ale na Papieskiej Komisji Pomocy można było polegać w jakiś sposób, to był dobry adres... Ludzie szli najczęściej najpierw na Sisa Salandra 34 do AGIUS (biura opieki prawnej włoskiego Czerwonego Krzyża), wypełniali tam kwestionariusze, przedstawiali rekomendacje... powiedzmy, AGIUS zwracał się do nas z wnioskiem o wydanie dokumentu podróży...”

Gestniejący nad moją głową obłoczek szaro-niebieskiego dymu obwieszczał całej rodzinie, że mamy do czynienia z dniem wolnym od pracy, w związku z czym pan domu należy pozostawić w spokoju. Oprócz obłoczka na całość obrazu składały się ponadto: niedzielna gazeta, „zza której świata nie widziałem” i górska fajeczka którą „dymilem kopciłem, jednym słowem — zatrzymałem”. Fajeczka i gazeta stanowiły niejako „insygnia władzy, używane przez przeważającą część mężczyzn, a wyszydzane przez przeważającą część żeńskich. Tym razem sielankowo-błogi nastrój, w którym się znajdowałem, został zmącony przez domowego robota PV-5.

— Uprzejmie informuję pana — zaskrzeczał swym chrobotliwym-metalicznym głosem — że produkty spalania wydzielające się z pańskiej fajki wykazują znaczny stopień szkodliwości chemicznej dla otoczenia. Proces spalania, który pan świadomie podtrzymuje, absorbuje znaczną ilość tlenu atmosferycznego, co przy uwzględnieniu ostatnich podwyżek cen tlenu, czyni ten proces nieopłacalnym i bardzo drogim.

Raźnię robotowi zza gazety nieprzyjemne spojrzenie i wydmuchnąłem na niego dym zgromadzony w płucach.

— Kto cię tego nauczył, ty blaszana konserwo na kółkach? — wybuchnąłem.

Robot nie zraził się jednak wcale i demonstrował ruchem: wywalił swój blok słuchowy przedstawiając się całkowicie na mówienie.

Jedną minutę palenia przez pana fajki zabija budżet domowy średnio o 5 dolarów 31 centów. Jest to koszt tytoniu zużywanego przez pana w połączeniu z kosztem tlenu zatrzymanego, a więc niezdolnego do pozytywnego przyswajania przez organizm ludzki. Do rachunku nie wliczyłem kosztów stałych, tj. ceny przyrządu palącego, zwanego fajką i ceny ubijacza stosowanego przez pana oraz tzw. kosztów chwilowych wyrażających się ilością zużytego gazu z zapalniczki.

— Dosyć już tego. Zamknij się wreszcie — straciłem cierpliwość.

Robot jednak nie usłuchał mojego polecenia, wobec czego zmuszony byłem do użycia przemocy fizycznej. Zanim jednak zamknąłem go w łazience, musiałem wysłuchać jeszcze rewelacyjnych wyliczeń dotyczących kosztów chwilowego zużycia fajki i zapalniczki. Odetchnąłem z ulgą i powróciłem do lektury prasy. Fajka w tym czasie zgasiła, więc dałem sobie z nią spokój. Zaniepokoił mnie doniesienie o złym zapachu sklepów w tlen. Mimo wysokiej ceny, tlen stał się towarem coraz bardziej poszukiwanym i coraz bardziej niedostępnym. Według raportów naukowców, zaniedbanie powietrza we wszystkich wielkich miastach przemysłowych na całym świecie uniemożliwiło normalne oddychanie bez użycia masek lub butli. Konieczne było dotlenienie organizmu sprężonym tlenem z butli. Specjalny system przekazywania i przetwarzania umożliwił oczywiście rozprowadzenie tlenu przed dotarciem do płuc. Nie krądego było jednak ścieżka na tak drogą aparaturę, a ta najtańsza — produkowana przez nielegalne fabryczki — często się psuła i była kiepskiej jakości. Tragiczne przypadki rozerwania płuc przez sprężony tlen nie stanowiły więc rzadkości.

Emigracja ludności, zwłaszcza biednej, stała się coraz wyraźniejsza. Uboga ludność miejska masowo opuszczała swe domostwa i przenosiła się na wieś lub w tereny górskie. Pola uprawne i lasy były niszczone przez masy wynędzniałej ludności miejskiej zakładającej tam dzikie obozowiska. Znaczny wzrost wypadków śmiertelnych wywołał w miastach panikę. Przeróżne tłumy wypełniały ulice, podążały w nieokreślonym kierunku śladem strasznych spustoszeń. Zareagował rząd. Wydano surowy zakaz opuszczania miast, który miał być odłód rygorystycznie przestrzegany.

Lektura gazet nie napawała mnie optymizmem. Dodatkowo pesymistycznie podzielał na mnie dzwonek u drzwi, który terkotał już od kilku sekund. Oznaczało to, że wraca z zakupów moja ukochana teściowa. Sam otworzyłem drzwi, bowiem nie tęskniłem specjalnie za robotem i nie chciałem wypuszczać go z łazienki.

Teściowa, jak zwykle obłożona pakunkami i ciężko dysząca, była niezmiernie zdziwiona moim widokiem.

— Co się stało z robusem? — zapiszczała, a głos jej wyrażał zaniepokojenie i zaniepokojenie. Chrzakałem niepewnie.

— Był nieznosny, przeszkadzał mi w pracy — odparłem robiąc smutną minę. — Musiałem zamknąć go w łazience.

Oczy teściowej stały się ogromne, a na twarzy odmalował się obraz niewysłowionego oburzenia.

— Znowu pijesz? — teściowa kilkakrotnie wciągnęła powietrze i zrobiła groźną minę.

Złodiłem nieco, lecz przecząco potrząsnąłem głową.

— A więc paliłeś! — spojrzała na mnie wzrokiem bazylijską i skierowała się w stronę łazienki, z której dochodziło głośne wołanie o pomoc. Po chwili robot był uwolniony.

Westchnąłem ciężko. Byłem teraz narażony na bezpośrednie ataki ze strony tej pary. Para uzupełniała się znakomicie. W ciągu kilku minut dowiedziałem się, jakim to jestem potworem, który w dodatku odbiera swoim dzieciom bezcenny tlen.

— Dzieci są przecież z Marią na wakacjach, w górach — orobowałem oponować, ale nie na wiele się zdało.

Teściowa jednak wkrótce udobruchała się, bowiem zbliżał się jej ulubiony program telewizyjny „Jak zostać beztlenowcem”. W programie tym, emitowanym co tydzień, jakiś zwariowany naukowiec dowodził, że jedyną szansą przeżycia na Ziemi w zmieniających się wciąż warunkach atmosferycznych jest poddanie się operacji w jego klinice. Operacja ta miała podobno przystosować człowieka do oddychania beztlenowcem. Nigdy na te bajdurzenia nie zwracałem nawet najmniejszej uwagi, natomiast teściowa z robotem wiodła zawsze po skończonym programie wielogodzinne dyskusje. Tym razem, jako pokutę za złe zachowanie, teściowa nakazała mi

udział w dyskusji. Byłem załamany, jednak nie dałem tego po sobie poznać. Robot rozsiadł się wygodnie w moim (o zgrozo!) fotelu i rozpoczął swój wykład.

— Oddychanie kojarzy nam się zawsze z pobieraniem tlenu. Istnieją jednak organizmy, które oddychają beztlenowo, np. bakterie, drożdże i niektóre zwierzęta pasożytnicze spośród pierwotniaków. Utlenniają one związki organiczne bez udziału tlenu. Polega to na oderwaniu atomów wodoru, czyli elektronów i protonów albo tylko elektronów — tłumaczył cierpliwie robot.

Gdy skończył omawiać oddychanie beztlenowe przeszedł do tlenowego. Zanim usnąłem w fotelu, usłyszałem jeszcze o cytrynianach, jabłczanach, kwasach pirogonowych, szczawiooctanach, enzymach i cząsteczkach energii. Zastuchana teściowa nie zauważyła mojej impertynencji postawy, była bowiem zachwycona mądrością PV-5, chociaż nie z jego wywodów nie rozumiała.

Przespałem w fotelu do rana. Sen miałem okropny. Sniło mi się, że gdy przechadzałem się po swoim ogrodzie, wyskoczyła nagle spod ziemi ogromna bakteria beztlenowa, schwyciła mnie za nogi i zaczęła wciągać pod ziemię.

— Ja cię nauczę oddychania beztlenowego — bakteria zachłystywała się szyderczym śmiechem.

Obudziłem się cały zły. Wygramoliłem się niezdarnie z fotela, przetarłem oczy i stwierdziłem z przerażeniem, że jest już naj-

wyjaśniła po chwili widząc, że nadal niewiele rozumiem.

— Oddychałybyś beztlenowo? — Być może doktorowi Rodgersowi udałoby się w ogóle wyeliminować ten kłopotliwy proces.

— Co mama przez to rozumie? — zapytałem mocno już przestraszony.

— Nie, przestałbyś oddychać raz na zawsze — teściowa wrzuciła ramionami.

„Stara chce mnie uśmiercić” — przeleciała mi przez głowę niesamowita myśl.

— A czy nie wydało się mamie dziwne to, że ta operacja jest bezpłatna? — znarszczyłem groźnie brwi.

— To zupełnie normalne — odparła. — Nigdy nie przeprowadzano jeszcze tego typu operacji na ludziach, nie można więc gwarantować rezultatów i pobierać pieniędzy.

Ciażki przeszły mi po plecach. Odpowiedź ta utwierdziła mnie jednak we wcześniejszych, koczarnych przypuszczeniach.

— Ale ja jeszcze nie wyraziłem zgody na taki zabieg! — postanowiłem przywołać teściową do porządku dziennego.

— To nie ma żadnego znaczenia — machnęła lekceważąco ręką. — Zająłbym także zaświadczanie o twojej całkowitej niepożyteczności — machnęła mi przed nosem jakimś swistkiem.

— W razie gdybyś stawiał opór — uśmiechnęła się złowrogo.

— Chyba nie będziecie mnie tam ciągnąć siłą! — czułem jak krew pulsuje mi w skroniach.

— Jeżeli zaistnieje potrzeba...

LESZEK KRASKOWSKI

Homo—anaerob

wyższą porą, aby udać się do pracy. Chwyciłem w pośpiechu maskę przeciwgazową, przenosząc butlę tlenową i pocwalałem do biura.

Do domu wróciłem zupełnie wykończony i porządnie podduszony. Okazało się bowiem, że wartość tlenu w powietrzu zmniejszyła się tak gwałtownie, że używanie maski przeciwgazowej nie wystarczało, należało podłączyć się do butli tlenowej. Takową oczywiście posiadałem, ale w pośpiechu, przez pomyłkę zabrałem z domu butlę pustą, już opróżnioną.

Wpadłem do mieszkania chwytając gwałtownie powietrze jak ryba wyłowiona z wody.

Teściowa spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Znowu uciekałeś przed policją? — zaskrzeczała przeraźliwie.

— Nic podobnego, mamusi — broniłem się.

— Minie nie nabierzysz — odparła zjadliwie i ogłądała mnie ze wszystkich stron, jak okaz zoologiczny.

— Wziąłem przez pomyłkę pustą butlę tlenową i nie miałem czym oddychać — tłumaczyłem rozpaczliwie.

— To dobrze — teściowa wyglądała na zadowoloną. — Przynajmniej zaoszczędziłeś trochę tlenu. A propos, mam dla ciebie niespodziankę.

Teraz ja spojrzałem na teściową spod opuszczonej powieki.

— Skierowanie na bezpłatne leczenie do kliniki doktora Rodgersa — teściowa wręczyła mi niewielki kawałek zapisanego papieru, uśmiechając się przy tym przymilnie. — Już nigdy nie będziesz miał kłopotów z oddychaniem — zapewniała.

Drgnąłem. W moim mózgu kołatała się rozpaczliwie wciąż jedna myśl: „Ta zmore znowu coś kombinuje!” Nie wiedziałem jednak dokładnie o co chodzi, postanowiłem więc zapuścić głębiej sondę.

— Przecież ja nie mam żadnych kłopotów z oddychaniem — zachęcałem ją.

— Ale możesz mieć — teściowa uśmiechnęła się słodko. — Dzisiaj ogłoszono, że wszelkie dostawy tlenu do sklepów zostały wstrzymane.

Złodiłem, uprzytomniłem sobie bowiem, że cały nasz domowy zapas tlenu ograniczał się do jednej butli.

— To niemożliwe — szepnąłem przerażony.

— Owszem, możliwe — odparła twardo teściowa. — W kawiarniach i restauracjach pojawiły się już tabliczki zabraniające wstępu osobom nie posiadającym własnych, przenośnych butli tlenowych. Nie będziesz więc już mógł przesiadywać w tym swoim „Maximie”.

„Cholerna baba, wszystko wywiesz!” — pomyślałem ocierając sobie pot z czoła.

— Tak więc — kontynuowała — myślę, że operacja w klinice doktora Rodgersa rozwiąże cały problem.

Rodgers, Rodgers — zmusiłem swoją pamięć do tytanicznego wysiłku. Gdzie już słyszałem to nazwisko, ale gdzie?

— Wiem! — wykrzyknąłem nagle. — To ten wariat z telewizji!

— Co ty wygadujesz? — teściowa zmrużyła oczy. — Ty się chyba naprawdę źle czujesz, moje dziecko — czule dotknęła dłoń moją czoła.

Zaniepokoił mnie ten gwałtowny przypływ uczuć.

Podejrzałem troskliwość. Jeszcze mnie wpakuje do domu wariatów — pomyślałem.

— Dr Rodgers jest naukowcem światowej sławy. To wielki zaszczyt i szczęście dla nas, że udało mi się zdobyć to skierowanie.

— Na czym miałyby polegać ta operacja? — postanowiłem zainteresować się swoim przyszłym losem.

— Zostałbyś HOMO-ANAEROBEM — odparła obojętnie.

— Kim?

— HOMO-ANAEROBEM — teściowa była zadowolona moim brakiem wiadomości w tej dziedzinie. — CZŁOWIEKIEM-BEZTLENOWCEM —

zumię. Znowu rozboleła mnie głowa.

— Muszę być bardzo osłabiony — pomyślałem i zapadłem w krótki, nerwowy sen.

Zona z dziećmi zorganizowała w domu wspólnie powitanie. Aby uczcić mój pomyślny powrót z kliniki, urządzono bankiet. Na stole stał ogromny, kilkudietowy tort, błyszczący kieliszki, imponująco prezentowały się butelki francuskiego szampana. W klinice nie byłem odwiedzany przez nikogo, znajdowałem się bowiem w izolacie na oddziale umysłowo chorych (zakwalifikowano mnie do kategorii „niebezpiecznych”). Teraz w otoczeniu rodziny, znajomych i przyjaciół, poczułem się zupełnie, dotądno wpłynęła na mnie radosna atmosfera panująca w domu. Tylko teściowa spoglądała na mnie ponuro.

— Za szkody, jakie spowodowałeś w klinice, ja płacić nie będę — szepnęła mi swym zjadliwym głosem wprost do ucha.

Zacisnąłem zęby. Przypomniał mi się dzień, w którym otrzymałem instrukcję. Przemyślić ją dla mnie pewien znajomy sanitariusz.

Dr Rodgers planował wręczenie mi jej w dniu opuszczania przez mnie kliniki, jednak ja nie wytrzymałem z ciekawości. Po zapoznaniu się z jej treścią, wyrzuciłem straty w sprzęcie szpitalnym, szacowane przez personel na ok. 4,5 tys. dolarów.

Brzęk kieliszków wyrwał mnie z rozmyślań i przywrócił do rzeczywistości. Wznoszone toast za moje zdrowie. Niepewnie podniosłem kieliszek.

— Pozwólcie, że nie będę pił. Lekarze zabraniają — tłumaczyłem się skwapliwie.

Goście przyjęli mój wykręt. Zresztą i bez mnie poradzili sobie doskonale z całą baterią butelek.

Gorzej było z tortem. Za wszelką cenę usiłowałem go we mnie wepchnąć. Tym razem wręczyłem się dietą, zalecaną mi rzekomo przez doktora Rodgersa.

Nie uniknąłem jednak wpadki. Gdy powstałem, aby symbolicznie wziąć udział w kolejnym toastie, uczułem nagle silne chrapnięcie w prawym kolanie. Po chwili w ślad prawego kolana poszło lewe i chrapnięcie się powtórzyło.

Stałem nieruchomo, rozglądając się niepewnie. Zrozumiałem, że zaczęły się moje angielskie (podobno niezawodne) stawy kolanowe. Wysłałem wszystkie obwody, aby dokonać automatycznej samonaprawy, ale nadaremnie. Wszyscy już usiedli, a ja nadal tkwiłem jak słup soli. Aby ratować sytuację postanowiłem wygłosić przemówienie. Miało ono charakter mowy dziękczynnej i sprowadzało się do kilku zdań powtarzanych w zniechęconej kolejności. Niestety, od głębiej bez sensu zaczął mi się układać mowy.

Sytuacja wyglądała tragicznie.

Kilka pań uciekło z mieszkania z przerażonym piskiem, a za nimi podążali oczywiście ich troskliwi mężowie. W końcu zajął się mną PV-5 i posługując się instrukcją w krótkim czasie przywrócił mnie do stanu normalnego funkcjonowania. Po kilku chwilach udało się też ocucić moją zonę i uspokoić przestraszone dzieci. Tylko teściowa zachowywała przez cały czas stoicki spokój. Przyszła mi do głowy niedorzeczna myśl — zastanawiałem się na jakich układach ona pracuje.

Położyłem się spać zupełnie wykończony fizycznie i psychicznie.

Teściowa także była niezadowolona, wciągnęła narzekając na fakt, że nie wymieniono mi mózgu, co według niej było bezsprzecznym dowodem brakorobstwa i zupełnego braku wyobraźni.

Dni miały spokojnie. Początkowo trudno było mi przyzwyczaić się do swego nowego ciała, chociaż zewnętrznie nie różniło się ono niczym od ciała innych ludzi. W miarę upływu czasu nauczyłem się jednak samodzielnie usuwać usterki, konserwować części, itp. Bardzo przyjaźniłem się z PV-5. Wspomagał mnie często swoją wiedzą techniczną, udzielał mi porad z zakresu konserwacji i samonaprawy. Wygrałem sprawę sądową z kliniką doktora Rodgersa — przyznano mi wysokie odszkodowanie i zwolniono ze wszystkich kosztów napraw. Rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych, ale i tak jej sensacyjny charakter dotarł do wszechobylskich i wszechbiskich dziennikarzy. Stałem się sławny. Reklamowałem proszki do prania, kosmetyki... Zonę z dziećmi wysłałem znowu w góry, mieli tam spokój, relaks i, co najważniejsze, świeże powietrze. Tymczasem teściowa dusiła się w mieście, a ja zaciierałem rączki...

Informacja o rozwiązaniu przez naukowców problemu zatrucia powietrza zupełnie mnie zaskoczyła. Wszystkie dzienniki radiowe i telewizyjne podawały wciąż tę radosną wiadomość o wielkim odkryciu dokonanym przez profesorów z uniwersytetu kalifornijskiego. Udało im się zbudować nowy rodzaj niezwykle wydajnych filtrów absorbujących szkodliwe cząsteczki i oczyszczających powietrze. Inna grupa uczonych pracująca w kosmosie, na stacji orbitalnej, wyprodukowała przy użyciu nowych, nieznanych dotąd metod, spore ilości tlenu i przesała je na Ziemię w statkach transportowych. Wyhodowano też nowe gatunki roślin, które spełniały funkcję filtrów, pochłaniały one bowiem znaczne ilości CO₂. Najważniejszy problem ludzkości — problem braku tlenu — został rozwiązany. Należało przystąpić jedynie do działań praktycznych, które były przegadane przez największe sławy naukowe świata. Ludzie odetchnęli pełną piersią, spokojni już o swój dalszy byt i najbliższą przyszłość.

Tylko ja jakoś nie umiałem się cieszyć razem ze wszystkimi. Ciągłe dokuczali mi drobne usterki, konserwacja części zabierała mi prawie cały wolny czas. Nie wpadałem jednak w melancholię. Pocięczała mnie myśl o mojej ukochanej teściowej. Tydzień temu nie wytrzymała nerwowo i udała się do kliniki doktora Rodgersa w celu dokonania operacji ubietleniowej, czyli praktycznie rzecz biorąc, robotyzacji. Wiadomość o radosnych wynalazkach uczonych zastała ją na szpitalnym łóżku, w dwie godziny po zabiegu. Sprężyłem wszystkie obwody i układy scalone. Ja jeszcze z nią powo-

1

Na dwudziestolecie

Lewym okiem

Dzisiejszy numer „Odgłosów”, dwudziesty dziewiąty w tym roku, oznaczony jest liczbą 1373 ogólnego zbioru. Nikt nigdy nie dojdzie, czy to jest liczba prawdziwa, gdyż bywały okresy, kiedy — nie wiem dlaczego — numeracja fiksowała zupełnie, stawała na głowie, po numerze 370 szedł numer 391, po numerze 400 — numer 341, po 356 — 351, po 466 — 513. Nie wiem, czy udało się wyjść z tego na prostą. Natomiast daty to są daty, pokrywają się z kalendarzem. I właśnie w „Odgłosach” z dnia 19 lipca 1984 roku, w numerze (nie wiadomo, czy prawdziwie podanym) trzysta trzydziestym trzecim, ukazał się pierwszy felieton Cwieka, pierwszy rzut lewego oka na pełne chwastów poletko naszej, szumnie mówiąc, rzeczywistości.

A więc — dwadzieścia lat minęło, co widzę dokładnie patrząc w lustro przy gołębieniu. Żeby przez tak długi czas pisać i publikować felieton wciąż w tym samym piśmie, muszą być spełnione co najmniej następujące warunki:

— musi istnieć wciąż to samo piśmo, co w Łodzi było w niedawnej jeszcze przeszłości niewyobrażalnym wydarzeniem, — autor musi mieć świętą cierpliwość i upór w maniakalnej chęci poprawiania, łagodzenia, prostowania i ulepszenia wszystkiego, co wcale poprawione i ulepszone być nie chce.

Jeśli ponadto autor nie ma okazji publikować swych felietonów gdzie indziej — wierność wciąż tej samej redakcji zostaje zapewniona, a jubileusz dwudziestolecia jest tylko kwestią czasu.

„Felieton jest bezsilny wobec bólów naszych codziennych, na które chce wpływać, które chce zmieniać, których zmienić nie potrafi, bo nie zmienia ich koleje administracji, więc, co tu może zdziałać felietonista. Słonimski też pisywał doraźne felietony interwencyjne. Pisywał o klikach, bezmyślności, chamstwie, żenującym poziomie publicystyki prasowej i gupstwach wygadanych w telewizji. No i co się zmieniło? Nie się nie zmieniło. O czym więc pisać?”

Tak oto westchnął sobie na łamach „Tu i Teraz” Cyryl, czyli Karakalla, czyli Hamilton, czyli Jan Zbigniew Słojewski, znakomity felietonista, w swoje własne dwudziestolecie, które przypało niedawno — przed paroma miesiącami, a które obchodził na łamach czwartego czy piątego w swej karierze pisma. O czym pisać? — martwił się Cyryl, a mnie w znacznie większe rozterki wprawia pytanie bardziej egzystencjalne: czy pisać?

Cóż to jest takiego — felieton? Zajrzyjmy do francusko-polskiego słownika: la feuille — liść, plutek, arkusz; la feuille de chou — liść kapusty, albo... gazeta, brukowa; le feuillet — kartka w książce, albo... żóładek krowi; feuilletier — przewracacz kartki w książce, albo... wyrabiać ciasto francuskie; la feuillette — listek, albo... pusta beczka na wino; wreszcie le feuilletton — odcinek, felieton. Wiedząc to wszystko, możemy dopiero wczuć się dogłębnie w sens tego, co oto robimy co tydzień od dwudziestu lat: przewracamy liście kapusty w beczce na wino, odcinamy placki francuskiego ciasta w żóładku krowim, podpisujemy to wszystko pseudonimem (Cwiek) lub nazwiskiem (jak niżej) i idziemy do kasy po honorarium.

O czym ma być felieton? Na szczęście może być o wszystkim, co dało już nieraz asumpt do obrzucania felietonistów wyzyskami — że ołwiciu, że nieodpowiedzialni, że absolutni dwuletni i trefnisie. Niech sobie. Ale przecież twórczyni zaczyna się czuć od felietonu, ludzie to lubia, a co do nieodpowiedzialności to znam takie go autora. Ktośemu już narezy nasłusiano nade drzwi z zamykaniem na felietonową krzywkę. Można pisać o wszystkim o-

prócz tego, o czym pisać nie należy. O poziomie publicystyki i w ogóle pisarstwa? Można! Na przykład w „Życiu Literackim” (z 6 XI 1983) znajduje wiersz gruzińskiego poety w tłumaczeniu Romana Gorzel-skiego p.t. „Gitara”, a w wierszu takie zdanie:

„A jednak i tu twoje dźwięki słucha się niemal bezkrytycznie.” „Życie Literackie” od wielu lat prowadzi szkołę dla poetów, poucza, wyśmiewa, zniechęca, a jednocześnie puszcza na swe łamy taki niegramatyczny knot: „słucha się twoje dźwięki”! Czy w gruzińskim oryginalnie też był gramatyczny błąd? Chyba nie!

A o tak zwanych niekonwencjonalnych poglądach — można? Można! Na przykład Henryk Weber, recenzując w „Tu i Teraz” (z 27 VI br.) książkę Ludwika Hassa o masonerii, oburza się na nazwanie szowinistycznymi postaw niektórych państw europejskich w czasie pierwszej wojny światowej. „Nie wolno polskiemu historykowi pętnować tych sił, które doprowadziły do tamtej wojny”, pisze Henryk Weber i przypomina, że dzięki owej wojnie Polska odzyskała niepodległość, a w Rosji wybuchła rewolucja. „Interes (Polski — przyp. mój) nakazuje wybuch pierwszej wojny europejskiej uważać za wydarzenie dla nas dobroczynne. A tych, którzy w tej wojnie bić się zaczęli, bić się i ginęli — za bohaterów, a nie za szowinistów!”. To się nazywa niekonwencjonalne, arcyowne na świat spojrzenie! Powinniśmy (my — za niepodległość, Rosja — za rewolucję...) czcić bohaterów generałów niemieckich, że chcieli bić się pod Verdun i pod Tannenbergiem, generałów austriackich za pchanie się do Bośni i Hercegowiny, Turków za rzezie w Armenii i wypędzenie Greków. Bo z tego wszystkiego wybuchła Polska. Sława bohaterom! Ani słowa o szowinizmie!

A na przykład o handlu jachtami można? Tylko malutki cytat. Oto „Tu i Teraz” (ten sam numer z 27 VI br.) donosi, że niejaki Andrzej Jaroszewicz kupił sobie w końcu ubiegłego roku jacht za cztery i cztery miliony złotych. Koniec cytatu.

Takich tematycznych próbek — w odpowiedzi na jubileuszowe pytanie Cyryla Słojewskiego — mógłbym podać dużo więcej, ale przecież coś muszą sobie zostawić na następne tygodnie. Drugie dwudziestolecie Cwieka już nie będzie, ale parę wiosen może jeszcze da się pociągnąć, poużerać, pofelietonować...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Spojrzenie znad szachownicy

Niedaleko od obrazy

Z przykrością musimy tu podnieść, iż sposób w jaki komentator sportowy tv, Dariusz Szpakowski, wyrażał się o szachach podczas transmisji z piłkarskich mistrzostw Europy — niedaleki był od obrazy. Długo radziłyśmy się różnych moralnych autorytetów, w tym własnego sumienia, jak odrażać, no i choć mieliśmy krwiożercze wręcz zamiary, wyszło jakoś na to, że odrażamy z ojcowską pobłażliwością.

Nie pójdziemy do sadu, nawet dziennikarskiego, nie żeśmyśmy licznych i opatrzonych jeszcze liczeźniejszymi podpisami protestów, a nawet nie zachowamy się tak, jak podczas meczu z Danią zachował się z czegoś tam niezadowolony Francuz Amoroso. Zaisnialiśmy bowiem pewne okoliczności łagodzące, te mianowicie, że sympatyczny skądinąd komentator najprawdopodobniej chciał dobrze, a jeżeli coś pokreślił, to wyłącznie z braku szachowej edukacji. Jest to rzecz naganna wprawdzie, ale nie karalna, nadto to przecież my osobiście zobowiązaliśmy się pod przykrywką beztros-

skich felietonów nieść w narod szachowej oświaty kaganiec. Jak widać w porę nie donieśliśmy go przed telewizję i teraz możemy zasłużyć piud sobie w brodę.

Tu dykteryjka, którą przytaczam za Antonim Słonimskim, jednak z pamięcią, proszę więc mnie nie tarmosić po rozmaitych humorystycznych rubrykach, jeżeli jakiś szczegół przekreśli.

Podczas piłkarskiego meczu rozszelony kibic rzucił butelką w stronę sędziego czy też gościa. Miejsce było odległe, kibic rzucał siłowo, dość że butelka nie doleciała i oberwał nią jakiś widz w pierwszych rzędach trybun. Ten, rzecz zrozumiawszy, poderwał się z miejsca i zaczął okładać niefortunnego miotacza. Na to inny kibic: „Daj pan spokój, on chciał dobrze!”

Owóż zakładam, że i tym razem intencje były szlachetne. Gdy tylko bowiem jakas z drużyn zaczynała grać w wysoce asekuracyjno-destrukcyjny sposób, kopiąc bez wyboru wszystko to, co leciało, turlało się bądź ewentualnie biegiem w kierunku bronionej przez nią bramki, komentator — pomny na oświatowe funkcje telewizji — przeżuwał w ustach stosowne, czy raczej niestosowne wyrazy dezaprobaty, zastępując je jedynym jedynym miążdzącym epitetem. Z bezzbrzońną pogardą w głosie mówił mianowicie o PIŁKARSKICH SZACHACH, a tak mu się to smakowicie powiedzonko spodobało, że z lubością powtarzał je wielokrotnie. I teraz jeżeli jakiś szachista wróci z podwórka z posiniaczoną nogą, kropka w kropkę tak samo będzie tłumaczył się mamusi.

Musimy tedy wyprowadzić z błędu rodziców, dzieci, tudzież komentatorów. Szachisci, choć to wydaje się dziwne, nigdy nie kopią, nie czynią tego nawet wtedy, gdy ich bramka, przepasana, ich król, znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie zdarza się również, iżby ktoś złapał przeciwnika za portki, czy choćby tylko za pole od garnituru, a to dla zahamowania marszu wroga pionka.

Paula w szachach też się co prawda przytrafiają, znacznie jednak subtelniejsze, z reguły jest to atak na psychikę partnera, nie na jego marną cielesność. W pilce nożnej jakby odwrotnie — osłabiamy psychikę nadmierną gołębioną, wiadomo bowiem, że kto kustyka przestaje być przesadnie hardy.

Być może komentatorowi nie chodziło jednak o grę faul, lecz o widowiskową stronę całej zabawy. Tu wyższość futbolu można by od błędów uczuć i gdybyśmy na bezstronnych sędziów przywołali starożytnych Rzymian — bądź co bądź smakoszów gryzłak i twórców nielichego państwa — byłiby z pewnością podobnego zdania. Z tą co prawda poprawką, że zdaniem ówczesnej publiczności przetrzącony zawodnik — czyli po łacinie gladiator — winien był trafiać wprost do piachu, a nie do znużenia związać się na murawie boiska. Wysokie etyczne parametry Rzymian nie pozwalały po prostu na to, aby ktoś zbyt długo się męczył.

Z kolei na szachy ta wymagająca widownia nie chciała by prawdopodobnie w ogóle patrzeć, a to dlatego, że nie umiała grać w nie ani trochę. Nie twierdzę, że było to przyczyną upadku imperium, faktem jest jednak, że pomniejszone imperium rozciągało się na diaby i dopiero w parę stuleci później szachy do Europy przyniósł Arabowie. Proszę sobie z tego łaskawie wyciągnąć tak zwane wnioski, albo w ogóle cokolwiek wyciągnąć.

Dopuszczam na koniec i inną, najstraszliwszą możliwość: szachy kojarzyły się komentatorowi z grą bierną, statyczną, polegającą na marudnym wyczekiwaniu, iżby przeciwnik jakiś tam błąd sechciał popełnić.

Otóż tak nie jest! Nie wybiję wprawdzie nikomu podobnego twierdzenia z głowy na paru marnych kartkach maszynopisu, ale mogę dać na to słowo honoru i to na piśmie. Iżby wygrać, trzeba grać w szachy twórczo, aktywnie, niekiedy coś zaryzykować, ba, nawet — jak to powiadają — „przejść przez przegrana pozycję”.

Niestety dalszy wywód byłby już zbyt uczony, gdyby jednak ktoś mnie usilnie prosił — może go pociągnąć. Ale to już raczej za czas jakiś, przy innej

pogodzie, kiedy się ochłodzi, bądź też ociepli. Nie wymagajcie zbyt wiele od biednego rozbaczka, zwłaszcza zaś — nie wymagajcie poity. Pointa — jak w tym starym dowcipie, którego nie należy powtarzać — już była. Gdzieś tam wyżej.

JERZY P.

3

Nagle zastępstwo

Zostanę anty-naturystą

Obszedłem ostatnio kilka sklepów z tekstyliami w poszukiwaniu kąpielówek. Bez efektu. Są majtki, ale wyłącznie w rozmiarach chłopięcych, musiałbym zyszczyć ze trzy pary żeby przyodziać swoją... hm, objętość, wysiedlaną w redakcyjnym fotelu. I w czym ja się pokazać na plaży? Chyba przyjdzie przystać do nudystów, pardon, naturystów, choć nie przepadam za siadaniem na piasku gołą wyż. wymienioną objętością.

Z tym większym zainteresowaniem przeczytałem w „Expressie Ilustrowanym” z 11 lipca wywiad z prezesem i wodzem duchowym wszystkich polskich gołodupców, doktorem Sylwestrem Marczakiem. Niestety, to co powiedział prezes jakoś mnie do naturyzmu nie zachęciło. Już sam tytuł wywiadu brzmiał niepokojąco: „Po eksmisji z Chalupa...”. Rany boskie, to za przynależność do nagusów z Chalupy eksmisują? Na szczęście okazało się, że naturystów eksmisowali tylko z plaży w Chalupach.

Dalej prezes mówił o sprawach formalno-organizacyjnych. A to odbywa się IV Zlot w Swidrach, a to zebrało się prezydium, a to znów odbędzie się VIII Zjazd, a to znów symposium na temat współpracy.

Powiedzmy, że ja się do towarzystwa naturystów zapiszę. Zależymy, że jako człowieka poważnego i wzbudzającego zaufanie wybiorą mnie tu i tam. To zamiast się opalać i kąpać na gołasa będę zasiadał w prezydium, jeździł na zloty i kongresy, wygłaszał referaty na sympozjach? Niedoczekanie! Nie lubię zebrań i posiedzeń „tekstylnych”, a tu jeszcze na gołasa! A gdzie schowam kieszonkowy kryminał, bez którego nie sposób wysiedzieć na żadnym zebraniu?

Prezes wspominał też o podjęciu prac nad sformułowaniem Kodeksu Etycznego Naturysty. Wyobraźmy sobie, że akurat masy naturystyczne w demokratycznym głosowaniu wybiorą właśnie mnie, choćby ze względu na pewną biegłość w piórze, do takiej komisji, która ów kodeks tworzy. Co ja tam wymyślę? Przykazanie „Nie będziesz uprawiał złodziejstwa kieszonkowego wśród naturystów”? Paranoja...

Redaktor Uchman, który przeprowadził wywiad z prezesem, pochwalił się, że dostał od naturystów jakieś „Grand Prix”. A kiedy naturysty wymyślą nie tylko nagrodę, ale jeszcze medal i nie daj Boże taki medal dostanę, to gdzie oni mi go będą przypinać? Za stary jestem na takie punkowe ozdoby w rodzaju agrafki wpiętej w nagi biust czy jeszcze gdzie indziej.

Zresztą sposób noszenia orderów przez naturystów jest akurat sprawą marginalną. Mam szereg wątpliwości poważniejszych. Oto prezes propaguje kluby naturystyczne. Np. klub pod nazwą „Poznajmy się”. Rozumiem, jest taki nudystyczny eufemizm, chodzi — oczywiście — o klub „Obejrzyjmy się”. Długo się tak można oglądać? Albo klub małżeński. Co się tam robi? Rozbieramy się do gołasa i bawimy się w małżeństwo? Kiedyś, w młodości ubóstwiałem takie zabawy, nawet żaden klub nie był mi do tego potrzebny... Ostatni dwuosobowy klub małżeński, do którego dołączyłem wstąpiłem został szczęśliwie rozwiązany orzeczeniem sądu rodzinnego i jakoś mnie zamierzam założyć następnego...

A gdybym tak chciał wstąpić do naturystycznego teatru amatorskiego? Czy jest odpowiedni repertuar? Może jakieś adaptacje z Księgi Rodzaju? Adam, Ewa i tekstylny wąz... Inny problem, to publiczność w takim teatrze. Też w stacjach organizacyjnych? W szatni zostawiamy nie tylko płaszcze i parasole, ale również gacie...

Prezes Marczak propaguje odczyty. Na przykład taki: „Jak osiągnąć satysfakcję seksualną”. Jak to jak? Kupuje się butelkę wina, zaprasza do domu sympatyczną, chętną panią, potem trochę muzyki, trochę naturyzmu także... No, mniej więcej wiadomo. Więc po co te prelekcje? Czy może coś się zmieniło? A może naturysty robią to — dla przekory — ubrani po szyję? Też można, tylko trochę niewygodnie.

Inny cykl prelekcji, których wysłuchać mają naturysty, nazywa się „Jak być zdrowym i młodym”. Też nie dla mnie. Zdrowy — odpukać, piszę to w piątek, trzynastego lipca — jestem. Młody, choćbym cały okragły rok paradował na gołasa, już nie będę. Zresztą, czy mi na tym szczególnie zależy? Znacznie bardziej zainteresowałabym mnie prelekcja ma temat „Jak być bogatym a nie płacić podatku wyrównawczego”. Znam paru takich, tylko żaden z nich nie należy do naturystów.

Tak więc nie mam czego szukać w Polskim Towarzystwie Naturystów. Choć przyznaję, że w dobie kryzysu i różnych niedostatków jest w tej idei coś pociągającego. Charakterystyczne, że w belle epoque lat siedemdziesiątych naturyzm był w podziemiu, czy raczej w lesie (taka goła partyzantka). Wyszedł z lasów „za odnowy” i rozkwitał w kryzysie i reformie, choć wcale reform (w znaczeniu — desous) nie propaguje. A co będzie, jak naturystyczne lobby wzrośnie w siłę, Marczak wprowadzi je do PRON i w następnych wyborach wepchnie się do rad? Skutki mogą być daleko idące...

Proszę pamiętać, ja ostrzegam!

ANDRZEJ KAROL

4

Słonianym wdowcom nie jest wesoło

Latem żona wraz z dziećmi odjeżdżała do wód, a mąż — teraz już mieniący się słonianym wdowcem — pedził co koń w dorożce wyskoczył do ogródka, gdzie był schabowy, kufel piwa, wesoła kompania oraz panienki łase na względy wesołych wdowców. O tych pięknych czasach śpiewał niedgdy Ludwik Sempołński. Ale on już dziś nie śpiewa i czasy jakby zupełnie inne. Żony do wód nie jeżdżą, a tylko na wczasy i to razem z mężami. Na ogół życzą sobie, aby to były wczasy zagraniczne. W miastach ogródków nie ma, a o schabowym, piwie i panienkach — lepiej nie myśleć.

Chociaż — jeszcze z panienkami nie jest najgorzej. Tyle tylko, że większość panienek woli raczej parów z obcych krajów, którzy akurat do Polski wybrali się na wczasy, a u siebie zostawili słonięte wdowy. Czasem i naszym uda się namotać jakąś panią. Oto pewien taksówkarz — pies na kobiety — umówił się z cudziwicią w Lesie Lagiewnickim. Dziewica owszem przyszła i nawet igrom seksualnym nie była przeciwna. Nawet jakby taka bardziej wyafinowana.

Ty — powiada do Caruza kierownicy — nie pchaj się tak od razu, nie bądź taki niecierpliwy. Specjaliści zalecają, aby była to zabawa w łóżku, a nie takie rach: ciach, ciach. — Ale tu nie ma łóżka —

przypominając zauważył mistrza kierownicy prywatnej.

— No to wymyślmy zabawę na powietrzu — powiedziała cudziwica, która, jak na dziewczę, była nieco oblatana w „tych sprawach”. Czego zresztą napalony taksówkarz nie był zdolny zauważyć.

No i wymyśliła. — Ty — powiada do napalonego Casanovy — zawiążesz sobie oczy i będziesz mnie ganiał po lesie, a ja będę wołała ku ku, jak mnie złapię, to mnie będziesz miał.

Taksówkarz się zapalił jeszcze bardziej. Rozegrali się oboje, ona mu oczy zawiązała i kukać zaczęła. Kukala dość długo, on biegł po lesie, a kiedy kukanie jakoś ustało, o czy odwiązał i obejrzał świat z pewnym przerażeniem. Ciuchy mu zostawili, ale ani pieniędzy nie było, ani... auta. Nie należy więc do lasu jeździć z przygodnymi pasażerkami. Ale i do mieszkanka nie należy zapraszać przygodnie poznanych pań, bo już niejednemu się obudziło w doszczętnie ograbionej „chacie”.

Czy zatem w ogóle nie podrywają?

Nieco o tym każdy decyduje we własnym zakresie i na własną odpowiedzialność. Wśród czytelników „Tygodnika Kulturalnego” znalazła się Joanna K. (adres znany redakcji), która napisała list, a pytaniem, jak się poitywa skutecznie? Z tego to powodu Marek Różycki udał się do Muchaliny Wistockiej, aby ona rzecz całą dogłębnie wyjaśniła, ale nie wyjaśniła, bowiem szkoła jest tuje mniej więcej co ludzi i każdy robi to na swój sposób. I całe szczęście, inaczej podrywanie bytoby czynnością bardzo nudną i uczono by tego nawet w szkole, co mogłoby w sposób zdecydowany przyczynić się do spadku przrosto naturalnego.

Nie wiem, w jaki sposób ruch naturystyczny wpływa na przyrost naturalny. Badań naukowych w tej dziedzinie jeszcze nie podjęto, ale to już się niedługo stanie. Wiem natomiast, że nie ma co samotnym wielbicielom naturalnego piękna wybierać się na Hel, gdzie w Chalupach gromadzą się naturysty, zwani niegdyś nudystami. W tym roku — jak donieśli wszyscy byliśmy reporterzy „Expressu Wieczornego” — ani w Chalupach, ani w Kuźnicy, ani nigdzie na Helu nie odbędą się żadne wybory Miss Polonia — Natura'84. Jak oświadczył przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Jastarni — Stanisław Rybarczyk: — „podejmujemy więc skuteczniejsze działania, żeby wreszcie ukrócić taką samowolę”. Samowola jest tu inna, jak tylko bieganie nago po nie wyznaczonej do tego celu plaży. A ponieważ takiej plaży na Helu nie ma, więc biedni naturysty biegają nago gdzie mogą. Ale już — po groźnej wypowiedzi władzy z Jastarni — nigdzie nie będą biegać. Dobrze im tak. Po co się nasmiawali z „tekstylnych”?

Więc wdowcom nie radzę wybierać się na Hel. A i w mieście wczasy jakby straciły na swej atrakcyjności. Iść można chodzić do kina, jeśli w domu stoi telewizor i jakieś filmy też dają. W domu — niestety — potrzeba pracować. Nacznyma pozmywać, mieszkanię wysprzątać, bieliznę zanieść do pralni. A w pralni niespodzianka.

Mamy awarię — mówi piękna pani praika — i możemy przyjąć pranie na długi termin.

— Jak długi? — Do końca przyszłego miesiąca.

— A spodnie? — Za dwa tygodnie i to bez gwarancji co do terminu.

— No, ale ja chciałem wyjechać, to jak bez spodni? — To już pana sprawa.

Pierwszy więc spodnie sami i później z zadowoleniem czytamy, że PIH dobrała się do pralni i na 142 kontrolowane zakłady w 95 stwierdziła niechlujstwo oraz zakwestionowała 1878 rachunków. Dobrze im tak!

Następnie kładziemy się spać i śni nam się, że właśnie żona wjechała do wód, a my co koń w dorożce wyskoczył pedzimy. Ze snu wyrzyna nas dzwonek telefonu. To właśnie żona dzwoni ze Swinoujścia, żeby jej przysłać pieniądze... Cholera z tymi telefonami! Automatycznych połączeń nam się zachciało.

ZENON POROWATY

O tym, jak żył i co czuł zabójca

Takimi marzeniami żył się Antek i, nie mogąc zasnąć, przewracał się na słońce z boku na bok, pojeżdżając z rozkoszy na myśl o cierpieniach Porowej. Z czasem tak zbliżył się do owych marzeń, że podczas pracy w lesie odcisnął siekierą osinowy kół, zaostriął go starannie i ukrył w krzakach. Nazajutrz wykonał jeszcze dwa takie same kółki — na Widłagów, która obnażony zad wystawiała na drodze i na panią Renatę Turoń, gdyż ta opalała się nago nad jeziorem, a on ją podglądał. Wielką była siła tych marzeń; to oblewały go łzami, to znów przejmowały chłodem, aż szczał z zimna zębami. Zdarzało mu się to na łożku, w nocy, zdarzało się w dzień, kiedy samotnie czyścił młodnik koło starego dębu. Przerzywał wówczas pracę, ponieważ najpierw uderzała mu do głowy fala gorąca, a potem dygotał z zimna i strachu. Bo znowu wracała do niego myśl o cudzym i własnym strachu, przerażała i radowała zarazem. Ale to było pewne, że droga do tego celu wiodła przez kulawą Marynę i jej dziecko.

Tędy po którejś bezsennej nocy zerwał się o świcie Antek i nie śmiejąc otworzyć stanął w drzwiach domu Maryny, przyczaił się w krzakach tamtny za stodołą i rozwalającym się wychodkiem. Postanowił rozwinąć się z kulawą Maryną bez świadków i na osobności, a jedyną taką okazją jak to sobie wymyślił, była chwila, gdy po nocy musiała wyjść za swoją potrzebą. Dzień wstał pochmurny, zanościło się na deszcz. Chyba z godzinę przesiadł Antek za krzakami, ze wstrętem oganając się od zielonkawoniebieskich much, które sennie roily się nad cuchnącym bajorem z gnojówką, wyciekającą z wychodka. Śmierdziało tam okropnie, ale on był już przyzwyczajony do smrodu, jako że spał w oborze.

Maryna, kulejąc na lewą nogę, wybiegła z domu tylko w długiej koszuli, w trepach na stopach. Nie chciała jej się włożyć do rozpadającego się wychodka, rozejrzawszy się więc na wszystkie strony zadarta nieco koszuli i mocz zaczęła oddawać na stojąco.

— Pieniądże ci przyniosłem na dziecko — odezwał się chrapliwie Antek, wylazłszy zza krzaków.

Przestraszył ją swym nagłym pojawieniem, lecz nie krzyknęła, tylko przerwała oddawanie moczu, koszulę opuściła do kostek.

— Czego? — burknęła na niego.

— Pieniądże ci przyniosłem na dziecko — powtórzył, zbliżając się do niej i rozumiejąc, że przecież musiała usłyszeć, co do niej już raz rzekł.

— To nie twoje dziecko — odpowiedziała, bacznie go obserwując, czy nie zbliża się za bardzo, bo wtedy gotowa była uciec do domu.

— Ożenie się z tobą — zaczął jej szybko tłumaczyć. — Dziecko jest moje, choć go urodziła nie chciałem. Ale mnie do tej sprawy moja matka przekonała. Ożenie się z tobą i będziemy mężem i żoną. Masz, weź to pieniądze.

I szedł ku niej ze zwłokami banknotów w dłoniach. Ona jednak cofnęła się kilka kroków i, wyciągając przed siebie rękę, zawołała:

— Nie, podchodź do mnie, bo będę krzyżować. I schowaj swoje pieniądze. Napisałem do kapitana Siedzika, że dziecko nie jest od ciebie. Pamiętaj dobrze, jak to było wówczas, gdy do mnie z wodką przyszedł. Oni zrobili co swoje, a ty się zerzygałeś i zasnęłaś w moim łóżku. Przenieś pieniądze twojej matki na dziecko moje ludzie patrzą jak na zbrojną. Powieś się, a nie do ślubu szwaku. Sznurowi już jest w lesie.

Brzydka była, piegowała, zęba z przodu nie miała, kulała. Jeszcze brzydziej się zdała, gdy usta wykrzywiła od gniewu i mówiła do niego z pogardą, nienawidząc go za to, że jej dziecko, przez pieniądze Pasemkowej, za bandyckie uznano. Nie chciała pamiętać, że przecież sama od Antka pientędzy kiedyś wolała, że przed kapitanem Siedzikim kłamliwie zeznała, byle tylko mieć pieniądze od Pasemków. Teraz czuła wyłącznie złość i nienawiść do Antka, jego za swoje kłopoty winiła.

— Masz, zobacz, to są pieniądze — rzucił jej pod nogi zwitek banknotów, myśląc, że chytrą w niej zwycięży. Słownie po banknoty, a tym samym uznawanie w nim ojca swego dziecka.

Lecz ona myślała tylko o tym, jak go poranić najboleśniej.

— Pieniądże, to wiem, jak wyglądają. Na twoje pieniądze to ja szczerę.

To mówiąc zbliżyła się do miejsca, gdzie leżał zwitek banknotów, stanęła nad nim, zadarta koszulą aż do pępka i na oczach Antka, bez kobiecego wstydu, bo go za mężczyznę widząc nie uznawała, oddała mocz na owe banknoty. A gdy to czyniła, Antek patrzył na jej kobiecość z tak ogromnym pożądaniem, że aż go jak gdyby sparaliżowało. Nienawidził jej — i chciał chwycić za gardło, ale sił w sobie nie znajdował, tylko patrzył i patrzył między jej uda. W końcu jakaś czerwona plama rozlała mu się w oczach i zastoniła cały świat. "Zabić ją — to mało. Uduśić — też mało. Zebra polamać, palce powoli wylamywać ze stawów — tego pragnął. Po osinowy kolek pobiec i wepchnąć w nią jak w upióra. Tego pragnął.

Wytarla krocze rąbkiem koszuli i pobiegła do domu. On zaś, oślepiony wściekłością, bełkotując coś i charcząc — szedł ku niej z wyciągniętymi rękami, ale chwycił nimi pustkę. Wtedy przejrzał na oczy, stwierdził, że jej już nie ma i depcze osikane banknoty. Otarli dłońmi spoczone czoło, a potem usta z pianą w kącikach. Kopnął zwitek banknotów w cuchnące bajory — i odszedł za stodołą do lasu. Skrajem pół ruszył aż do Świńskiej Łąki, dreczony pragnieniem, aby samemu sobie zadać straszny, nawet śmiertelny ból. Znowu na krótko zaniewidział, jakiś czerwony ogień mu oczy wypalił. To wtedy musiał minąć drzewo ze sznurem i pętlą, bo przecież szedł tam, aby zabić. Jeśli nie kogoś, to siebie. Uspokoił łomoczące w pierś serce, zdławił w sobie charczący oddech. Ocknął się w głębi lasu i pomyślał: "To znak od Boga, który ochrania sprawiedliwego". Szum drzew powoli łagodził w nim gwałtowność uczuć — i gdy znalazł się w młodniku, już spokojnie zabrał się do pracy. Ciał tak sakiem wiotkie buki, patrzył, jak się przewracają, aby dać więcej światła bukom grubszym. Wskłonił głowę i sprawił mu przyjemność, łagodził w nim wszelkie uczucia podobnie jak szum lasu. Niebo wciąż było pochmurne, lekki wiatr strzelał z drzew ostatnie liście. Jedne wirowały w powietrzu lub uśliwały się wznieść w górę na podobieństwo ptaków; inne opadały cicho na ziemię; niektóre ocierały się o ramiona Antka i wtedy miał wrażenie, że dotykają go niewidzialne ręce i las jest pełen duchów. Nie bał się ich, jeśli bowiem istniał Bóg, to i on musiał być po jego stronie, nienawidził rozpustnych kobiecych narządów i zła, jakie one czyniły wśród mężczyzn.

Doktor czekał na Antka pod starym dębem. Był tylko w grubym swetrze i z gołą głową. Przykucnął pod drzewem, na kolanach miał włoską kurkową dubeltówkę. "Przyszedł, aby mnie zabić" — przemknęło przez głowę Pasemki, ale zaraz te myśli odrzucił. Zbyt pogodna wydała mu się twarz doktora i jasny wzrok, z jakim obserwował bezgłówny lot uschniętych liści.

Zobaczwszy Antka, doktor wyjął paczkę tanich papierosów, kiwnął na Pasemkę, aby się pocięstowała. Zapalił, a potem doktor rzekł:

— Nazywała się Aneta Lipska i miała dwanaście lat. Przy-

jechała z Bart z gromadką kolegów i koleżanek, aby się wykąpać w jeziorze. Nie miała kostiumu kąpielowego, więc odeszła od gromadki w pobliskie zarośla, gdzie rozebrała się do naga. Powiedź, co zrobiłaś z jej ciałem?

— Antek wypluł nitkę tytoniu, która mu się przylepiła do wargi. — Pytałeś mnie o to wiele razy. Odpowiadałem, że nie wiem, o kim mówię. Ale panu wyjawię. Leży tam, gdzie deszcz na nią nie pada, słońko jej nie przygrzewa, lisy kości nie rozwłoka. Mogę ją zobaczyć w każdej chwili, ale już nie ma co oglądać.

— Jesteś bydlę, Antek — głos doktora zabrzmiał dziwnie, jakby dobywał się z głębokiej studni.

— A o niej co pan wie? — wzruszył ramionami. — Byłaby taką samą dziwką jak Potowa. Piersi i podbrzusze miała już prawie jak dorosła kobieta. Rozebrała się do naga. Zeby pan widział, z jakim zadowoleniem oglądała sobie piersi i łono, jakby już gotowała się do zastawienia pułapki na mężczyznę.

— Nie miała kostiumu i chciała się na uboczu ochłodzić w jeziorze. Jesteś bestią, Antek, i dlatego musisz umrzeć. Widziałeś sznur i pętlę? Na co jeszcze czekasz?

— Prawo mnie chroni. Będę żył długo.

Szczeknął kurek na strzelbie doktora. Ale Antek tylko usmiechnął się z wyższością.

— Nie zastrzelił mnie pan. Na to trzeba odwagi. Mojej odwagi. Nie obnosiłoby tak tych swoich piersi i brzuchów, gdyby mężczyźni mieli odwagę. Klekacie przed nimi, modlicie się do nich, prosicie o łaskę, której wam udzielać według swoich zachcianek. Nierządne są i rozpustne, a wy jesteście kapłanami ich rozpusty i ich nierządu. Błagacie wyciąganie ku nim swoje ręce. Po co? Trzeba wziąć za gardło.

Doktor wyjął z paczki drugiego papierosa, zapalił go, zaciągnął się mocno. Nie potrafił zebrać rozproszonych myśli, chciał zastrzelić Pasemkę, tak jak to sobie tyle razy obiecywał. Zabić go strzałem z przodu, między oczy i pałecz, jak mógł się rozprysknie. Ale jakaś dziwna siła powstrzymywała go od tego. Może korzył się przed człowieczeństwem, podobnie jak korzył się przed kobiecością?

— Gdybym cię zabił, Antek, postąpiłbym jak Kawaler Maltański. Znaczący byłoby, że zło, które jest w człowieku, można usunąć jedynie zabijając człowieka. A przecież zło, jak sądzę, daje się oddzielić, wykrócić tak, jak guz na ciele lub w ciele ludzkim. Zło należy oddzielić od człowieka i zabić je oddzielnie. Nie mógłbym być lekarzem, gdybym w to nie wierzył. Zło bywa jak choroba, Antek. Chorobę trzeba leczyć, niejako oddzielić ją od ciała i zabić. Chciałem obnażyć twoje zło, wykrócić je z ciebie i zdeptać, choć to być może nie jest możliwe. Powiedz, czy nie odczuwasz winy, skruchy, żalu, wstrętu do siebie? Albo przynajmniej do tej części siebie, która czyni cię zbrodniarzem?

— Nie — odparł obojętnie. — Wiem, że czyniłem dobrze.

— Stałeś się więc samym złem. To nie jakaś twoja część pozostaje zła, ale ono przeniknęło cię całego, do głębi. Nie wiesz co to litość, skrucha, żal. Czy zdajesz sobie sprawę, że już nie jesteś człowiekiem?

A on rzekł mu swoimi słowami, taki zaś był ich sens:

— Zawsze czułem się inny, bardziej podobny do Boga, który nas stworzył na swoje podobieństwo. Nie mówiłem o tym nikomu, aby mnie nie wysmiano. Próbowałem żyć jak ludzie, lecz nie potrafiłem. Dlatego wyraźniej niż inni ludzie widziałem zło ukryte w kobiecie. Czy nie powiedział Pan do kobiety, że "wola twoja poddana będzie mężowi twemu, a on nad tobą panować będzie"? A czy są posłuszne naszej woli? Czy to nie one chcą panować nad nami, używając swych narządów i swego ciała, aby nas zniewolić? Pan zna tylko Nowego Boga, a przecież jest także i Stary Bóg, w którego ja wierzę i który nas stworzył. Stary Bóg nie znał miłosierdzia i kazał zabijać pierworodnych synów, gdy zrodzeni byli z nierządu. Ochrzcił mnie w kościele, bo moja matka tak chciała. Ale mój ojciec wierzył w Starego Boga i gdy byłś młody, często czytał nam Pismo Święte. Stary Bóg nie znał Szatana, bo sam był Szatanem. Chwalił oszustów, krzywo-przysiężców, sam także był oszustem i krzywo-przysiężcą. Trzy przymierza zawarł z człowiekiem i żadnego nie dotrzymał. Czy nie był przyjacielem Boga ten, którego nazwano Duchem Kłamstwa? Czy nie zasiadał w jego świątce? Czy nie oszukał Bóg proroków Achaba, aby nakłonić go do przegranej wojny? Czy nie ukarał Dawida za to, że przeprowadził spis synów Izraela, choć sam go do tego namówił? Czy nie chwalił Bóg córki Loty za to, że żyła z własnym ojcem? Czy nie kupczył Abraham własną żoną, Sarą? Nie pochwalił go za to Bóg i nie pozwolił żyć szczęśliwie? Czy nie wybrał między Ablem i Kainem tylko po to, aby dokonana została na świecie pierwsza zbrodnia? Czy nie był zazdrośny o ludzi, gdy wieść Babel zaczęli budować? Czy nie doświadczył Hioba tylko dla zaspokojenia swej próżności? Czy nie pochwalił Bóg oszustwa, którego dopuścił się Jakub wobec Ezawy, odbierając mu pod-

stępnie błogosławieństwo Izaaka? Doktorze, wiele kłamstw i wiele zła czynił Stary Bóg na świecie i między ludźmi, a z tego wynika, że i zło może być sprawiedliwe. Jak Kain jestem zabójcą. Ale ostrzegł Pan Bóg ludzi, aby nie zabijali Kaina za jego zbrodnię. A wy, co chcecie uczynić? Kto wam dał prawo wieszać sznur z pętlą, jeśli Bóg zezwolił Kainowi iść wolno i żyć w pokoju. Powiedział Stary Bóg: "zaiste, kobyłkowiek zabił Kaina, siedmioraką poniesie pomstę. I włożył Pan na Kaina piętno, aby go nie zabijał, kobyłkowiek znalazł".

Pomyślał chwilę doktor i powiedział:

— Nie masz na sobie piętna, Antek.

— Moje czyny budzą w was strach i wstręt. Odrzućcie ode mnie twarz, jakbyście widzieli na mnie piętno. Dlatego kto mnie zabije, siedmiokrotną pomstę poniesie od Boga.

— Jesteś pełen pychy. Aż do oblakania doprowadziła cię twoja próżność.

— Nazywa mnie pan oblakany, ponieważ poznałem i ukochałem Starego Boga?

— Rozesłał się doktor:

— Mieszka i żyje w tobie bestia. Nie potrafisz nawet być mężczyzną.

Śmiech doktora wydał się Antkowi tak drwiący, że skoczył na skraj młodnika i w ataku szału chwycił do ręki pozostały tam tasak. Ruszył z nim na doktora, który wciąż się śmiał, coraz głośniejsze i, jak się zdało Antkowi, coraz bardziej szyderczo. Szedł Antek z tasakiem podniesionym do góry, w połowie drogi stanął i tasak opuścił. Czy nie po to doktor tak się śmiał, aby on podniósł na niego tasak i tamten mógł strzelić w swojej obronie? Pułapkę zastawił na niego doktor. Chciał zabić Antka w majestacie prawa.

— Strzelaj — krzyknął, rzucając tasak na ziemię. Potem przyniósł oczy i czekając na strzał powoli zbliżył się do doktora. Nie słyszał jednak strzału, nie odczuwał bólu. Otworzył oczy i usiadł pod starym drzewem. Nagle ogarnęło go wielkie zmęczenie i pragnienie śmierci. Pożalował, że to się nie stało, nie padł strzał i nie uderzył go pocisk. Ile dni jeszcze będzie czekał na śmierć?

— Nie o wszystkim mi jeszcze powiedziałeś — doktor spokojnie znowu podjął rozmowę. — Dlaczego zabiłeś właśnie tam, w pobliżu mojego domu, na polance i w dole po sadzonkach. Czy wiedziałeś, że niemal noc w noc zaczajam się tam ze strzelbą?

— Nie myślałem o panu. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że pan może się tam na mnie czaić ze strzelbą. Kiedy się zabija dzweczynę, takie myśli nie przychodzą do głowy — jakby duma zabrzmiała w jego głosie.

— A ja sądziłem, że prowadzisz ze mną jakąś straszną grę. Specjalnie wybierasz miejsce w pobliżu mojego domu, aby poniżyć moją dumę, obrazić, nagiwać się ze mnie. Dławię, bo przecież miałeś do wyboru tyle innych miejsc, tyle przezręcznych lasów, tyle innych dolów po sadzonkach.

Pasemko zastanowił się. I raptem ożywiła się jego twarz, jak gdyby dokonał ciekawego odkrycia.

— Kiedy zabijałem ja, nie myślałem o takich sprawach. Teraz jednak wiem, dlaczego robiłem to właśnie tam, a nie gdzie indziej. Kierowałem mną poczucie sprawiedliwości. Pamięta pan, doktorze, że młoda, ładna nauczycielka, która przed ośmiu laty uczyła mnie w szkole? Kochałem się w niej po kryjomu, szalałem za nią. Dniem i nocą przebywała w moich myślach, a miałem wtedy chyba trzynaście lat. Latem ojciec powiedział do matki, że widział ją na jeziorze w jacie z jakimś czasowiczem. Bezwstydnie pływała z nim nago. Któregoś dnia zauważyłem, że ich jacht przybił do brzegu koło tej polanki za pana domem. Pobiegłem tam co sił. Bezwstydnie naga leżała pod nim, nogi zadarta wysoko i podzuchała go na sobie, jak jeźdźca koń podzucha podczas klusa. Strasznie ten widok przeżyłem, bo ja kochałem. Gryzłem palce z zazdrości i płakałem ze wstrętu. Potem, ilekroć przychodziłem na tę polankę, stawał mi w oczach ten widok. Dlatego tam zaprowadziłem Haneczkę i tam ja zadusiłem. Z zemsty za tamten widok. Z poczucia sprawiedliwości. Ta nauczycielka zbrukała moją miłość.

Milczeli jakiś czas, potem doktor powiedział:

— Do soltysa Wątrucha przyszedł list od rodziców i braci dzweczyny, która zabiłaś w dole po sadzonkach. Pytali, czy wróciłaś do wioski i co tutaj robisz. Tak samo pytali o ciebie rodzice Anety Lipskiej z Bart. Pewnego dnia osaczają cię w tym młodniku, wykastują, a potem powieszają.

— Wyjadę stąd.

— Dokąd? Kto cię przyjmie? Zapomniałeś, jaki los został zgromadzonej Kainowi? Tulaczem i bieżunem będziesz, a gdzie się pojawisz, tam pojawi się również strach i gniew ludzi.

— Boję się śmierci, panie.

— Sam zabijałeś, więc to dla ciebie niewiele znaczy.

— Nie chcę się powiesić.

— Musisz.

— Boję się.

— One też się bały, a jednak umarły. Spróbujesz, jak to jest, gdy się umiera. Nie bywasz tego ciekawy?

— Bywam. Ale nie chcę sznura i pętli.

— Wszystko jedno, jak się umiera, bo śmierć jest jedna. Wierzę mi, wielu ludzi umarło na moich rękach, wielu ludziom towarzyszyłem w drodze do granicy, za którą serce biał prześta.

— Niech mnie pan zastrzeli.

— Nie.

— Sam to zrobić. Proszę mi dać swoją strzelbę.

— To niemożliwe, Antek.

Doktor wyprostował się, potarł dłonią zdętnięte udo i łydkę. Gotował się do odejścia.

— Posłuchaj mnie uważnie, Antek. Cała moja wiedza lekarska mówi, że zbrodnie, jakie popełniłeś, prawdopodobnie wynikają z choroby duszy i umysłu, która cię być może od jakiegoś czasu trawi. W naszym kraju nie skazuje się na śmierć ludzi chorych, nawet jeśli ich czyny wolały o pomstę. Dlatego radzę ci: jedź do kapitana Siedzika, wyznaj swoje zbrodnie, wskaż miejsce, gdzie ukryłeś ciało Anety. Potem zbadają cię najlepsi lekarze od ludzkiego umysłu, ja również powiem o moich z tobą rozmowach, które ty potwierdzisz. Zamkną cię w specjalnym zakładzie, ale unikniesz śmierci.

Pasemko pogardliwie wzruszył ramionami i powiedział, że nie chce być uznany za wariata tylko dlatego, aby uniknąć śmierci.

— Nie, panie. Gdybym choć przez chwilę uwierzył, że swoje czyny popełniłem nie panując nad swoim umysłem, a więc nie byłoby to czynem sprawiedliwym, powiesiłbym się sam na Świńskiej Łące. Sam sobie wymierzylbym sprawiedliwość, bez potrzeby uciekania się do sprawiedliwości sądu. Ale ponieważ nie jestem wariatem, nie pójdę do kapitana Siedzika, nie przyznam się do swoich czynów, nie wskażę miejsca, gdzie leży trzecia dziewczyna. Ba — jeśli mi się przydarzy okazja, jeszcze raz wymierzę którejś sprawiedliwość.

— Idź na Świńską Łakę — powiedział doktor.

Antek usiadł na ziemi, wyciągnął nogi, głowę wsparł o twarde pnie drzewa, przyniósł powieki.

— Nie — wyrzekł cicho.

— Musisz.

— Nigdy.

— Musisz.

— Nie.

Powtarzał wiele razy swoje „nie” i zdawało mu się, że słyszy wiele razy owo „musisz”, aż uświadomił sobie, że żaden obcy głos do niego nie dochodzi. Otworzył oczy i stwierdził, że doktora już nie ma na polanie, a on rozmawia z sobą samym.



Rys. Janusz Szymański-Głane

c.d.n.